



HUSARIA TRADYCJI

WIOSNA 2012 (6)

W numerze:

Wstęp (2)

Chciuk: Biali Kurierzy (3)

Herbert: Longobardowie (12)

Heydel: Camera obscura (13)

Hlebowicz: Orzeł, co w oczy kłuje (17)

Jalonen: Przypadki porucznika Kurko (20)

Kasprowicz: Jak narodziła się świadomość narodowa Ślązaków (24)

Kimakowska: Polacy w Mołdowie (33)

Kleindienst : Kartki z pamiętnika pisanego w Lidzie (36)

Kołyшко: Tradycja i tożsamość (51)

Krzywda: Historia Zygmunta Szendzielarza (52)

Krzywda: Ukraińcy na Dolnym Śląsku po II Wojnie Światowej (54)

Lebiedziewicz: Język polski przy świecach (57)

Lutosławski: Zakon kowali (59)

Mieroszewski: Rosyjski „kompleks Polski” i obszar ULB (79)

Moklak: Łemkowie w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919 (82)

Piasecki: Siedem pigulek Lucyfera (86)

Słomka: Pamiętniki włościanina (89)

Swolkień: Patriotyzm pejzażu pozostaje aktualny (95)

Szczerek: Histeria obojga narodów (97)

Wstęp

Po długiej przerwie wraca Husaria Tradycji. Zmian jest niewiele. Czysta kosmetyka. Wciąż dominują wypisy i Wschód...

Numer 6 otwiera fragment książki Tadeusza Chciuka o Białych Kurierach - harcerzach działających na terenach okupowanych przez ZSRR. Nie zabrakło również poezji - na stronie 12 znaleźć można wiersz Z. Herberta pt. "Longobardowie". Kolejny tekst to "Camera Obscura" Adama Heydela. Pisany tuż przed wojną dotyczy edukacji. Autor wyciąga niezwykle ciekawe wnioski. Czy są one wciąż aktualne, to pozostawiamy do oceny naszym czytelnikom. Z kolei artykuł Adama Hlebowicza z listopada 2010 to coś dla szukających polskich śladów na Białorusi. Opisuje też sprawę pewnego Polaka, który na ścianie budynku gospodarczego wymalował polskie godło.

Na stronie 20 Jussi Jalonen opowiada historię pewnego Fina - ochotnika walczącego po polskiej stronie w 1920 roku. Kolejny tekst autorstwa polskiego Ormianina, Bogdana Kasprowicza wbrew tytułowi ("Jak narodziła się świadomość narodowa Ślązaków") nie dotyczy tylko Śląska. Z pewnością zaciekawi nie tylko kresowiaków zachodnich, ale i wschodnich. Pozostając w tematyce "kresowej" wędrujemy na stronę 33, gdzie można przeczytać wywiad z Eleonorą Kimakowską dotyczący Polaków w Mołdowie. Natomiast trzy strony dalej znajdziemy wspomnienia Józefy Kleindienst. Dotyczą one głównie tajnego nauczania w Lidzie podczas okupacji niemieckiej. Co ciekawe kilka razy pojawiają się Sukurcze (majątek Pileckich). Wspomnienia te, tak jak tekst Aleksandra Kołyszko pt. "Tradycja i tożsamość" znaleźliśmy w "Ziemii lidzkiej". Z pisma tego pochodzi również wywiad Czesławy Lebedziejewicz z Ireną Samotyją - nauczycielką w Lidzie pt. "Język polski przy świecach". Przeprowadzony został w 1995 roku i pokazuje niełatwą pracę nauczycieli języka polskiego na Białorusi. Aż prosi się by porównać go ze wspomnieniami Józefy Kleindienst.

Na stronie 52 i 54 znaleźć można jedyne teksty napisane dla Husarii Tradycji. Ich autorką jest Monika Krzywda. Pierwszy opowiada historię Zygmunta Szendzielarza ps. "Łupaszko", drugi dotyczy Ukraińców na Dolnym Śląsku po II Wojnie Światowej. Idąc dalej natrafimy na dwa teksty Wincentego Lutosławskiego - mesjanisty i działacza narodowego. Oba dotyczą *Zakonu kowali* - świeckiej organizacji, która miała odrodzić i podnieść polski naród.

Każdy kto zetknął się z ideą Intermarium na pewno dobrze zna postać Juliusza Mieroszewskiego. Jego artykuł dotyczący Rosji, terenów UBL oraz historii czytelnik znajdzie na stronie 79. Następny w kolejności jest tekst Jarosława Mokłaka pt. "Łemkowie w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919". Opisuje on m.in. tzw. Republiki Łemkowskie.

Na stronie 86 - coś na poprawę humoru - fragment świetnej powieści Sergiusza Piaseckiego pt. "Siedem pigulek Lucyfera". Na kolejnych stronach znaleźć można wspomnienia Jana Słomki. W tym numerze opublikowaliśmy fragmenty odnoszące się do oświaty, stosunku do dworu, życia politycznego i świadomości narodowej.

W numerze 4 Husarii Tradycji zamieściliśmy fragment książki Józefa Mackiewicza pt. "Lewa wolna", w którym autor opisuje "patriotyzm pejzażu". O tym też przeczytać możemy w wywiadzie z Olafem Swolkieniem. Na koniec niezwykle ciekawy artykuł Ziemowita Szczerka pod wiele mówiącym tytułem: "Histeria obojga narodów, czyli czemu Litwini nie lubią Polaków i odwrotnie. I co z tym można zrobić, jeśli to, co robiono do tej pory jakoś nie chce działać".

PS. Archiwalne numery Husarii Tradycji można ściągnąć tutaj: tma.org.pl/ht

Tadeusz Chciuk vel Marek Celt Biali Kurierzy (fragment)

W Stryju szybko poszło, zgrabnie. Komuś dałem nominację, komu innemu szyfr, od jeszcze kogoś wzięłem jakieś hasło. Na cztery ręce z Tońkiem roznosiliśmy potem prywatne listy i dolary, a na wieczór już byliśmy we Lwowie.

Tu on był gospodarzem, ja gościem. Dał mi „szac-melinę”, pochowaliśmy „liworwery” i Tońko zniknął gdzieś na trzy dni, a ja odbywałem urzędowe rozmowy. Ale jak mi przykro było, jak żal przy tych spotkaniach. Rozmówcy, poważni ludzie, narzekali na brak zrozumienia sytuacji pod Sowietami przez Budapeszt, przez Paryż. „U nas jest o wiele gorzej niż nawet pod Niemcem, a przez radio o nas nic. A już te złote polskie, co nam pan znosi z Budapesztu, to skandal. Meldowałem nie raz, nie dwa, że to na nic, że trzeba dopiero złote wysyłać przez San z Przemyśla na tamtą stronę, traci się dużo, ludzie giną przy tych przeprawach. Czy to nie zbrodnia? A nam tu więcej pieniędzy potrzeba niż tam, bo tam cały naród pomaga, a tu pełno wrogów nawet poza bolszewikami. Jak macie nam przynosić złote — to lepiej nie przynóście nic. Funta kłaków taka pomoc warta.”

I w ten deseń dalej i dalej. A przecież mówiłem to rotmistrzowi Janowi i nawet nie raczył odpowiedzieć. Potem roznosiłem listowo-dolarową prywatną radość. Bo „zwykli” ludzie wiedzieli, że nie złote należy posyłać. Sam przy tym aż rosłem od środka, wielkie to szczęście dawać ludziom trochę szczęścia. A może jeszcze większe byłoby mieć udział w budowaniu oporu przeciw okupantowi, żeby się to lepiej kleiło.

Tylko... ten Lwów, Jezu, jaki inny, smutny, taki nagle obcy. W zapłakanych domach bardziej jeszcze polski niż zawsze był, ale miasto nie to samo, wrogie, inaczej wszystko wygląda, inaczej szemrzą ulice i place, zapach nawet inny mają. Błoto, brudny śnieg, szarość jakaś taka zła. Nikt nie śpiewa, tylko megafony ryczą obce melodie i przeraźliwe slogany komunistyczne. Wszystko jakieś wymuszone tymczasowe, brud, smród i ubóstwo, po chodnikach rozpanoszone wrzaskliwe chamstwo sowieckie. Czuję, jak mnie ogarnia straszna, bo bezsilna wściekłość. Bronić się przeciw temu, spokój zachować, ale jak to trudno!

Ostatni raz, gdy widziałem Lwów, tuż przed wojną — to była piękna Europa, Zachód w najlepszym tego słowa znaczeniu. Dorodna, urodziwa kobieta. Teraz — jakaś Azja, szpetota, szkarada nie do zniesienia. Co oni z naszym miastem najdroższym zrobili?

Polakom głodno, chyba z wyjątkiem tych z Czerwonego Sztandaru, o których wszyscy zgodnie mówią, że będą wisieć, kuli na nich szkoda za to co robią, co w swoim szmatławcu wypisują. (Ach co za patrioci stalinowscy, ach co za wielbiciel Chruszczowa i „Zapadnej Ukrainy”!). Dzieci jakieś nagle dorosłe, patrzą ponuro, takie to stare-maleńkie a nieszczęśliwe, ludzie prawie ze sobą nie rozmawiają, tak, to szatańska sprawa, przemienili nam bolszewicy nasz Lwów w inny świat.

A jednak — gdzie się tu obrócisz, to Polska, każda ulica, każdy plac, pomniki (z wyjątkiem tego nowego, drewniano-betonowego, postawionego przed Teatrem Wielkim dla upamiętnienia sowieckiego „zwycięstwa”), gmachy, kopiec Unii Lubelskiej, Ossolineum, cmentarz Obrońców Lwowa, muzea, trzy katolickie katedry, kościoły, kościoły, Czarna Kamienica, lwy przed ratuszem, Virtuti Militari pod herbem, wciąż piękny choć zniszczony dworzec — gdzieś to ja się nałaził w tych kilku dniach, tak jakbym chciał to wszystko zamknąć pod powiekami, utrwalić, bo ja wiem na jak długo. Mój uniwersytet i Ogród Kościuszki, moje Konserwatorium im. K. Szymanowskiego, i to drugie, to „lepsze” z Chorążczyzny, i Akademicka, i pasaż Mikolasza, kaplica Boimów. Nóg nie

czułem, jak po tym marszu na nartach z Zawadki do Matmanstalu, każdą wolną chwilę wykorzystywałem na „zwiedzanie” Lwowa, zresztą konspiracyjne spotkania i tak rzucały mną jak piłką, z jednego końca miasta w drugi.

Raz, po takim łażeniu „w te i wewte” dosłownie padałem na nos i to nie tylko ze zmęczenia ale i z głodu- Od szklanki mleka rano do późnego popołudnia nic w ustach, nic w żołądku. A kupić tu co? Gdzie? Sklepy albo pozamykane albo puste. Aż tu Na Bajkach widzę w oknie jakiegoś sklepiku słoik z orzechami laskowymi, słinka mi do ust przyszła. Wchodzę, dzwonek przy drzwiach, jakiś pan patrzy na mnie pytająco, jakby z wyrzutem, że niby czego ja od niego chcę. A ja mówię słabym głosem;

— Pan Polak?

— Polak, taże lwowiak.

— Ja jestem bardzo głodny, może coś u pana kupię?

— Nic pan nie kupi, bidaku, bo nic nie mam, a sklep trzymam otwarty temu, że kazali ci tam.

— A może choć te orzechy z okna?

— Ach tak, przepraszam, zapomniał ja na śmierć. Proszę, ta niech pan bierze cały słoik, proszę.

— Ile mam zapłacić?

— Ta nic! Jedno dobre słowo.

Tak było we Lwowie nie raz i nie dwa. Od ust sobie odejmowali a innym dawali. Jeśli choć iskra łączności dawcę i odbiorcę połączyła na moment.

Na ulicę Tkacką wreszcie też znalazłem czas, wpadłem do starego radcy Toczyskiego, mistrza stolarskiego, ale jakiego czytanego, oblatanego. Mieszkałem u niego na stacji w czasie studiów. To był potomek jednego z tych, co zginęli na Górze Stracenia. Popłakał się staruszek jak bóbr, posmarkał, opowiadał coś, wypytywał bez ładu i składu, bardzo się posunął pan radca, bardzo go Hitler ze Stalinem „posunęli”. Ale nagle zmieniła mu się twarz, spoważniał, wydostojniał i dobitnie, głosem prawie młodego człowieka powiedział:

— Panie Tadeuszu, zmiana warty, teraz wasza kolej walczyć, wasz obowiązek odzyskać, zwyciężyć.

— Tak. I pomścić tę klęskę, zmazać... sanacyjny wrzesień. Obrócił ku mnie z wysiłkiem głowę, błysnął oczami i... zrobił mi prawdziwy wykład. Na „klęskę” się nie zgadza, była tylko „przegrana bitwa”. Wojna trwa, wojna nie jest przegrana i nie będzie. (jota w jotę mówił to jeszcze na jesieni, Jędrkowi i mnie, Tatuś, gdyśmy roztrząsali naszą tragiczną sytuację). A wrzesień nie był sanacyjny, tak nie można mówić. On, radca, tego rządu Mościckich, Rydzów, Składkowskich nie cierpiał, bo oni byli przeciw narodowi, dyktatura była i do tego niemądra, ale we wrześnieu zachowali się tak, jak tego cały naród chciał. Trzeba było walczyć, nie wolno było oddawać „korytarza”, nie wolno było po-ko-jo-wo godzić się na zajęcie przez Hitlera nowego kawałka Europy, bo potem mogło już być dla całego świata za późno. Myśmy pierwsi przeciwstawili się bandycie — i tego nam nikt nie odbierze. A co do klęski jeszcze — to on myśli, że to było... moralne zwycięstwo. A teraz, przeciw drugiemu bandycie, takie samo moralne zwycięstwo odnoszą Finowie, ten bohaterski naród...

— Tak, panie radco — wtrąciłem się tu. — Fantastyczny naród! Ale i jego przywódcy tacy sami, nikt z nich nie uciekł.

Toczyski pochylił głowę, pomilczał i ciągnął swój wykład.

— Nasi uciekli, prawda, ale to byli „przywódcy”, rządzący prawem kaduka. Jak kto o nich mówi, nie może nie wspomnieć o moście w Zaleszczykach. Ale nie wszyscy byli tacy. Beck na przykład

słusznie mówił o honorze, to była narodowa racja. Co innego Mościcki albo Rydz. Mościcki gadał, że na pewno zwyciężymy, bo mamy genialnego wodza na czele, nie godził się na rząd jedności narodowej, bo „nie chciał się z opozycją dzielić... sławą”. A ten „genialny wódz” wykrzykiwał, że nie oddamy ani guzika, To, co oni mówili, to nie była racja tylko... tromtadracja. Uciekli, prawda. Ale jest we Francji nowy rząd, taki, jakiego sobie życzy cały naród, wystarczy z kimkolwiek tu pomówić, żeby wiedzieć, że za Sikorskim są wszyscy, za Paderewskim. No więc młodzież tego narodu to musi też rozumieć, wiedzieć, że ma jedną drogę przed sobą: nie poddawać się, walczyć, odzyskać, zwyciężyć.

Patrzył przy tym na mnie staruszek tak, jakby chciał powiedzieć, że się dziwi, że ja jeszcze tu a nie we Francji. I mruknął:

— Świat stanie po naszej stronie, po stronie Finów, bo porządni ludzie nie mogą się poddać bandytom, żadnemu z nich. „Krzyż splugawiony razem z młotem padnie”. Ale — żeby tak było — trzeba walczyć.

Zmęczył się radca całkiem widocznie. Posapał jeszcze, pomilczał, a potem uściśnął mi dłoń i poszedł do siebie, kaszłąc, powłócząc nogami. Żal mi serce ścisnął: już go pewnie nie zobaczę, już się nie dowie, że co do mnie to dziwił się niesłusznie. Ale testament nam zostawił — testament przodków naszych.

Dotrzymywała mi towarzystwa jego żona, siwiuteńka jak gołąb, zawsze cichutka jak trusia, rzadkiej nawet jak na Lwów dobroci kobieta. Podtyka mi oto coś do jedzenia, zaprasza, wprost prosi, mimo że ja się prosić nie daję, bo stale jestem głodny. Rozmawiamy półgłosem. W obszernym domu Toczyskich pełno jakichś ludzi. uchodźców, „bieżeńców” — jak się teraz mówi — po kilka osób w jednym pokoju. Kto tylko przyszedł, brała go pani Toczyska pod dach, ale na kilku podopiecznych sparzyła się; jak się tylko ugruntowały trochę bolszewickie porządki, czerwoną nienawiścią zaczęły odpłacać za dobroć. Dlatego właśnie półgłosem rozmawiamy, nie zawsze wiadomo, kto co myśli — powiada pani Toczyska — kto co powie gdzie nie trzeba.

Ale wkrótce koniec naszym szeptom, w pokoju zaczyna się szaleństwo, zwariowana córka radcy z pierwszego małżeństwa, stara panna, której życie polegało na zamęczaniu macochy (to słowo do pani Toczyskiej zupełnie nie pasowało) wtyka nos przez drzwi do kuchni i, nawet się nie witając, skrzeczy do mnie: „Aha, jeden z tych 'bohaterów'! A co, nie mówiłam panu, że Lwów diabli wezmą!” (O, żmijo! mówiłaś, mówiłaś, pamiętam dobrze. Hitler zajął wtedy właśnie Pragę, a ja kułem prawo cywilne do egzaminu magisterskiego, gdy ty wleciałaś do mego pokoju i zaczęłaś mi przed nosem machać mapką z Wieku Wieczornego: „Niemcy czarne, Austria czarna — darłaś się jak opętana — teraz także Czechy czarne, a niedługo i Polska będzie czarna. Warszawę diabli wezmą, Kraków i Lwów diabli, i wszystko diabli, za moje nieszczęście, za to, że wy wszyscy tacy!” Takeś krzyczała, cholerna, zapiekła w osobistej złości Kassandro! Wyprosiłem cię wtedy z pokoju, ale przy każdym spotkaniu potem, na schodach, w kuchni, przy śniadaniu — raczyłaś mnie złośliwie swoimi przepowiedniami. Pamiętam!).

— Ale mówiła pani wtedy, że Lwów będzie czarny, a jest czerwony — powiadam, wściekły, nie panując nad sobą — taka z pani prorokini jak z koziej d... trąba.

— Panie Tadziku — interweniuje pani Toczyska — ta niech si pan nie denerwuj!, Ola tak si tera, biedna, źle czuji.

— Ale będzie czarny, będzie, niedługo, zobaczy pan — upiera się wariatka. — Choć wy wszyscy tacy niby dzielni, wojacy, odważni, jak to na wojence ładnie, Zadwórze — „Termopile Lwowskie”, a jakże, a jakże, stoi ułan na widecie, bohaterzy spod Dupienki, gówno ułani, gówno bohaterzy.

Czołgi i już! Po bohaterach! I Lwów będzie czarny, za moje zmarnowane życie, przez endeków, Żydów, Rusinów, akademików, socjalistów, przez księży, przez wszystkich mężczyzn! Ta co pan myśli, ciemniak taki jeden, że jak prawo skończył, szpargą mu si magisterium udało, to więcej wi ode mnie? Ja miała maturę, jak pan jeszcze piechotą pod stół nie zaczął chodzić, ja si biła o Lwów — ale potem, jak wy wszyscy tacy, to ja mam was gdzieś, o, tu.

Wypięła się tyłem do nas i trzasnęła drzwiami.

— Biedna kobita — mówi szeptem pani Toczyska — ona była naprawdę bardzo dzielna podczas obrony Lwowa w osiemnastym roku, ale jak jej chłopiec zginął, ułan, zakłuli go dzieś pod Zagórzem czy dzie, to si jej wszystko pomieszało. Ojca nienawidzi, że si ze mną drugi raz ożenił, Tadka nienawidzi, choć to jej brat przyrodni, wszystkich mężczyzn nienawidzi, a mnie nienawidzi najgorzej, bo już byłam w latach, a jeszcze mi si udało wyjść za mąż. No i tak poszło, cały Lwów jest dla niej wstrętny, cała Polska, Panu Bogu bluźni, żyje na „nie”, ja od niej od lat słowa „tak” albo „dobrze” nie słyszałam, już nie mówię „dziękuję”, nikt tego nigdy nie słyszał, pan słyszał? Ci biedni uciekinierzy, co tu mieszkają, boją si jej jak ognia. Tak ładnie grata kiedyś na pianinie, a tera tylko czasem przejdzie koło niego, pięścią uderzy w klawiaturę i trzaśnie wiekiem, że cud, że to si jeszcze wszystko kupy trzyma. Popsuty rozum, zmarnowane życie, żeby tylko, Panie Boże nie dopuść, duszy całkiem nie zatraciła. Chodzi tu jeden ksiądz od Świętego Marcina, rozmawia z nią, mówi, że jeszcze si nie zniechęcił, ale czy ja wim...

— A co ona tak tam wykrzykuje teraz u siebie?

— A, ostatnio nic innego nie robi, tylko wykrzykuje na głos tę „Przepowiednię Tęgoborską”, wi pan Tadzik, niby od Wernyhory, to: „w dwa lat dziesiątki nadejdą te pory, że ogień z nieba wytryśnie, sprawdzą si wtedy pieśni Wernyhory...” Ojciec, mój mąż znaczy, też to wciąż czyta, ali inaczej rozumi niż ta biedna. „Krzyż splugawiony razem z młotem padnie”, słyszał pan Tadzik co mówił i jak mówił.

— Tak, słyszałem, bardzo popularna to teraz wróżba, wszędzie się na nią natykam. Ale pani mówi, że Ola to inaczej czyta, inaczej rozumie? Nie wierzy w nią?

— Nie. Deklamuji różne zwrotki tej przepowiedni, wybucha śmiechem, krzyczy, że to nieprawda, i układa swoje własne kontrwróżby. Często bardzo nieprzyzwoite, sprośne, że słuchać nie można.

— A Tadek gdzie?

— Tadek? Myśli pan, panie Tadziku, że ja wiem, dzie on jest? Nie chce mu si uczyć, po całych dniach dzieś si włóczy z chłopakami, ma w komórce rewolwer schowany, ja już tylko modlić si mogę, więcej nic. A i słyszałam, że jakichś młodych poaresztowali, tu, na Zamarstynowie, siedzą, W święta po celach kolędy śpiewali i okropnie ich skatowały te czorty.

— Też mi się coś o uszy obiło, straszne to rzeczy. Ale jeżeli Ola na głos krzyczy, że Lwów będzie czarny, czyli że Hitler tu przyjdzie, to może się to całkiem źle skończyć, jeszcze was kto zadenuncjuje- — E, nie przypuszczam, wszyscy wiedzą, że ona nienormalna. A swoją drogą to jest jej idee fixe, ten Hitler we Lwowie, często nas tym raczy. Już przed wojną tak wykrzykiwała. Tera jeszcze bardziej. A potem płacze. Tera pewni także leży, biedna, u siebie na łóżku i ryczy. gorzko płacze jak skrzywdzony dziecku. Ale jakby tam kto wszedł, to by zara była zła jak osa, jak wściekły żbik, tak jak tu przed chwilą. Biedny, biedny człowiek.

Po tej wizycie na Tkackiej pełny byłem nie tylko „testamentu” starego radcy, ale i tego durnowatego Olinego „Lwów będzie czarny, Lwów będzie czarny”. A gdzieś w podświadomości

kielkował niepokój, żeby nowe Lwowskie Dzieci nie porwały się masowo, tym razem całkiem z motyką na słońce, (na „Słoneczko”), dużo krwi by tylko daremnie — bo za wcześniej — popłynęło. Ten Tadek z rewolwerem, konspirujący z chłopakami... A może jednak ta wariatka ma rację, może przyjdzie do wojny niemiecko-sowieckiej. I stopniowo zacząłem sobie dorabiać do tego jej „czarnego Lwowa” argumenty.

Przecież to dwa różne światy, ogień i woda; jak długo może hitleryzm z komunizmem żyć w zgodzie przez jedną granicę? Przecież jak Niemcy zajęli we wrześniu Drohobycz i Borysław, a potem wycofali się i oddali Zagłębie Naftowe Stalinowi — to najpierw w pośpiechu ale dokładnie, grund ich, zniszczyli wszystko, co jeszcze po wrześniowym bombardowaniu i pożarach pozostało, wywieźli z urządzeń rafineryjnych, co się dało. Czy tak robi sprzymierzeniec sprzymierzeńcowi? Przecież Hitler chce zabierać z tej strony linii Mołotow-Ribbentrop wszystkich dawnych kolonistów niemieckich do Rzeszy. Ci nasi koloniści osiemnastowieczni z Korostu mówili Matusi, że wkrótce wyjadą, prawie cały Korost opustoszeje i Ugartsdorf i Koenigsau i te inne kolonie. A to tylko powiat drohobycki, dzisiaj obłast', województwo, zaawansował mój Drohobycz, psia krew! Przecież Niemcy zawsze obiecywali Ukraińcom wyzwolenie, niepodległą Ukrainę. A z drugiej strony Sowietów (jak się to teraz niepoprawnie mówi) chcą opanować cały świat. Komunizm — cytował mi jeden z moich rozmówców przemówienie jakiegoś politruka na UJK (dziś to jest Uniwersytet Iwana Franki) — nie zatrzymuje się nigdzie, komunizm jest dynamiczny. zawsze w ruchu, będzie wciąż szedł naprzód, ma cel, może tylko przystanąć na chwilę, taktycznie, ale potem wciąż naprzód — w pieriod. — aż spotka się ze sobą po drugiej stronie kuli ziemskiej. Politruk wydzierał się, że świat należy do wielkiej idei, niezwykłej idei Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i nic się jej nie oprze. A Hitler znów szczeka o tysiącletniej Rzeszy. Czy więc ci dwaj zbrodniarze mogą się nie wziąć za łby, mogą nie skoczyć sobie do gardła? Kretynka Ola mówi, że Lwów będzie czarny, no dobrze, będzie, niemieckie czołgi — wiemy już przecie jak szybko umieją się... czołgać — przepędzą sowieckich czubaryków z karabinami na sznurkach, ale to nie znaczy, że zostaną tu na stałe, że Lwów zawsze ma być czarny. Niemców z kolei przepędzimy my, nie sami, rzecz jasna, ale z pomocą Anglików i Francuzów — a może i Amerykanów — Lwów będzie znowu biało-czerwony! Nasz! Lwów jest Semper Fidelis, pierwsze miasto polskie odznaczone Orderem Virtuti Militari, już nie jedyne, bo i Warszawa teraz, po wrześniu, słusznie się jej to należało, ale Lwów był pierwszy. To radca ma słuszość, a nie Ola. Bandyci wezmą się za foy, a świat się od nich po kolei uwolni, od „Uebermenschów” i od bolszewików. A my zostaniemy, będziemy gospodarzami u siebie. Z Ukraińcami się pogodzimy, pogodzi nas wspólna miłość do tej niezwykłej ziemi, a te bolszewickie przejścia nam to ułatwią, i im nie lepiej pod Stalinem-Słoneczkiem niż nam. Trzeba im dać, co im się należy, równouprawnienie, własny uniwersytet, autonomię, a nie sanacyjne kłamstwa, szykany i pacyfikację — to przecież bracia Polaków, to i ich ziemia rodzinna. Najbliżsi nam z wszystkich Słowian, może tylko obok Słowaków. Rozlewaliśmy sobie nawzajem krew, a bo mało to się waśni rodzinnych zdarza? Acerrima proximorum odia.' Ale mijają przecież. Za to przemieszaliśmy się tak, że czasem trudno powiedzieć, ile w kim krwi płynie więcej; polskiej czy ruskiej (przepraszam: ukraińskiej, oni są na tym punkcie czuli, tak się chcą nazywać, w porządku, mają prawo, po co drażnić) a także ormiańskiej, i czasem tatarskiej, i niemiecko-austriackiej, i żydowskiej, bo i Żydzi czuli się często Polakami i asymilowali się tu we Lwowie może częściej niż gdzie indziej. Czy tu nie mogłoby być tak jak w różnorodnej a zjednoczonej Szwajcarii? Przecież to cudowne miasto — unikat w całym świecie — trzech różnych arcybiskupów czy metropolitów katolickich, łacińska katedra, grekokatolicki św. Jur, ormiańska katedra, a i oberrabin jest tu jakiś, są protestanci, prawosławni, nawet mahometanie, kilka kultur ze sobą współżyje, kilkoma językami ludzie mówią. Gdzie takie drugie miasto na świecie? Nic bym nie miał przeciw temu, żeby język ukraiński był tu drugim równoprawnym językiem urzędowym. I to miasto miałoby być bolszewickie albo hitlerowskie, to znaczy barbarzyńskie albo... barbarzyńskie, czerwone albo czarne? To miasto-klejnot. W czyste lwowskie serdeczne złoto wieki wprawiły tu wiele cennych kamieni — a teraz miałoby się to wszystko zaprzepaścić? Boże, nie daj! Boże, ratuj! Lwów przecież, o Lwów chodzi, o serce polskości, także trochę ukraińskości... ale nie

o bolszewicki Ciemnogród, bez wolności, bez uśmiechu, bez radości, bez śpiewu, bez... bałaku.

Gdy mnie ludzie pytają, co sędzę, co myślę o przyszłości, o wojnie, o tym wszystkim — pchają mi się te myśli same do głowy i na wargi. Wyłuszczam im swój, dość sztucznie, na strzępach Tęgoborskiej Przepowiedni i proctw Kassandry-Oli zbudowany, optymizm. Mam, pewnie naiwną, nadzieję, że ich to wzmocni. „Krzyż splugawiony razem z młotem (i sierpem) padnie”, nowa Europa będzie wolna, zjednoczona. Wzmacnia ich to czasem, ale często patrzą na mnie ze smutkiem, ze zmęczeniem. Prędzej oni nas wszystkich wykończą — wzdychają ludzie ciężko — tego aresztowali, tamtego wyrzucili z pracy, ten gdzieś przepadł, jak długo to można wytrzymać? Może się pobiją te bandyty, może — po tych doświadczeniach — będzie powszechna wolność, demokracja, życzliwość różnych narodowości jak w Confederatio Helvetica, ale kiedy, kiedy? Teraz nic na to nie wskazuje. A tu tymczasem... czarna rozpacz.

Dochodzi do tego, że lwowianie zazdroszczą tamtym Polakom spod Niemca. Co dzień słyszy się, że ktoś się wybiera przez San na Zachód, za bumagami, z Przemyśla na Zasanie, albo bez bumag, nielegalnie, jak się daje, któredy tylko się daje, najczęściej przez rzekę w bród. Naginęło już tam ludzi, nawpadato w jedne i drugie wraże łapy. Życie jest parszywe, o, jak parszywe! W głowie mi się kręci, żal, zgryzota, ból. Trzeba się wziąć w karby, żeby się nie załamać. Przecież mam innym pomagać.

Załatwiłem co miałem załatwić. Harcerze wysłali kogoś aż na Wołyń, zawiadomić rodzinę dawnego naczelnika Głównej Kwatery, harcmistrza Zbigniewa Trylskiego, że on żyje, jest na Węgrzech, wręczyć przyniesiony przeze mnie list i jakieś pieniądze, próbować postawić tam na nogi ZW2, mnie z kolei przynieść ewentualne zaszyfrowane sprawozdania dla rotmistrza Jana, listy do różnych ludzi. Poważnemu druhowi naczelnikowi łzami oczy zachodziły, gdy się ze mną żegnał w pensjonacie na Szent Kiralyi utca. Podobnie było z kapitanem z „Reginy” paryskiej, przyjacielem rotmistrza Jana. Przyjechał służbowo, ze Sztabu Naczelnego Wodza do Budapesztu i zaklinał mnie na wszystko, abym pomógł jego rodzinie. Więc wszystkie takie sprawy pozałatwiałem, trochę radości dałem ludziom w tę czarną, upiorną noc bolszewickiej okupacji, trochę nadziei. Ale — co ważniejsze — uporałem się ze służbowymi zadaniami, rozmawiałem z kim miałem rozmawiać, przekazałem organizacji podziemnej elementy szyfru i łączności radiowej, wziąłem sprawozdania, nałykałem się tajemnic podziemnych, spamiętałem liczne żale. Kilku ważnym osobom proponowałem przeprowadzenie na Węgry; wszyscy odmówili, choć im oczy się świeciły. Jedni odmówili ze względu na śniegi i mrozy, może wiosną się zdecydują albo latem, teraz to nie na ich zdrowie, nie na ich słabe siły. Dwóch odrzuciło propozycję, bo „tu ich posterunek”, mówili o jakichś długach, które „trzeba spłacić”. Jeden chciał iść, ale się akurat rozchorował. Od wszystkich „jechało sanacją” na miłą, nie kryli się, mieli mnie za swojego, ale równocześnie tyle było w nich patriotyzmu szczeropolskiego, tyle dzielności, że aż mnie zadziwili. Zadziwili i ujęli sobie. Obiecali wreszcie, że może kogoś do przejścia „zorganizują” potem, jeśli dojdą do wniosku, że inaczej się nie da.

Chodziłem tak po tym kochanym a tak nieszczęśliwym mieście Orląt, dusząc w sobie łkanie i żal. Tylko „dla innych miałem twarz jednakową”, a spotykałem tych innych chcąc nie chcąc — raczej nie chcąc — i zawsze takie spotkanie kończyło się jeszcze większym żalem.

Wiadomości były różne, ale dobrych wśród nich nie było, co najwyżej zdarzały się nie całkiem złe. Przy nazwiskach wielu kolegów, druhów, znajomych padały słowa: „Przepadł bez wieści, nic nie wiadomo, żadnej wiadomości”. Ale przy niektórych, a liczni byli, mówiono tylko jedno słowo „aresztowany”, albo „zginął”. Profesor Dworzak — przepadł, harcmistrz Czarnik — aresztowany, tak samo druh mój i przyjaciel — jeszcze ze zlotu w Poznaniu, gdzie jego drużyna, 15-tka lwowska, i nasza, 1-ka drohobycka, razem obozowały, on był komendantem a ja najmłodszym uczestnikiem — harcmistrz Zielicki (wtedy to był jeszcze Antek Gruenberg). O dwóch studenckich sławach

Konserwatorium im. Karola Szymanowskiego — o cudownym skrzypku, młodziutkim Edziu Statkiewiczu, który urzekł nas wszystkich na popisie egzaminacyjnym, dyplomowym, koncertem Karłowicza, i o wspaniałym, „głęboko-studziennym” basie, Marianie Nowakowskim — nic nie było wiadomo, niepokój wielki, czy przeżyli, ale i nadzieja, że może, że jednak... a jeśli tak — to można mówić o pewności, że jeszcze o nich głośno będzie. O kilku profesorskich sławach wiedziano więcej, ale — niestety — raz na lewo, raz na prawo.

Drzewiecki, Cetner, Didur są prawdopodobnie „po tamtej stronie”, Adamczaka i Steinbergera widziano we Lwowie, zbiedzonych, źle ubranych. Zdzisław Lodomirski, mój profesor z klasy fortepianu, zaginął we wrześniu. Najsmutniejsza była chyba wiadomość o profesorce teorii i harmonii, Zofia Lissa, lubiana przez wszystkich, życzliwa Żydówka, okazała się zacieklą komunistką, groźną dla innych, ostrzegano mnie przed nią.

Źle się czułem. Zaczęłem się bać tych przygodnych spotkań, tych rozmów. Nic tu już po mnie, nic po nas obu, kurierach bazy „Romek”. Czas wracać do bazy.

Poszedłem do Tońka na „Zilone”, myśląc, że może on kogo zwerbował; z tych młodszych przynajmniej żołnierzy Sikorskiemu przysporzymy. A jeśli nie — trudno — nasz czas nadchodzi, nie ma już tu co robić. Zwłaszcza, że tak mnie męczy ta męka Lwowa!

Batiara kochanego nie było w domu. Jego matka — bardzo zatroskana — zaprowadziła mnie, przepaszając, uprzedzając, do jakiejś knajpy. Był tam, owszem, drab, ale tylko ciałem, stał przy bufecie, kiwał się, chwiał się na nogach, kufel piwa w łapie, barami zasłaniał pół lokalu, zalany „w drybiazgi”. Widziałem, że matce wstyd było, ale co miałem robić. Podszedłem do Tońka, patrzył na mnie, patrzył mętym wzrokiem, gdy się do niego odezwałem, wreszcie coś mu zaskoczyło, błysnęło w oku, zatoczył pełnym kuflem szerokie koło, aż się piwo wylało i powiedział tak jakby mnie przedstawiał wszystkim:

— Mój szefuniu! Nie b-batiar, nie z n-naszyj siczy, ali w tłoku ujdzi. On jes „Jeden” a ja „Plus jeden”, k-krzywdy mu nie dam zrobić. Poniatno? Lolu, daj mu browar. Ali... z kołnierzym, jak si należy.

— Chodź, Tońku, do domu, bo to ja ci krzywdę zrobię. A piwa nie chcę.

— Tońku do hawiry? T-ta ty zdumiał czy co? Taze oni ś-świeży piwu dostali, to w ich zasranyj r-radiańskiej gospodarcy o-okazja jak cho-olera.

I nagle ryknął na cały głos Komzakowego walca:

Ach, jak ja si dziś upiji, Dzieci, dzieci, raz si żyji...

Kiwnął głową nad ladą. W jej blasze zobaczył mętne odbicie swojej twarzy, przyjrzał jej się z pijacką uwagą i powiedział pod nosem ale wyraźnie:

— Raz si żyji, ali umierać można k-kilka razy. na różny s-sposoby.

Od bojców, od śniegu, od m-mrozu, od wilków, od własnyj kuli... nie tak to jest, szefi?

— Tak — odpowiedziałem na odczepnego — ale chodź już.

— Ta jak Tońku może iść, jak ani jednegu ż-żołnierza RP nie zwerbował? Możysz to wytłumaczyć, to Tońku ciekawy p-posłuchać.

— Panie szefi — restaurator do mnie — tu si każdy domyśli, o co jemu idzi. Bier go pan i chybajci.

— Za dużu wu-de-jotów, Naganowski t-to mówi, a jak m-mówi to musi wiedzić.

— Nie masz racji, Tońku — wpadam na pomysł i mówię mu po cichu: — Ci co mieli pójść, to już poszli na jesieni. Ja się z tobą założę, że tam. gdzie ty wiesz a ja rozumiem, najwięcej jest paszaków ze Lwowa.

— To moży buc prawda. I trochu z B-byczegu Grodu.

— I trochę z Drohobycza. Z kresów wschodnich w ogóle. Tak że nie masz co narzekać na ferajnę. A ci, co zostali, pójda na wiosnę, bo na nartach nie każdy zasuwa.

— Widzisz, mamu, mój szef m-ma znowu recht. No to w ten b-browar jeszcze, co? Ookazja!

— Dobrze, napijemy się razem, ale to już twój ostatni kufel.

— W-wygadać si muszy. Wczoraj były z-zapałki, kupiłem mamu na cały rok, dziś jest browar, i to za bezcent, to trza p-pić, bo jutru znów będzie tylko juszka spod staryj baby. Jak w całym R-radiańskim Sojuzi. Ali... żadna n-nas siłą radziecka z-zniszczyć nie zdoła...

— Cichu, Tońku — podniósł wreszcie glos ten zza lady — po co znowu pyszczysz?

— Co cichu, chto cichu, ja? Ty do mni t-taki bałak, Lolę, do T-tońka Na-a ganowskiego?

— Tońku, ta ja już nie mam do ciebi zdrowia, jak Pana Boga kocham — popłakuje mamu — ta chodź-ży już.

— Jeszczy nie, mamusiu, mamuńciu, jeszcze nie. Ja ci kocham, ali nie!

— Panie Tadziku — mówi ona do mnie po cichu — wygnaj go pan stąd. Niech pan Tadzik patrzy na tych kirusów. Tu ludzi zawszy za dużu pili, ale tera to już ja si boji, że to będzie koniec. Z żalu, z bólu kaźden żtopi co si da, samogon już si pokazał, zalali nas ci wszarze, a tera sami si zalewamy wódką. Co z naszym narodem będzie, jak wciąż tak musi chlać. Tońku — krzyknęła nagle głośno i z rozpaczą — w tej chwili do hawiry!

— Jeszczy nie. „O mamu, otrzyj oczy... bo t-tylku mi c-ciebi, m-mamu, tylko mi P-polski żal". I Lwowa!

— A dzie ten, że cię tu przyciągnął, ten twój zły duch?

— Felek? P-pod stołem, stracił w-wprawę, ale to kutas, n-nie chce iść, kuca si jak cholera. Straszni dużu ciulów t-tera si porobiło we Lwowi, wszystku im wisi, tylko te zmartwiony miny mają, kopani, t-tylku to ruszani ramionami i b-bajtlowani, że wszystku na nic, że sz-szkoda krwi. Szlag by ich ft-trafił wu-de-jotów! Za Lwów sz-szkoda krwi? No, to Tadyk, c-cyk! Ty inny facet. A wiesz ty, co Tońku nowego wymyślił? „W sklepi lada lado-jaka moży być, byli towar był". Podoba ci si? t-trafił „Plus jeden"? Fajny co?

— Fajne! Ale, Tońku, mówię ci po raz trzeci: chodź już.

— A ja ci bałakam: p-pij, bo jutru nie będzie. Co masz j-jutru wypić, p-pij dziś. Pamiętaj jak ja z

Jasim o-ostatnio popijał, choć P-pogoń zdradził gła jakiegus tam Junaka, Lwów zdradził i o-okołtunił si w Drohobyczu. Ja z nim trenował na bor, szer, palinka, ed, ket', harom...(wino, piwo, wódka, raz, dwa trzy...)

— Tońku, stulże wreszcie pysk — syknąłem mu w ucho — przestań już trajlować. Jak nie idziesz zaraz, to ciebie tu zostawiam i żebym tak skonał, pojedę sam.

— Co? — jakiś trzeźwiejszy ton w tym „co” zabrzmiał.

— To co słyszysz.

— A, to smutny, to trzeba zmienić taktykę. Jeszczy jednu piwku, szefie, pod hajrem, jakem Naganowski. A może ja jeste Nagański? Nie, Naganowski, zresztą wsio gawno.

— Ty moży Naganiacz — wtrącił Lolu, restaurator.

— Mina egy, ali ten pan, ten Tadyk, że tu stoi, on wi, jaki ja — no, już, już, jeszczy jeden „radziecki” browar, bez kołnierza, szczyzna taka, jednu, jedyny, jedyniutki p-piwku, potemu si Naganowski odleji za czech i możemy zaiwaniać do Zosi, do domku myśliwskiego i do znaków turystycznych, co, ha, fajny bałak ten twój gruby Jędryk wymyślił. Wisz ty, co jegu brat wymyślił? — zwrócił się do restauratora — ten, że na czyraki poszedł do szpitalu...?

— Nikt nic nie wymyślił, dość twoich głodnych kawalków, wypileś już to ekstra piwo, idź się odcedź i jazda.

— Pani syn tu tak od ranią kibluji — mówi współczującym głosem restaurator do matki Tońka, kiedy ten się wytoczył do ubikacji — całkim se pęcherz popsuj. Piji i hula na ustę i znów piji i znów hula, ten browar mu przelatuj! przez organis jak przez dziurawy wiadru, naj go państwu zabirają zaczem jeszczy nie całkim chory. Ja mam mojrę, że mi może lokal zdemolować, ja go wim, co on potrafi pod gazym. A bałaka taki rzeczy, że ja si aż pocę, ludzi si półgębkiem śmieją, ali czy to ja wim tera wszystkich, pełno obcych, bieżęńców, szpicli...

Więc tak to było. Zaciągnęliśmy Tońka do domu, rypnął na łóżko jak długi, dwa nocniki mu mama zostawiła na widoku, popłakiwała, prosiła żeby na niego w drodze uważać (bo pan Tadzik wi, on stary byk, dużo starszy od pana, ali to dziecko, dobre dziecko, nie powim, zegarek mi dał w prezenci, zawsze coś przyniesi i pomoże, tylko kirus zawsze był, a jak mu Mania umarła, to si czasem w szwach rozłazi, rozumi pan Tadzik, i wtedy nie myśli co robi, dwie rzeczy u niego nie sztymują, jak si napiji, to durniej,ajak mu chto na nadgniotyk więzi — to si robi straszny bandzior, to niech pan Tadzik kombinuj, żeby tych dwóch rzeczy nie były, on si o panu Tadziku bardzo grzeczni wyrażał i za jakąś Zosię coś bałakał).

Każda mama taka sama, krzyżyk mi na czole zrobiła, jemu też, pocałowałem ją w rękę, jeszcze przeprosiła, że się wtrąca, ale ona myśli, że Tońkowi nie trzeba nigdy żadnych adresów dawać ani sekretów powierzać, bo on jest dobre dziecko, raz, jako mały brzdąc jeszcze, podstawił nogę uciekającemu żołnierzowi ukraińskiemu i nasi go wzięli do niewoli, dużo śmiechu było. Tak, tak obrońca Lwowa, prawdziwy Polak, po ojcu świętej pamięci, ale jak się napije — to za dużo gada, więc żeby nie było nieszczęścia, to niech on jak najmniej wie, jeszcze póki Mania żyła, wyglądało wszystko inaczej, ale od tego nieszczęścia — to wie pan Tadzik jak to jest...

Na drugi dzień nic po Tońku nie było poznać, nic a nic. Przyjechał do mnie na Leona Sapiehy, i pierwsze jego słowa były normalne:

— No, łzy mamy mamy już za sobą. Tera dawaaj! Poszliśmy razem po spluwy, i z przyjemnym ciężarem broni w kieszeniach — na dworzec. Wszystkie moje papiery elegancko pochowane, pozaszywane, bez żadnego kłopotu jedziemy, tyle że przez cały czas w ścisku okropnym.

— Tońku pieczeni pieczeni czuji w brzuchu — mówi batiar, żeby się popisać.

Ja mu na to, że to z przepicia, Katzenjammer, udaję że jego „kawalka” nie chwyciłem. On się obraża, ale zaraz się „odbraża” i śmieje. Pod wieczór dojechaliliśmy do Byczego Grodu.

Wysiedliśmy dopiero na Małej Stacji — „Drohobycz-Miasto” — i po ciemku, uważnie, przez Kozłowskiego, potem przez cegielnię do ulicy Ochronek, koło naszego dawnego pola, dawno już nie naszego, na róg Polnej. Pod klasztorem ojców Kapucynów, a dziś pod koszarami Czerwonej Armii, czekałem, spacerując tam i z powrotem, Tońko poszedł do naszego domu rozejrzeć się w sytuacji. Przybiegła z nim po chwili Stasia, jak zawsze dzielna choć biała jak kreda, ale ucieszona, i zaprowadziła nas znów na Stawiszczce. Ewunia była na Polnej po południu, prosiła, żebym do nich przyszedł jak przyjadę, cała rodzina bardzo prosi, no a mnie znów do tego tak prosić nie trzeba. Tońko został na gospodarstwie u babci Mani, ktoś mu zawsze dotrzymywał towarzystwa, albo miał coś do czytania (czy czytał?), a ja bocznymi drogami... na świętego Jana. Piękny to był wieczór, mój pierwszy wieczór w domu Ewy mojej w charakterze jej narzeczonego. I w charakterze... kuriera od przyszłego teścia. Dużo było radości, pytań, śmiechu, ale... gdy opowiadałem o Lwowie, wszystkie głowy i główki — od babci do wnucząt — bardzo były nisko spuszczone.

Zbigniew Herbert Longobardowie

Ogromny chłód wieje od Longobardów
Mocno siedzą w siodle przełęczą jak na krzesłach spadzistych
W lewej trzymają jutrznie
W prawej bicz lodowce smagają juczne zwierzęta
Ogniska trzaskanie gwiazd popiół wahadło strzemienia
Pod paznokciami pod powieką
Grudki krwi obcej czarne i twarde jak krzemień
Palenie świerków szczekanie konia popiół
Wieszają na urwiskach węża obok tarczy
Wyprostowani idą z północy bezsenni
Prawie ślepi kobiety nad ogniskami kołyszają czerwone dzieci

Ogromny chłód wieje od Longobardów
Cień ich trawę przepala kiedy zlatują w dolinę
Krzycząc swoje przeciągłe *nothing nothing nothing*

Adam Heydel Camera Obscura

Egzaminując z ekonomii (po II-gim roku prawa) na Uniwersytecie Jagiellońskim, zadałem pytanie, nie należące ściśle do materiału egzaminacyjnego: co to jest materializm dziejowy? Gdy nie otrzymałem odpowiedzi od czterech siedzących przede mną kandydatów, zacząłem to pytanie powtarzać częściej. Odpowiedź prawidłowa była wyjątkiem. W większości wypadków kandydaci nie próbowali w ogóle odpowiadać. Przed kilku dniami zrobiłem tę samą próbę na Seminarium ekonomicznym (II rok prawa) w obecności pięćdziesięciu słuchaczy. Odpowiedział jeden. Z największym zainteresowaniem wyczytałem też rewelacje senatora prof. Bartla o poziomie ogólnego wykształcenia studentów politechniki. Sprawa jest wstydliva i delikatna, ale zarazem jest groźna. Dlatego dobrze się stało, że te rzeczy wyszły na światło.

Rewelacje prof. Bartla trzeba powtórzyć, bo powinny być znane wszystkim.

„58 procent studentów nie wiedziało, kto to był Raymund Poincaré. Akwafortę określali studenci, idący na wydział architektury, jako „ujście wodociągowe”, 38 procent nic o niej powiedzieć nie umiało, 11 procent nie wiedziało o Galileuszu, 48 procent nie słyszało o Ryszardzie Wagnerze”.

Zrobiłem podobną próbę: podczas wykładu w innej uczelni wyższej zacząłem pytać o znaczenie – ogólnie zdawałoby się znany słów – których używałem w czasie wykładów. Oto odpowiedzi:

„Co to jest ortodoksalny?” – Milczenie

„Co to jest ortodoks?” – Jedna ręka podnosi się do góry – odpowiedź: „starozakonny”.

„Co to jest lesseferyzm?” – Nikt nie słyszał tego znanego barbaryzmu.

„Co to jest kwestionariusz?” (Słuchaczka, do której skierowałem pytanie): „Kartka, której się używa w sklepie lub w biurze”.

„W jakim celu?” – „Do wpisywania nazwisk”. Trudno w tych warunkach wyklądać!

Jeden z moich kolegów polecił asystentowi zająć się specjalnie na proseminarium objaśnianiem „słów uczonych”, w rodzaju tych, które wymieniłem. Stwierdził bowiem, że słuchacze nie rozumieją jego wykładów z tego właśnie powodu.

Przykładów podobnych mogę przytoczyć więcej z praktyki egzaminacyjnej. Jako wstęp do pytania z zakresu ekonomii (wpływ wysokości stopy procentowej na kurs papierów wartościowych) stawiam nieraz pytanie: „ile jest 5 procent od dwustu?”. W wyjątkowych wypadkach dostaję odpowiedź trafną. W ogromnej większości wypadków odpowiada milczenie lub padają skargi, że bez papieru i ołówka nie sposób ułożyć potrzebnego równania $(100:5) - (200:x)$.

Materiał uczniowski, który w ten sposób odpowiada, to słuchacze, kończący II rok prawa. Przy egzaminie z I-go na II-gi rok odrzucono już 40-50% kandydatów. Przy egzaminie z II-go roku na III-ci odpada mimo ciągłych protekcji, interwencji i lamentów 25-30%. Promotorzy egzaminujący na III-cim i IV-ym roku skarżą się jednak jeszcze na bardzo niski poziom tej „wybranej” młodzieży, która dopływa do ich wykładów.

Trzeba wołać na alarm, bo grozi nam takie obniżenie kultury, jak w Sowietach. Trzeba dojść

przyczyn, i szukać środków zaradczych.

Złe przygotowanie w szkołach średnich jest niewątpliwe. To, że pogorszyła stan rzeczy reforma „Jędrzejewiczowska”, jest już ogólnie uznane. Nie będę uzasadniał twierdzeń, że nauczyciel bez wykształcenia akademickiego, nie może uczyć dzieci kilkunastoletnich, że wybór specjalności w wieku 16 lat jest niedorzecznością, że skandaliczne są niektóre punkty niektórych programów licealnych.

Nauczyciel ma nauczyć ucznia, co to jest kapitalizm, socjalizm, czy etatyzm (i ocenić co lepsze) lub jaka była strategia Napoleona. Każe się, słowem, jednemu człowiekowi (historykowi) rozwiązywać i podawać w popularnej formie rozstrzygnięcia pytań, nad którymi głowić by się musiały całe fakultety specjalistów.

Nie wątpię, że ratunek szkoły średniej jest w powrocie do ośmioletniego gimnazjum. Ale to nie wszystko. Musi się wyznaczyć właściwe miejsce metodom nauczania. Trzeba zrozumieć, że nauczanie początkowe i średnie jest dalszym ciągiem tresury domowej. Ma dziecku dać zasób wiadomości, nauczyć je pracy, rozwinąć pamięć. Nie wolno zastępować tych rzeczy dyskusją i problematyką. Inaczej dochodzi się do dyskusji w próżni.

Uczeń przychodzi do szkoły wyższej z brakiem najbardziej elementarnych wiadomości faktycznych. Uzupełniać je musi uniwersytet. Obecna szkoła powszechna i średnia chce zastąpić uniwersytet: dyskusja, dialektyka, problematyka, sądy i oceny, a dzięki temu właśnie uniwersytet zamienia się w szkołę początkową.

Podaję przykład odpowiedzi na pytanie o procent, bardzo często spotykam się także z nieznanymi najprostszymi działaniami arytmetycznymi, tabliczkach mnożenia, mimo, że na ogół matematyki uczy dziś szkoła średnia więcej, jak niegdyś. A gramatyka i ortografia polska! A zupełny upadek znajomości języków obcych! A daty historyczne!

Obok bardzo wątpliwej metody „rozwijania”, która powinna ustąpić dawnej metodzie wzbogacania wiedzy faktycznej, występuje inny brak szkoły powszechnej: złe wykorzystanie czasu. Uspołecznianie uczniów przez samorząd szkolny, świetlice, harcerstwo, uroczystości narodowe itp. zabiera czasu bardzo wiele i utrudnia właściwe kształcenie dzieci. Jeżeli zaś dodamy, że także i „uspołecznienie” nie zawsze wiele korzysta z owych zebrań, obrad, defilad itp., to przekroczenie umiaru w tych sprawach okaże się niewątpliwe. Zdrowy rozsądek każe również wątpić w użyteczność tak zwanych „badań w terenie”. Znam wypadek, gdy nauczycielka zaleciła uczniom szkoły powszechnej pójść na giełdę, by tam zbadać kursy walut. Woźny okazał się mądrzejszy, bo malców przepędził.

Poza niewątpliwą winą szkół niższych i średnich jest jednak przyczyna złego, leżąca głębiej. Przed paru laty egzaminowałem z polityki agrarnej doktora obojga praw, który dodatkowo uczęszczał na kurs współdzielczy. Przebieg egzaminu był następujący:

„W jakich krajach przeprowadzono po wojnie reformy agrarne?” – Kandydat nie może wyliczyć.

„W jakich krajach sąsiednich z Polską, przeprowadzono reformę agrarną?”

Pan Doktor zaczyna: „Węgry, Rosja” –

„Czy Węgry graniczą z Polską?” – Kandydat: „Małym kawałkiem...”

Zmieniam pytanie: „Niech pan Doktor wyliczy kraje, które sąsiadują z Polską”. – Kandydat: „Litwa

– Rosja – Rumunia...”

Przerywam: „Co leży między Litwą a Rosją?”

Kandydat po chwili wahania: „Kurlandia”. –

„Czy jest obecnie państwo o takiej nazwie?” –

Kandydat: „To taki mały kraj...”.

Doktor praw dostał dwóję, był zdziwiony i na pożegnanie oznajmił mi z przekąsem, że geografii uczył się już dawno.

W jednej z wyższych uczelni polecono słuchaczom wrysować w ślepią mapę Europy granice państw i miasta stołeczne. Znalazł się taki, który wyrysował Polskę sąsiadującą z Francją, a Niemcy umieścił na wschodzie, między Polską a Rosją.

Inny kandydat przy tym samym egzaminie powiedział mi, że Napoleon I-szy żył w roku 1870.

Te fakty przerażające dają najlepiej poznać jaką perspektywę wynosi ze szkół średnich (a czasem i z wyższych) polski inteligent.

Co wie o świecie człowiek, który nie umie wyliczyć krajów, sąsiadujących z Polską i wyobraża sobie, że Napoleon I-y żył w drugiej połowie XIX wieku?

Jak to się stało, że ci ludzie przemknęli się przez oczka sieci egzaminów – nie wiem. Tym trudniej zrozumieć, jak się to mogło stać, że poza klasą szkolną i salą wykładową nie natknęli się na książkę, gazetę, mapę, czy rozmowę, z których dowiedzieliby się o Napoleonie lub o granicach Polski. Wytłumaczyć to sobie mogę niestety, tylko w ten sposób: zbyt szybką demokratyzacją studiów wyższych. Prowadzi ona do tego, że przez te studia przepychają się z największym wysiłkiem dzieci z domów, gdzie ani mapy, ani książki, ani tym bardziej akwaforty nie widziały, gdzie nie słyszały muzyki Wagnera, imienia Poincaré’go, czy Napoleona.

Są wyjątki. Oczywiście, że są wyjątki. Najlepsi studenci uniwersytetów nie są zapewne gorsi dziś, niż bywali najlepsi 30, czy 25 lat temu. Ci dobrzy rekrutują się też ze wszystkich środowisk. Ale procent dobrych ze środowiska nieinteligentnego jest niewątpliwie znacznie niższy i handikapowani są oni zawsze mniejszym zasobem kultury ogólnej.

Z moich przykładów można by wyciągnąć wniosek, że winę ponoszą także profesorowie szkół wyższych. Nie chcę twierdzić, że my jedni jesteśmy bez winy. Ale jak opanować i wyuczyć te masy, te setki słuchaczy, które zalegają sale wykładowe i ćwiczeń, nie mówiąc o tych którzy nie zjawiają się na wykładach, a do egzaminów przygotowują się ze „skrótów”? zaostrzyć egzaminy? Ależ podałem cyfry. Na to, żeby osiągnąć poziom właściwy, trzeba by ścinać nie 40-50%, ale 80-100%. Tego żaden egzaminator nie wytrzyma moralnie i nerwowo.

Konkluzje: 1) Złe przygotowanie w szkole średniej, wynikające i z jej organizacji i z jej nastawienia metodycznego. 2) Środowisko domowe wykazujące niesłuchanie ubogie zasoby kultury ogólnej 3) Przeludnienie uniwersytetów, które z jednej strony utrudnia kontakt z uczniem i rzetelne nauczanie, a z drugiej obniża poziom wymagań egzaminacyjnych.

Pisałem w „Obronie Kultury” o złym wpływie etatyzmu na wykształcenie. Podtrzymuję to twierdzenie. Chciałbym je tylko rozszerzyć.

Władysław Grabski powiedział mi:

„ W Polsce każdy chce mało zarabiać i nic nie robić. To jest powód etatyzmu. Tak było u nas zawsze. Szlachcic był w dawnych wiekach urzędnikiem. We Francji był jeden procent szlachty, w Polsce dziesięć procent. Na francuskiego szlachcica wypadało więc 100 nieszlachty – miał co robić. Szlachcic polski stał nad 10 podwładnymi...”

Biurokratyzacja Polski postępuje. Skarży się na to min. Kwiatkowski, jak skarżył się marsz. Piłsudski. Ta biurokratyzacja jest w pewnym stopniu skutkiem przetrwania złych stron psychologii szlacheckiej. Pędu ku posadom urzędniczym t.j. robieniu kariery „na pana”, który w rzeczywistości zostaje jak urzędnik tylko „pańskim dziadem”. Wiąże się z tym wpychanie zbyt wielu dzieci na studia wyższe.

Innym wyrazem tej samej psychologii są ambicje do zrobienia ze szkoły powszechnej i średniej uniwersytetu.

Powie ktoś, że bronię przywilejów? Tak jest, bronię przywileju ludzi inteligentnych i doksztalconych. Chcę, by ze szkół wyższych wychodzili prawdziwi inteligenci, a nie półgłówki, zaopatrzone w dyplomy. Chcę, by nasza inteligencja była szczuplejsza liczbą, ale bardziej zbliżona do wzorów zachodnich, aniżeli do pseudointeligencji bolszewickiej.

Wytwarzanie rzetelnie wykształconej inteligencji, zamiast fabrykowania mas półinteligentów z pretensjami, to postulat obrony kultury.

(1939)

Adam Hlebowicz

Orzeł, co w oczy kłuje

Ta historia zaczęła się w 2004 roku, kiedy prezydent Aleksander Łukaszenko podjął decyzję o rekonstrukcji białoruskiej części Kanału Augustowskiego...

Śladów przywiązania do polskości wśród naszych rodaków w zachodniej Białorusi poszukiwał Adam Hlebowicz...

Kanał Augustowski został przywrócony świadomości Polaków, kiedy w 1999 roku papież Jan Paweł II odbył po nim długi, bo siedmiogodzinny, niezapomniany rejs. Ta jedna z najpiękniejszych w Polsce arterii wodnych posiada swój fragment także po stronie białoruskiej w tzw. trójkącie sopockińskim. Dlaczego trójkącie? Bo tu w jednym miejscu zbiegają się współcześnie granice trzech państw: Białorusi, Litwy i Polski. Na tych terenach, ulokowanych na północny zachód od obwodowego Grodna, zdecydowana większość mieszkańców to Polacy.

Miejsca te bardzo mocno są zresztą powiązane z historią Polski. Sopoćkinie król Zygmunt Stary powierzył niejakiemu Szymkowi Sopoćko, od czego miejscowość zaczerpnęła swą nazwę, twórcą Kanału Augustowskiego natomiast był generał Ignacy Prądzyński, wreszcie już w dziejach najnowszych ziemie te są związane z postacią generała Józefa Olszyny-Wilczyńskiego, o którym jeszcze będzie mowa w tym tekście.

Dość wywłaszczania

Kiedy płynie się kanałem po stronie białoruskiej, na wysokości wsi Dąbrówka, przy jednej z bardziej okazałych śluz, oko przybysza przyciąga niezwykle malunek umieszczony na jednym ze stojących przy brzegu drewnianych domostw. To dużych rozmiarów godło państwa polskiego, orzeł w koronie, umieszczony na czerwonym tle! Jak to?! Przybysz na chwilę się zastanowi – przecież tu Białoruś, nie Polska, choć ta ostatnia znajduje się zaledwie w odległości pięciu kilometrów stąd.

Historia ta zaczęła się w 2004 roku, kiedy prezydent Aleksander Łukaszenko podjął decyzję o rekonstrukcji białoruskiej części Kanału Augustowskiego. Na niewielki skrawek przygranicznego terenu zjechało się wielu notabli, urzędników, speców od wszystkiego, na sprawach budowlanych kończąc.

Wycinano, wyrównywano, betonowano, aż 25 kilometrów tej części kanału doprowadzono do pełnego uporządkowania. W żadnym kraju europejskim taka praca nie byłaby możliwa ani w takim tempie, ani przy totalnej zmianie otaczającego szlak wodny krajobrazu. Już widzę tych ekologów przykuwających się do drzew, protesty w miastach i w terenie, krzyk, jeden wielki krzyk. Tymczasem na Białorusi cisza.

Apogeum destrukcji starego krajobrazu nadeszło w 2006 roku. Wtedy mieszkaniec wsi Dąbrówka, 45-letni Henryk Dworak, mieszkający tu ze swą żoną Walentyną, doszedł do przekonania, że ma już tej sytuacji dość. Na swoim budynku gospodarczym, stojącym frontem do biegu kanału, postanowił wymalować białego orła w koronie.

Bo Henryk Dworak, jak ogromna większość tutejszych mieszkańców, jest Polakiem. Wielkiego orła z Dąbrówki jako pierwszy publicznie dostrzegł i opisał Andrzej Poczobut, działacz nielegalnego dla władz państwowych Związku Polaków na Białorusi, prezes jego Rady Naczelnej.

Dlaczego Dworak się tak zachował? Bo miał już dość wywłaszczania ludzi z ich ojcowizny, wyrąbywania drzew bez żadnego opamiętania, patrzenia z góry na miejscowych przez przybyszów z Mińska czy Grodna. Co się do niego urzędników nazlatywało po wykonaniu malunku... "Przecież tu jest terytorium państwa białoruskiego, kto pozwolił obce godła malować?" – słyszał Dworak.

- Wolność Tomku w swoim domku, u siebie będę malował, co mi się spodoba – odpowiadał na pouczenia niepokorny Polak. Była milicja, była wizyta u władz rejonu w Sopoćkiniach, wszystkie interwencje na nic.

Kiedy zajeżdżam do Dąbrówki, nie zastaję gospodarza w domu. Pytana o zgodę na zrobienie zdjęć żona, odpowiada: - A pewnie, róbcie sobie bez kłopotu. Teraz tu dużo Polaków przyjeżdża, tak miejscowych, jak i z kraju, którzy chcą dzieło męża zobaczyć.

Co ciekawe, dzieło prezydenta Łukaszenki – ożywienie białoruskiej części Kanału Augustowskiego, spełzło na niczym. Nie powstała tu żadna infrastruktura turystyczna, brak hoteli, stanic żeglarskich czy kajakarskich, wszędzie tylko beton i beton. Owszem, w sezonie letnim pojawia się sporo ludzi, ale to raczej biesiadnicy, uczestnicy alkoholowych przyśpiewek przy grillu. I ta sytuacja może pomogła Henrykowi Dworakowi, bo od pewnego czasu władze dały spokój jemu i jego orłowi.

Niezlomna kwatery

Sopoćkiński cmentarz zaskakuje swoimi rozmiarami. Aby go dobrze schodzić, potrzeba kilku godzin. Dość zaskakujące, zważywszy, że sama miejscowość liczy obecnie około tysiąca trzystu mieszkańców. W najstarszej części stoją nagrobne kapliczki byłych właścicieli tutejszych majątków. Tuż obok nich zbiorowa mogiła żołnierzy Polskiej Organizacji Wojskowej z 1919 roku, poległych w walce z Litwinami. Na środku cmentarza zbiorowy grób 65 mieszkańców Sopoćkiń rozstrzelanych w 1944 roku przez hitlerowców.

Uwagę jednak wszystkich, którzy tu trafiają, przyciąga nieduża kwatery wojskowa - siedem białych krzyży, nad którymi powiewa biało-czerwony sztandar. Środkowy krzyż jest lekko podniesiony w stosunku do pozostałych, na metalowej tabliczce napis głosi: "gen. bryg. Józef Olszyna-Wilczyński 27 XI 1890 – 22 IX 1939, dowódca III D.O.K. Grodno".

Wrzesień 1939 roku. Generał Olszyna-Wilczyński próbuje jak największą liczbę polskich żołnierzy przerzucić do granicy litewskiej, gdzie mogą liczyć na internowanie i w przyszłości kontynuację walki z dwoma najeźdźcami. Uruchamia, co dopiero po latach odkrył profesor Tomasz Strzembosz, zejście grupy oficerów do podziemia, bo jak słusznie przewiduje, walka może być ciężka i prowadzona w warunkach dalekich od frontowych. Być może te zajęcia spowodowały, że szkołę w Sopoćkiniach opuszcza wraz z żoną, adiutantem i kierowcą dopiero 22 września.

Tego dnia pada zorganizowana ad hoc obrona Grodna przed sowieckimi tankami. Sztab generała bezpiecznie dociera do granicy, natomiast auto samego dowódcy zostaje zatrzymane koło Góry Koliszówki przez dwa sowieckie czołgi. Żona, Alfreda Wilczyńska i kierowca zostają odprowadzeni do pobliskiej szkoły. Po chwili słyszą dwa strzały. Generał Józef Olszyna-Wilczyński i jego adiutant, kapitan Mieczysław Strzemeski zostają zamordowani z broni krótkiej strzałem w tył głowy. Na pół roku przed rozkazem Stalina w sprawie katyńskiej.

Ciała zabitych zakopano na miejscu, jednak polska ludność strzegła ich. W tajemnicy przed nową władzą ciała ekshumowano i przeniesiono na sopoćkiński cmentarz. Przez lata otoczone tajemnicą, od dwudziestu lat nareszcie mogą odbierać należny im hołd, od tego też czasu nieprzerwanie nad tymi mogiłami powiewa biało-czerwony sztandar. Podobno tylko raz w ciągu tak długiego czasu

zdarzyło się, że tzw. nieznani sprawcy zniszczyli flagę. W jej miejsce szybko jednak pojawiła się nowa.

Zagadkowy sztandar

Ziemia nowogródzka to najwyżej położone tereny we współczesnej Białorusi, a zarazem biegun zimna w tym kraju. Polakom, ale i nie tylko, ziemia ta jednak kojarzy się głównie z Zaosiem, Świtezią i samym Nowogródkiem, czyli miejscami, gdzie rodził się i stawiał pierwsze kroki wielki Adam Mickiewicz. W miejscowej farze w lutym 1799 roku został ochrzczony, co upamiętnia okolicznościowa tablica.

Ten zabytkowy obiekt tradycją sięgający średniowiecza w przeszłości był świadkiem także innych ważnych wydarzeń, przede wszystkim ślubu Władysława Jagiełły z Zofią Holszańską, z którego to związku potem urodzili się kolejni polscy królowie i wielcy książęta litewscy Władysław Warneńczyk i Kazimierz Jagiellończyk. Inne wydarzenie, bitwę pod Chocimiem z 1621 roku i jej ofiary, upamiętnia epitafium z drugiej strony kościoła.

Po wejściu do tej niezwyklej świątyni co innego przyciąga jednak uwagę. Nad chórem, na wysokości organów, zwiesza się z góry na dół ogromnych rozmiarów amarantowy sztandar z wyszytym pośrodku białym orłem w koronie. Po chwili indaguję jedną z siostr nazaretanek, gospodyń tutejszej świątyni, o źródło pochodzenia tego sztandaru.

Jak się okazało, w jednej z wież kościoła, w czasie przeprowadzanego remontu odnaleziono wiele starych świeczników, monstrancji, obrazów, feretronów, ornatów, chorągwi kościelnych, a pomiędzy nimi ten unikatowy sztandar. Nikt nie zna jego pochodzenia, nikt na razie nie określił jego czasu powstania, najpewniej nie jest jednak bardzo stary, na co wskazuje wygląd orła.

Czy był symbolem jakiejś przedwojennej polskiej organizacji, czy też powstał w latach wojny lub też tuż po niej, już w warunkach okupacji sowieckiej? A może ktoś z naszych czytelników, wszak wielu obecnych mieszkańców Pomorza ma korzenie kresowe i dobrze zna tamte tereny, pomoże w rozstrzygnięciu tej zagadki?

(Polska Dziennik Bałtycki, listopad 2010)

Jussi Jalonen Przypadki porucznika Kurko

Zapalony żołnierz, poszukiwacz przygód, antykomunista: młody Fin był jednym z ochotników z zagranicy, którzy w 1920 r. pomagali Polakom odeprzeć ofensywę Armii Czerwonej.

Wojna polsko-bolszewicka z lat 1919-21 wzbudziła wielkie zainteresowanie międzynarodowe. Wśród zagranicznych obserwatorów znalazły się wtedy w Polsce takie osobistości, jak młody Charles de Gaulle i monsignore Achilles Ratti, przyszły Pius XI. W polskiej armii zaś służyło wielu ochotników z zagranicy. Byli wśród nich nie tylko amerykańscy piloci z Eskadry Kościuszkowskiej, dziś najbardziej znani, ale też Finowie. A wśród nich 21-letni Kaarlo Sakari Kurko.

Na wojnę z liceum

Karierę wojskową zaczął w czasie fińskiej wojny domowej w 1918 r.: chłopak z liceum w Pieksämäki (rocznik 1899), przyłączył się do ochotniczych wojsk fińskiego rządu – czyli „białych”, walczących z fińskimi „czerwonymi” (wspieranymi przez armię bolszewicką) – i w ich szeregach dosłużył się stopnia starszego sierżanta. Ale krwawa wojna z rodzimymi „czerwonymi”, zakończona ich klęską i obronieniem niepodległości Finlandii, nie starczyła sierżantowi Kurko, który szukał bitew i przygód.

W grudniu 1919 r. fiński rząd i osoby prywatne zaczęły rekrutację ochotników, którzy mieli pomóc wybijającej się na niepodległość siostrzanej Estonii w walce z rosyjskimi bolszewikami. Kurko jako jeden z pierwszych zgłosił się do oddziałów, organizowanych przez pułkownika Hansa Kalma i znanych jako „Synowie Północy”. Do stycznia 1919 r. estońska armia, wspierana przez 4 tys. fińskich ochotników, powstrzymała marsz bolszewików i zorganizowała z powodzeniem kontrofensywę. Finowie uczestniczyli w zdobyciu miasta Narwa i w walkach na północnej Łotwie. Gdy wiosną estoński front został zabezpieczony, większość Finów wróciła do ojczyzny. Niektórzy, w tym Kurko, zostali – i brali udział w dalszych walkach z bolszewikami w rejonie Narwy.

Kiedy w grudniu 1919 r. zaczęły się negocjacje pokojowe między Estonią a Sowietami, ci z fińskich ochotników, którzy niechętnie myśleli o powrocie do domu, dostrzegli dla siebie nowe pole bitwy – nieco dalej na południe. Kurko pisał później we wspomnieniach: „Wspaniałe wieści dochodzą z Polski! Słyszeliśmy, że marszałek Piłsudski i jego ukraińscy sojusznicy planują wielką ofensywę przeciw Rosji. Kto by nie chciał wziąć udziału w takiej historycznej kampanii? Ci z fińskich ochotników, którzy nadal przebywają w Estonii i Łotwie, są pełni entuzjazmu na myśl o nowej okazji do walki ze zniechęconymi Moskalami, i to w Polsce, kraju znanym naszym przodkom. Musimy się dostać do Polski, to absolutnie konieczne”.

Długa droga do Polski

Dostać się do Polski... Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Podróżowanie statkiem do Gdańska było trudne, bo fińscy konsule w Rydze i Tallinie niechętnie wystawiali teraz paszporty ochotnikom: rekrutacja żołnierzy do wojsk „białych” Rosjan, walczących z bolszewikami, była absolutnie zabroniona przez fiński rząd – i ta sama zasada stosowała się do tych, którzy chcieli dołączyć do polskiej armii. Wprawdzie gen. Carl Gustaf Mannerheim, twórca fińskiej armii i jej wódz w walce z Sowietami (tak wtedy, jak i później, podczas II wojny światowej) odwiedził Warszawę i spotkał się z Piłsudskim jesienią 1919 r., ale uczynił to jako zwykły obywatel: po jego porażce w wyborach prezydenckich w lipcu 1919 r. Finlandia – nieustannie zagrożona przez sąsiedniego giganta – wolała nie mieć nic wspólnego z interwencją przeciw sowieckiej Rosji.

Podróżowanie lądem, przez kraje bałtyckie, również było prawie niemożliwe. Polsko-litewska granica była zamknięta i strzeżona, a oba kraje traktowały się wrogo z powodu sporu o Wilno. Granica polsko-łotewska była strefą wojenną, a miasto Dyneburg znajdowało się pod sowiecką okupacją. W tej sytuacji fińscy ochotnicy nie mogli podróżować w jednej grupie, ale musieli odbyć tę podróż każdy na własną rękę.

Mając za sobą dwie wojenne kampanie, Kurko chciał spróbować się w trzeciej – i nic go nie mogło zatrzymać. Przekroczył granicę z Łotwy na Litwę z pomocą Niemca, który wracał do domu z rosyjskiej niewoli. W Kownie skontaktował się z grupą uchodźców, „białych” Rosjan, którzy pomogli mu przekroczyć granicę Litwy z Polską. Niejeden raz wymykał się litewskim patrolom, zanim mógł oddać się w ręce polskim żołnierzom: zadeklarował im gotowość do walki u boku Polaków. Ci uwierzyli – i pozwolili mu jechać dalej, do Warszawy.

Ochotnicy od Bułaka

W lutym 1920 r. Kurko zastał polską stolicę opętaną polityczną intrygą. Podczas gdy front zamarł i trwały polsko-sowieckie negocjacje, „biali” Rosjanie (i nie tylko Rosjanie) szukali polskiego poparcia. Jednym z takich bojowników był Stanisław Nikodymowicz Bułak-Bałachowicz: z zawodu białoruski agronom, a podczas I wojny światowej kapitan carskiej kawalerii, chciał tworzyć siły antybolszewickie u boku Wojska Polskiego. Kwaterę główną swojej „armii ochotniczej” zorganizował w hotelu „Savoy”.

Już pierwszego dnia pobytu w Warszawie Kurko spotkał dwóch Finów, którzy służyli już u Bułaka. Nie zastanawiając się, wziął przykład ze współbraci i także zaciągnął się do dywizji Bułaka, powstającej w Brześciu nad Bugiem. W stopniu porucznika został przyjęty do konnego oddziału zwiadu.

Nie wiadomo, ilu dokładnie fińskich ochotników służyło pod rozkazami Bułaka. Kurko twierdził, że 80 (w tym 13 oficerów) zaciągnęło się wiosną 1920 r. W każdym razie w skład jednostki wchodziła fińska kompania pod dowództwem majora Stenberga i porucznika Hagmana: większość jej żołnierzy była weteranami fińskiej wojny domowej, estońskiej wojny o niepodległość i innych ówczesnych kampanii. Niejaki Sulo Nykänen, Fin pochodzący z terytorium rosyjskiego w rejonie Petersburga, dowodził nawet sekcją wywiadowczą sił Bułaka.

Idealiści, najemnicy, wyrzutki

Zanim zawarł sojusz z Polakami i (nielicznymi) białoruskimi działaczami niepodległościowymi, ataman Bułak służył w siłach „białego” generała Judenicza w Estonii – i najwyraźniej nabył wtedy wysokiego mniemania o fińskich żołnierzach. Finowie nie byli zresztą jedynymi cudzoziemcami u Bułaka: w dywizji służyła też spora grupa Niemców.

W miarę jak trwała wojna polsko-bolszewicka, liczba fińskich żołnierzy w dywizji Bułaka rosła. Kurko twierdzi, że w końcu było tam aż dwustu Finów. Ci nowi ochotnicy mogli być zostać zwerbowani spośród sowieckich jeńców. Wśród oddziałów Armii Czerwonej, które walczyły z Polakami w 1920 r., znajdował się bowiem fiński pułk strzelców, liczący ok. 1650 „czerwonych” Finów, weteranów walk z „białymi”. Podczas ciężkich zmagania z Polakami latem 1920 r. wielu z tych „czerwonych” fińskich żołnierzy skończyło w polskiej niewoli. Możliwe, że szef wywiadu Nykänen odwiedzał obozy jenieckie i przekonał niektórych rodaków do zmiany frontu i przyłączenia się do Bułaka.

Józef Piłsudski nazywał Bułaka „użytecznym bandytą”, a fińscy żołnierze białoruskiego atamana specjalnie się od niego nie różnili. Ochotnicy byli barwną grupą. Niektórzy, jak Kurko, byli poszukiwaczami przygód, którzy szukali adrenaliny i kolejnej okazji, aby walczyć ze

znieawidzonymi bolszewikami. Inni, jak wywiadowca Nykänen, byli oportunistami: dbali o własne interesy i traktowali wojnę jako okazję do zdobycia majątku. Inni mieli osobiste porachunki – z bolszewikami albo nawet z „białymi” Rosjanami. Podobni do ludzi po stronie sowieckiej, sportretowanych w słynnej powieści Izaaka Babla „Armia konna”, fińscy ochotnicy pod rozkazami Bułaka byli zbiorowiskiem idealistów, najemników, kryminalistów i wyrzutków – prawdziwi pechowi żołnierze...

Wojna i człowieczeństwo

W kwietniu 1920 r. dywizja Bułaka dołączyła do polskiej ofensywy. Kurko rzucił się w dzikość wojny z entuzjazmem i autentyczną radością. Po tym, co widział podczas fińskiej wojny domowej, starcie polsko-bolszewickie nie robiło na nim wrażenia. We wspomnieniach znajdujemy lakoniczne komentarze o bolszewickim terrorze, masakrach i gwałtach. Jest tak samo szczery, gdy pisze o polskich reakcjach: zdarzającym się rozstrzelaniu sowieckich komisarzy i wieszaniu agentów Czecha.

Także oddziały Bułaka bywały brutalne. Kurko pisze o różnych okropnościach i swoim w nich udziale. Opisuje, jak jego ludzie ostrzelali z karabinów maszynowych synagogę w białoruskim miasteczku. Jak się wydaje, Kurko przyjął antysemicką postawę, która była rozpowszechniona wśród żołnierzy Bułaka. We wspomnieniach raz po raz pisze o „dzieciach Izraela” jako o chciwych oportunistach, bolszewickich agentach i kolaborantach, którzy sabotują polski wysiłek wojenny. Paradoksalnie, mimo że Bułak również był antysemitą, jego kwatermistrz, kapitan Elin, był Żydem (tak przynajmniej twierdził Kurko). Portret żydowskiego kapitana pod piórem Kurko: „niski rozpustnik, o tłustej twarzy i dwóch małych żydowskich oczkach, fałszywie błyskających”.

Na szanse powodzenia wątego białoruskiego ruchu narodowego patrzył sceptycznie i cynicznie. Obserwując spotkanie grupy białoruskich działaczy w Grodnie, nabiera przekonania, że idea niepodległej Białorusi była „iluzją i snem, które istniały tylko w głowach kilku patriotów pełnych oddania, ale bezsilnych”. Z drugiej strony, choć stracił wiarę w Bułak-Balachowicza i Białorusinów, jego zaufanie do Polski i jej możliwości stawienia oporu sowieckiej Rosji pozostało duże. We wspomnieniach nieustannie chwali organizację, dyscyplinę, morale i umiejętności polskiego wojska, zwłaszcza w porównaniu z rozpuszczonymi i obdartymi żołnierzami Bułaka. Podczas urlopu w Warszawie widzi Piłsudskiego w powozie na Marszałkowskiej i daje wyraz uczuciu podziwu dla polskiego marszałka.

Mimo okropności wojny i swego w nich udziału Kurko zachował część człowieczeństwa. Poruszał go los cywilów, zmuszonych do opuszczenia domów. W czasie odwrotu on i jego ludzie pomogli Ukraincom, dwóm kobietom i chłopcu, dotrzeć do siedziby Czerwonego Krzyża. Kiedyś spotkali wśród uchodźców Finkę, była żoną „czerwonego” fińskiego oficera: po rozwodzie kobieta pracowała w szpitalu w Mińsku i jako sanitariuszka w ambulansach Armii Czerwonej. Podczas bitwy przedarła się na polską stronę. Czując się zobowiązani do pomocy rodaczce, Kurko i jego towarzysze zaopatrzyli ją w pieniądze i żywność (kobieta dotarła do Warszawy, gdzie znalazła pracę jako niania; później poślubiła polskiego ułana).

Aż do smutnego końca

Podczas odwrotu w 1920 r. także Bułak cofał się, aby w sierpniu dołączyć do polskiej kontrofensywy podczas „cudu nad Wisłą”. Dywizja Bułaka toczyła ciężkie boje z „czerwoną” kawalerią koło Lublina. Wspomnienia Kurko przedstawiają bitwę jako piekielny chaos: artyleria, broń maszynowa i strach ludzi, którzy nawet w środku walki starają się go stłumić wódką. Kurko odsłania dziką pasję zabijania: pisze, jak „nasz karabin maszynowy miarowo trajkotał, posyłając ludzi Budionnego na spotkanie z ich przodkami”. Potem oddziały Bułaka i fińscy ochotnicy uczestniczyli w zdobywaniu Pińska.

Chwała zwycięstwa nie trwała długo. Gdy w październiku Polska podpisała rozejm z Sowiecami, Bułak-Bałachowicz zdecydował się samotnie kontynuować walkę o „wolną Białoruś”. Kurko i inni Finowie, nadal służący w jego dywizji, uczestniczyli w ataku na Mozyrz i bitwie nad Prypecią, gdzie siły Bułaka zostały rozbite przez Armię Czerwoną. Niedobitkom udało się wycofać do Polski.

Tu Finowie znów się zaciągnęli, tym razem do generała Peremykina, dowódcy Rosyjskiej Ludowej Armii Ochotniczej: formacji „białych” Rosjan, także walczących po stronie polskiej, którzy po polsko-sowieckim rozejmie postanowili walczyć dalej – i przebijając się przez Ukrainę do „białej” armii gen. Wrangla. Krótka wyprawa na Ukrainę zakończyła się fiaskiem; Kurko wspominał z niesmakiem, jak wielu żołnierzy Peremykina zwróciło się przeciw swoim oficerom i przeszło na stronę „czerwonych” w czasie pierwszej bitwy. Finom ledwie udało się uciec ku rumuńskiej granicy.

Obieżyświat pisarzem

Z końcem 1920 r. Kaarlo Kurko wrócił do Finlandii. Ale długo tu nie zabawił: w okresie międzywojennym kontynuował swe przygody w szeregach Legii Cudzoziemskiej w Afryce Północnej i Indochinach dopóty, dopóki się nie ustatkował – i nie zaczął kariery pisarskiej. Napisał szereg książek, z których pierwsze wydanie jego wspomnień z 1920 r. (zatytułowane „Z Polakami przeciw bolszewikom”) ukazało się w 1933 r., a wydanie drugie w 1939 r. – w przeddzień II wojny światowej. We wstępie do tego wydania Kurko chwalił polski patriotyzm, wyraził też przekonanie o historycznym znaczeniu „cudu nad Wisłą” i przypomniał o honorowym długu, jaki Europa zaciągnęła wtedy u Polski, kraju, któremu zagrażały obecnie zarówno III Rzesza, jak i ZSRR.

Choć jego prywatne archiwum zostało częściowo zniszczone w czasie sowieckich nalotów na Helsinki w 1944 r., Kurko kontynuował pisanie aż do czasów po II wojnie światowej. Jego dowódca z 1920 r. nie miał tyle szczęścia. Bułak-Bałachowicz walczył w randze generała w siłach Franco w hiszpańskiej wojnie domowej; do Polski wrócił w 1939 r. Po tym, jak uczestniczył w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r., na czele oddziału ochotników, utknął w okupowanej polskiej stolicy – i tu zginął, zamordowany w 1940 r. (według niektórych źródeł przez gestapo, według innych przez NKWD).

Kaarlo Kurko dożył 90 lat; zmarł w 1989 r. Dane mu było jeszcze zobaczyć, jak komunistyczne rządy wałą się w kraju, o którego wolność walczył 69 lat wcześniej.

(Przełożyła Patrycja Bukalska)

Bogdan Stanisław Kasprowicz **Jak narodziła się świadomość narodowa Ślązaków**

Kiedy 150 lat temu na bytomskim Rynku ormiański ksiądz Karol Bołoz Antoniewicz wypowiedział do biednego ludu po polsku słowa "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", ruszyła fala, która była już nie do zatrzymania.

160 lat temu 9 listopada 1851r. w Bytomiu, w stolicy niemieckiego, a właściwie trzeba powiedzieć pruskiego Górnego Śląska, Ormianin ze Lwowa, jezuita, ks. Karol Antoniewicz z prowizorycznej ambony ustawionej na cmentarzu przy kaplicy św. Trójcy – powitał ponad 20 tysięczną rzeszę zebranych tam Ślązaków polskimi słowami:

"W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - temi słowy witam cię ludu szląski, bo temi słowy brat wita brata, dzieci witają Ojca".

A potem w swoich pamiętnikach zapisał:

"Tysiące ust, tysiące serc, odpowiadało – "Na wieki wieków amen!" - Ale były to tylko jedno usta, to było tylko jedno serce – bo to były usta , bo to było polskie serce całego Górno-szląskiego ludu!".

Nie minie rok, a tego skromnego księdza, zwanego dotąd "polskim Hiobem" i "apostołem Galicji" nazwą również i to nie tylko Polacy "Apostolem Śląska" .

Przyczyn było wiele – można powiedzieć, że wszystko było dziełem przypadku, można dowodzić, że sytuacja gospodarcza, społeczno-polityczna i kulturowa na Śląsku w połowie XIX w. wpisała się w ogólny trend odzyskiwania świadomości narodowej przez ludy Europy środkowej.

Antoniewicz w swoich pamiętnikach, listach, książkach mówi o wyrokach Bożej Opatrzności. Było bowiem tak...

Zanim jednak zajmiemy się rozważaniami na temat sytuacji na Śląsku w połowie XIX w., biografią księdza Karola i spróbujemy odpowiedzieć na pytanie jakimi drogami ormiański ksiądz ze Lwowa trafił na Śląsk – warto przypomnieć, że nasze spotkanie odbywa się w ramach "Dni Kultury Ormiańskiej" i stąd nieprzypadkowe wydobycie z mroków zapomnienia postaci Ormianina, który był tutaj przed nami.

Przypomnienie faktów świadczących o tym, że zanim w 1945r. Ormianie wyrzuceni ze Lwowa, Stanisławowa, Łyśca, Kut etc. objęli w posiadanie kościółek św. Trójcy w Gliwicach – był tu już inny ormiański ksiądz, który na trwałe zapisał się w historii tej ziemi i ludu śląskiego.

To jedno.

Warto też zwrócić uwagę, iż miesiąc temu rozpoczął się – ustalony uchwałą sejmu Rzeczypospolitej Polskiej "Rok Piotra Skargi", tego wybitnego kaznodziei, który już w XVI wieku sztukę docierania słowem do polskich serc postawił na wyżyny.

Obaj jezuici, obaj zarazem działali w czasach trudnych i przełomowych, obaj działali w czasach kiedy zagrożenie dla przyszłości człowieka i narodu polskiego szło pod hasłami odrzucenia Krzyża i żądzy użycia – konsumpcji i hedonizmu za wszelką cenę i ponad wszelką miarę.

Obaj też, docierając do polskiego ludu słowem, osadzonym na fundamencie pojęć "Bóg, Honor, Ojczyzna, Rodzina" - osiągnęli wielkie sukcesy.

To z pracy wybitnego jezuitę ks. Piotra Skargi zrodziła się, trwająca po dziś dzień idea zapisana słowami wieszczki jednym wersem:

"Tylko pod krzyżem tylko pod tym znakiem Polska jest Polską a Polak Polakiem".

To z pracy ks. Antoniewicza na Podkarpaciu zrodziła się tablica, którą polscy chłopcy zamieścili na leśnej drodze do pustelni św. Jana z Dukli:

" Choćby Tobą Chryste Panie
pogardziły obce ludy,
to na polskim zawsze łanie
chłop pokłoni się jak wprzódy,
Bożą mękę Ci postawi
u wrót wioski, na rozstaju,
byś nam Jezu błogosławił,
i włodarzył w naszym kraju."

To z tego ogromnego siewu polskim słowem, dokonanego przez ks. Antoniewicza i jego jezuickich współbraci, który przecież trwał tylko 5 miesięcy - zakazany później przez pruskie władze administracyjne – zrodziła się polska świadomość narodowa Górnoślązaków, która w ciągu następnych 50 lat wykwitła nazwiskami Szafranków, Bończyków, Miarków, Mierowskich, Jańtych, Moczygembów, Korfantych, Hlondów etc. i wreszcie śląskimi powstaniem i powrotem do Macierzy.

Wróćmy jednak do postawionego na wstępie pytania jakimi drogami ormiański ksiądz ze Lwowa trafił na Śląsk.

Kiedy dzisiaj przejeżdżając tramwajem przez gęsto zabudowane śląskie miasta z Katowic przez Chorzów, Bytom, Zabrze do Gliwic nie widząc gdzie ani kiedy kończy się jedno a zaczyna drugie miasto, kiedy porównujemy bogate mieszczańskie XIX wieczne, często niezwykle piękne, kamienice tych miast z Czeladzią, Siewierzem, Częstochową czy Będzinem, czy choćby stare familoki przykopalnianych dzielnic już w XIX w. wyposażone w wodę, kanalizację, światło i gaz z chałupinkami polskich osiedli tuż za Brynicą – trudno nam uwierzyć, że Śląsk pruski był siedliskiem nędzy, a w roku 1851 jeszcze tego wszystkiego po prostu nie było. Jeszcze nie zaczął się bowiem boom przemysłowego rozwoju Śląska, skoro np. Bytom, jedno z głównych miast jeszcze w 1834r. liczył tylko 3 tys. mieszkańców, a nawet w roku 1861 niewiele ponad 10 tysięcy.

Śląsk dotknięty katastrofą wojen religijnych w XVIIw. - słynne w Polsce było powiedzenie "dziadostwo Niemiec po wojnie trzydziestoletniej" - wojnami prusko-austriackimi w wieku XVIII, wreszcie przemarszami wojsk napoleońskich – na pewno nie był w latach 1830-51 "ziemią obiecaną". Powtarzające się nieurodzaje na wsi a wraz z nimi klęska głodu, epidemie tyfusu i cholery i do tego powszechne pijaństwo związane z rafinacją spirytusu (gorzelnia w każdej niemal miejscowości), sprawiały, że kto mógł raczej ze Śląska uciekał, jak ci mieszkańcy Płużnicy k. Strzelec Opolskich, którzy razem z ks. Moczygembą założyli osadę Panna Maria w Teksasie w 1854r.

W monografii miasta Bytomia pod datą 1847 znajdujemy taki zapis:

"W latach poprzedzających Wiosnę Ludów okolice miasta dwukrotnie nawiedził nieurodzaj

ziemniaków, co w ciągu jednego roku doprowadziło do blisko dwukrotnego wzrostu cen mąki. Drożyzna pogłębiona przez spekulację kupców i bogatszych gospodarzy, wywołała głód, który stał się jedną z przyczyn epidemii tzw. tyfusu głodowego.

"Najdotkliwsza nędza panuje wśród hutników, górników i wyrobników – czytamy w relacji z grudnia z 1847 roku – głodni, w postrzępionej, brudnej i plugawej odzieży sprawiają żalodne wrażenie; choć w sile wieku, ale już bez woli przetrwania."

W kilka miesięcy później burmistrz ubolewać będzie, że w mieście spotyka się na każdym kroku "marniejących, szmatami pokrytych ludzi". Z głodu i wycieńczenia padali i umierali na drogach, polach, często na żarzących się hałdach, gdzie szukali schronienia przed zimnem. W kwietniu 1848 roku martwego parobka znaleziono przy jednym z kopców w Wielkiej Dąbrówce, gdzie resztkami sił próbował dogrzebać się do ziemniaków."

Władze pruskie zaniepokojone utrwalającą się niekorzystną sytuacją społeczną (nędza, pijaństwo, rosnąca przestępczość) przy jednoczesnym idącym przez Europę wrzeniu rewolucyjnym (Wiosna Ludów) ogarniającym doły społeczne – podjęły szereg działań zaradczych, jak m.in. znaczący rozwój oświaty, jednak miejscowa ludność przymuszona do posługiwania się językiem niemieckim w pracy i w urzędzie, pozbawiona możliwości awansu i dostępu do stanowisk rządowych, obserwująca wzrost siły i znaczenia popieranego przez władze kościoła ewangelickiego, w większości całkowicie niemieckiego, czy wreszcie napływ ludności rdzennie niemieckiej, obejmującej większość wyższych, lepiej płatnych stanowisk w pracy i urzędach - widziała w tych działaniach władz głównie proces germanizacji.

W tej sytuacji Kościół katolicki podjął wielką akcję walki z pijaństwem organizując tzw. "ruch trzeźwości", łącząc jednocześnie te działania z pracą około wzrostu polskiego poczucia narodowego.

Inicjatorem ruchu był cieszący się na całym Śląsku wielkim poważaniem i estymą ksiądz kanonik Alojzy Fietzek z Piekar, budowniczy ukończonego właśnie w 1849r. kościoła pielgrzymkowego w tej miejscowości. Zarazem współpracownik Józefa Lompy, Pawła Stalmacha, ks. Józefa Szafranka, Teodora Heneczka, w dziele ruchu polskiego i obudzenia narodowego na Górnym Śląsku.

W roku 1848 ich staraniem zostaje powołane "Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego", które poprzez austriacki Cieszyn nawiązuje bliskie i żywe kontakty z Galicją.

Powstają czytelnie polskie w Bytomiu, Woźnikach, Lublińcu, Mysłowicach, Rybniku, a książka polska z Krakowa i Lwowa zaczyna zdobywać Śląsk.

I właśnie w tym momencie przecinają się drogi życiowe dwóch wybitnych kapłanów ks. Fietzka i ks. Antoniewicza.

Choć Polska nie istnieje – jej Kresy wschodnie i zachodnie, tak ściśle związane ze sobą przez stulecia, znowu zabierają się do współpracy.

Do pierwszego ich spotkania doszło prawdopodobnie w Opawie na Śląsku Cieszyńskim, gdzie istniał silny ośrodek księży jezuitów, z którym bliskie kontakty utrzymywał kościół jezuitów w Piekarach.

Natomiast ks. Antoniewicz – po rozwiązaniu przez władze austriackie w 1848r. lwowskiej prowincji oo. Jezuitów - wraz z współbraćmi poszukując nowego miejsca zakonnego osiedlenia i pracy zwrócił uwagę na Śląsk i tamtejsze zapotrzebowanie na księży znających język polski. Stąd

w latach 1848-50 wielokrotnie przebywał m.in. w Opawie, Nysie, Wrocławiu, Kłodzku.

We wspomnianej Opawie ks. Antoniewicz podejmowany był z niezwykleymi honorami jako "apostoł Galicji", tzn. ten ksiądz, który skutecznie uspokoił Podkarpacie i tarnowskie po "rabacji Szeli" w 1846r.

Ten moment z życia ks. Antoniewicza tak opisywał jego biograf:

"O. Strocki i nasz Antoniewicz iść mieli głosząc pokutę i przebaczenie, nieobeschniętym jeszcze ze krwi szlakiem, którym przed kilku zaledwie tygodniami przechodziły zbójce szajki, z nożem w jednej, z gównią w drugiej ręce".

Ciężkie to było zadanie; trudne i niebezpieczne. Pod lekką warstwą popiołu tlił się, chwilowo przyduszony, ale wcale nie ugaszony ogień namiętności, i lada nieostrożność, może lada jedno słowo, buchnąć mógł znowu jasnym płomieniem – "rabacyi".

Jak okazało się w praktyce – siła perswazji, autentyczna świętość misjonarza, wreszcie prosty a piękny język i zrozumienie dla problemów ludu wiejskiego, niemniej jak charyzma kapłana sprawiły, że zbuntowane hordy przeszły błyskawiczną a niesamowitą przemianę.

Tak ksiądz misjonarz opisał te dni w swoich relacjach pisanych na gorąco w trakcie misji:

"I stanąłem na miejscu przeznaczonem. Ludu zebranego już wiewa na mnie czekało. Zaledwie który na powitanie... półgębkiem odpowiedział, zaledwie który uchylił czapki, ponuro i podejrzliwie patrzyli na mnie..."

"Podczas jednej nauki, pamiętam, starzec siwy jak gołąb, wystąpił z pośrodku ludu i stanąwszy przede mną odezwał się, przerywając mowę moją, że nie może wytrzymać aż dokończę i musi mi podziękować za wszystko dobro, com dla nich i ich dzieci uczynił."

"Przy ostatniej nauce, ja wraz z ludem zapłakałem i ciężkie było rozstanie nasze. Podziękowałem Panu Bogu za te ośm dni, w których tak widocznie błogosławił pracy mojej, że poznał ten lud zbrodnię, że za nią żałował. A to poznanie zdaje się być pewną rękojmią, że się te krwawe sceny nawet przy zdarzonej nie ponowią okazji".

Posyłał biskup tarnowski ks. Antoniewicza na tę misję z trwogą o jego życie, bez pewności powodzenia, a skutek był wręcz nieprawdopodobny. Współcześni jednoznacznie oceniali, że dokonać tego mógł tylko "człowiek Boży" – żeby podpalacze i mordercy, z krwią jeszcze dobrze na rękach nie obeschłą gromadami całymi przystępowali do spowiedzi, przynosili do kościołów i oddawali zrabowane sprzęty, wreszcie całymi wioskami udali się na pielgrzymkę przebłągalną do Matki Boskiej Jasnogórskiej.

Zważywszy, iż zarówno dzieła misyjne jak i postać ks. Karola Bołoz Antoniewicza uległy niemal zupełnemu zapomnieniu – nie mogę nie skorzystać z tak znakomitej okazji by przypomnieć nie tylko misję śląską, ale bodaj pokrótce całe życie zmarłego w aurze świętości w roku 1852 księdza, żołnierza, poety.

Choć dziś mało kto pamięta, że to on jest autorem jednej z najpopularniejszych polskich pieśni kościelnych "Chwalcie łąki umajone" – to przecież po jego śmierci jak pisał krakowski "Czas" z 28 grudnia 1852r. uderzyły dzwony żałobne nie tylko w Krakowie i Lwowie, ale po najbardziej po zapadłych wioskach. Nad jego grobem odczytywano mowy żałobne wybitnych Polaków epoki, m.in. Zygmunta Krasińskiego.

Urodził się Karol Antoniewicz w ormiańskiej rodzinie ziemiańskiej herbu własnego Bołoz, we Lwowie 6 listopada 1807 roku. Ojciec właściciel majątku w Skwarzawie w powiecie żółkiewskim, a zarazem doktor praw i wzięty lwowski adwokat zapewniał rodzinie wysoki status społeczny i znaczącą bazę materialną. Matka Józefa z Nikorowiczów, rodu poetów i muzyków, wносиła powiew sztuki najwyższych lotów.

Wprawdzie od najmłodszych lat nasiąka Karol ziemiańską kulturą Ormian polskich, krajobrazem ziemi lwowskiej i tą niezwykłą atmosferą wielokulturowych a przecież zarazem tak bardzo polskich Kresów – to jednak wskutek kilkuletniego pobytu rodziny w stołecznym Wiedniu jego pierwszym językiem, w którym pobiera nauki i którym mistrzowsko włada jako poeta staje się niemiecki.

Pozycja w literaturze niemieckojęzycznej i przyjaźń niemieckich pisarzy będzie mu później pomagać, m.in. w czasie misji śląskiej, kiedy to Niemcy śląscy uważali go za swojaka, za austriackiego Niemca z ormiańskimi korzeniami.

Wszak wówczas jeszcze pisał młody Karol o swojej niemieckiej ojczyźnie:

"Donau, Donau!
Ach! an deinem schoenen Strande
Floss die Kindheit schnell dahin,
Dort – im deutschen Vaterlande,"

Bawiącego się we Wiedniu, Lwowie, Krakowie młodego Karola można by uznać za typowego "bon vivanta" epoki Kongresu wiedeńskiego, gdyby nie fakt, że ten niezwykle zdolny młodzian już w wieku 20 lat kończy z wyróżnieniem studia prawnicze. Jednocześnie - jak to Ormianin – biegle władał, na poziomie literackim pięcioma językami.

Studia nad dziejami Ormian, które podjął w 1827r. i rozwijający się talent poetycki przerywa epizod wojenny. Na wieść o wybuchu Powstania Listopadowego udaje się do obozu Dwernickiego, aby dać dowód polskiego patriotyzmu, tego co "szablą i piórem" każe poświęcać się Ojczyźnie.

Po upadku powstania, krótkim pobycie w Wenecji (gdzie schował się przed represjami) wrócił do rodzinnego majątku pod Lwowem i tu trafiła go strzała Amora. Bez pamięci zakochał się w swojej bliskiej kuzynce Zofii Nikorowiczównie i po uzyskaniu papieskiej dyspenzy młodzi pobrali się, a wkrótce przyszło na świat pięcioro dzieci.

Było wszystko. Majątek, wiedza i wykształcenie, zdolności, uroda – tylko szczęścia nie było. W przeciągu siedmiu lat zmarły, jedno po drugim wszystkie dzieci.

Żona Karola, Zofia wpadła w chorobę psychiczną i wkrótce również zmarła z rozpacz.

Karol Antoniewicz miał wówczas 32 lata. W ciągu tak krótkiego okresu czasu zdążył przeżyć wszystko. Radość, zabawy, korzyści z posiadanego majątku, sukcesy artystyczne (drukowane w Paryżu, Wiedniu i Lwowie tomiki poetyckie) i zawodowe (prosperująca kancelaria prawnicza we Lwowie), wreszcie szczęście rodzinne z ukochaną osobą – i wszystko nagle zdążył stracić.

Zaiste "polski Hiob" – jak go wówczas nazwano. Człowiek psychicznie słaby nie uniknąłby pomieszania zmysłów – tym bardziej, że Karol i Zofia uważali spotykające ich ciosy (śmierć dzieci) jako karę Bożą za małżeństwo przy tak bliskim pokrewieństwie.

Karol wybrał inną drogę – wstąpił do zakonu jezuitów. Życie zakonne ma swoje trudności, a dla człowieka wychowanego w wygodzie, dostatku a nawet zbytkach, może być trudne do zniesienia. Okazało się, że Karol podczas nowicjatu w klasztorze w Starej Wsi a później podczas studiów filozoficznych i teologicznych w Tarnopolu i we Lwowie odzyskał młodzieńczy humor i wigor. Tyle, że nie pisał już romantycznych wierszy a pieśni kościelne, kolędy, pastorałki a także ucieszne intermedia wystawiane przez swoich kolegów seminarzystów – bardzo wiele tych pieśni do dzisiaj tkwi w naszych kancjonałach.

Już wówczas zostaje Antoniewicz zauważony przez hierarchię kościelną jako wybitny kaznodzieja i niemal zaraz po święceniach i ukończeniu studiów został skierowany na "misję trzeźwościową" na Podkarpaciu.

Jak czytamy w biografii Antoniewicza - "Lud podkarpacki, pozbawiony opieki a przede wszystkim oświaty, zabobonny i biedny -z jednego tylko słynał: z pijaństwa."

"I powstał przeciw tej zarazie tytan słowa, a powstał z taką siłą i powagą, z taką dostojnością i i namaszczeniem kapłańskim w swych kazaniach, że całe szeregi nałogowych pijaków cisnęło się i prosiło, by ich zapisać do "świętej wstrzemięźliwości". Ojciec Antoniewicz zyskał wielki rozgłos, nic więc dziwnego, że proboszczowie okoliczni ubiegali się o "apostoła wstrzemięźliwości"."

Kiedy więc spotkali się – Fitzek i Antoniewicz – padło pytanie, jak wypenić pijaństwo na Śląsku, jak podnieść ten lud z biedy, nędzy, chorób, a zarazem nawrócić do zasad chrześcijańskiej wiary nadwątlonej wskutek rewolucyjnych prądów i obyczajowych nowinek.

Misja została starannie przez ks. Alojzego Fitzka przygotowana. Proboszcz piekarskiego kościoła przedstawił ks. Antoniewicza we Wrocławiu jako wybitnego austriackiego misjonarza, a zarazem znanego poetę – co miało oparcie w rzeczywistości, gdyż jego wiersze miały swoje miejsce w podręcznikach literatury niemieckiej a przyjaźń z głośną niemiecką powieściopisarką Karoliną Pichler, której poświęcił zbiór sonetów – była wiedeńskim tematem romantycznych rozpraw.

Tak więc "misja wstrzemięźliwości" – którą miałby poprowadzić wybitny a doświadczony nieszczęściem kapłan, kapłan znany w środowisku kościoła śląskiego jako Austriak - spotkała się z wielkim poparciem nie tylko władz kościelnych, ale również pruskich władz państwowych, też przecież zainteresowanych likwidacją, a przynajmniej ograniczeniem szerzącego się pijaństwa.

W latach 1848-49 toczą się wstępne rozmowy i przygotowania - przerwane wydarzeniami "Wiosny Ludów" – w Piekarach, Opawie, Freiwaldzie. Ksiądz Antoniewicz przeprowadza jednodniowe nauki misyjne (po polsku i po niemiecku) w Nysie, Kłodzku, Opolu, Wrocławiu, wzbudzając powszechne zainteresowanie.

Z tych spotkań zrodziła się też pierwsza książeczka napisana specjalnie dla ludu śląskiego przez ks. Antoniewicza i wydana przez ks. Fietzka w Piekarach w drukarni Teodora Heneczka – "Groby świętych polskich".

Wreszcie w styczniu 1851 zjechali się ks. Fietzek i Antoniewicz w klasztorze w Staniątkach i tam ułożony został bardzo konkretny plan misji.

Oprócz Antoniewicza w misji udział wzięli ojcowie Praszalowicz, Wojtechowski, Peterek, Kurowski, Zaleski, Czeżewski.

Misja zaczęła się 14 lipca 1851 roku w Piekarach Śląskich. Tak opisał początek ks. Antoniewicz:

"Misja rozpoczęła się w Piekarach. A gdzież indziej lepiej i zbawienniej rozpocząć się mogła, jeśli nie tam? Komuż na Górnym Szląsku zamieszkałemu te Piekary nie są znane? O znają je i dalej i aż za morzem. Gdzież więc lepiej ta misja rozpocząć się mogła, jeśli nie tu, pod błogosławieństwem Najśw. Marii Panny, która sobie to miejsce obrała, aby pełną dłońią łaski i dary swoje tu rozdawać? Ona zapewne dla ciebie ludu górnośląski wyprosiła tę łaskę misji świętej, jakby chciała wynagrodzić tobie, żeś z krwawo zarobionego grosza twego przyczynił się do wystawienia tek wspaniałego, na jej cześć i chwałę kościoła."

Już od pierwszych dni misjonarze zdali sobie sprawę, że uczestniczą w wielkim, nie tylko o wymiarze religijnym, dziele. Ks. Antoniewicz zanotował:

"Teraz dopiero poznajemy jasno wielką potrzebę misji w tych stronach. Ludek bardzo łagodny, miłego charakteru. Tyle lat psuty przez Niemców, gorszony przez urzędników, protestantyzmem wokół otoczony, dziwnym sposobem zachował swój język, swą narodowość, swą wiarę, potrzebował jednak nadzwyczajnego wstrząśnienia, aby to co już słabnieć poczynało, ożywiło się, co do upadku pochylone było, powstało."

Nauczanie w Piekarach trwało przez osiem dni. Przez pierwsze dwa dni blisko pięć tysięcy ludzi cisnęło się w kościele. W następnych dniach nauki odbywały się na wolnym powietrzu na cmentarzu – bo kościół nie był w stanie pomieścić chętnych, których rzesza rosła do 8-10 tysięcy i więcej ludzi codziennie. Na zakończenie misji, na stawianie krzyża przybyło ponad dwadzieścia tysięcy Ślązaków.

Okazało się bowiem, że pięknie podane polskie słowo, że polskie pieśni, atmosfera zarazem święta i pielgrzymkowego spotkania, że natchniona modlitwa, a wreszcie wspólne przeżycie wielkiego kulturowego podniecenia – łączy ten, zatomizowany i nie znający swojego miejsca i swojego gospodarskiego na tej ziemi znaczenia, lud śląski w wielką wspólnotową falę, która co może przynieść – jeszcze wówczas nikt nie zdawał sobie sprawy.

A ks. Antoniewicz zapisywał:

"Wieczorem 26 lipca przybyliśmy do Gór Tarnowskich. Miasto czyste, piękne, a Kościół duży i wspaniały; jednak na czas misji nie mógł objąć wszystkich. Pod gołym niebem stanął ołtarz i ambona i konfesjonał.

Dziękować Bogu za to wielkie miłosierdzie, jakie nad tym ludem szląskim ukazał. To jest coś niepojętego; tylko w konfesjonale poznać można te niedocieczone drogi łaski i Opatrzności Bożej... Bawimy tu już od dwóch tygodni; słuchamy jak przykuci od rana do nocy, a kościół dziś jeszcze jak w oblężeniu...

W niedzielę, w późny wieczór, po postawieniu krzyża misyjnego, górnicy, których tu jest kilka tysięcy, w świątecznych strojach, z pochodniami sprawili nam "Fackelzug", śpiewając górnicze pobożne pieśni, a gromada dzieci wieńcami nas zasypała."

Rosła i rosła po całym Śląsku sława polskiego misjonarza. Wielkiego mówcy, kaznodziei, świątobliwego kapłana. Jak wcześniej na Podkarpaciu, Podolu i w tarnowskim uczestnicy misji tworzą towarzystwa trzeźwości, składają śluby wstrzemięźliwości, a obraz Śląska jeszcze do niedawna tak czarnymi malowany barwami – nędzy, brudu, głodu, chorób – staje się kolorowy, piękny, pachnący, kwiecisty, jak w opisie Antoniewicza: "Tarnowskie Góry – miasto czyste, piękne, o jakież to miłe, ciche i swobodne miasteczko, w tej piękności i bogactwie tak ubłogosławionej od Boga okolicy."

Fama szła z ust do ust, z miasta do miasta, z osady do osady, a misja postępowała dalej – Woźniki, Biskupice, Mysłowice i coraz większe tłumy.

Mysłowice – właśnie dwa lata temu ruszyła tutaj kolej żelazna łącząca Śląsk z Krakowem.

Tę kolej zauważył oczywiście Antoniewicz w swoich wspomnieniach:

"Mysłowice. Cmentarz. Pole. Był ołtarz była ambona, był konfesjonał, a przy cichych, późnych wieczorach jako lampa kościelna świecił księżyc, a za miliony świec gwiazdy nam służyły... Tuż przy tem polu, gdzieśmy misję odprawiali, była kolej żelazna i nie jeden raz wśród wielkiego milczenia, które panowało w czasie nauk, świst przeraźliwy odbił się o uszy nasze i pociąg jak błyskawica mignął przed oczami naszymi. A wtedy niejednemu może ta myśl przyszła do głowy: Oto obraz życia naszego! Ludzie jeżdżą to w prawo to w lewo, jeden za pieniędzmi, drugi za zabawą, trzeci za chwałą; jednego chciwość, drugiego rozpusta, trzeciego duma do wozu wsadziła. Jeżdżą, jeżdżą, póki na cmentarz nie zajadą – bo cmentarz to wielki dworzec dla całej ludzkości."

A po Mysłowicach – mała wioska Ćwiklice, gdzie odprawione zostają dwie misje, "jedna w parafialnym kościele po niemiecku dla Niemców, a na cmentarzu okalającym kościółek św. Jadwigi dla Polaków".

Powoli jednak – mimo euforii ludności – zaczyna się zagęszczać atmosfera urzędowa wokół misji. Otóż pastory i hierarchia kościoła ewangelickiego alarmują władze miast i regencji, wreszcie docierają i do samego Berlina z informacją, że tu na pruskim Górnym Śląsku odbywają się jakieś polskie narodowe rekolekcje.

Mimo, iż wszędzie tam gdzie odbywa się misja panuje wzorowy porządek – władze zaczynają wyszukiwać trudności.

A jednak udaje się odbyć zaplanowane nauki w Pszczynie, choć jak pisze Antoniewicz:

"W Pszczynie, tem gnieździe protestantyzmu, pietyzmu, frankmasonerii, było z początku ciężkie położenie nasze; ale w pośrodku tych brudów, co się jak szych świecą jest klejnot, lud polski, w którego sercu wiary nic zachwiać nie zdoła. Polska tu wiarę wyratowała. Polski język wiarę zachował."

Koniec misji przypadał już późną jesienią – w październiku i listopadzie, wyjątkowo chłodnych w tym roku miesiącach - "...szczyty gór śniegiem przysypane, a rano i wieczór zimne nastąpiły przymrozki.", pisał ks. Antoniewicz.

Ale nic nie odstraszało Ślązaków – ani mróz, ani próby szykan podejmowane już coraz bardziej otwarcie przez władze policyjne.

W Toszku znowu były tłumy:

"W niedzielę 26 października zakończyliśmy misję w Toszku... To zakończenie miało coś nadzwyczajnie uroczystego. Ludzi było więcej jak w Pszczynie i do dwudziestu księży. Gdyśmy wracali z Przenajśw. Sakramentem, całe miasto z własnego popędu rżęsiście iluminowano; wokół rynku szła procesja, a przed kamienną statua św. Jana dane było błogosławieństwo ludowi. Spowiedzi ciągle trwają, już przeszło 5000 wyspowiadało się – ale jakie spowiedzi, jakie nawrócenia!...

"Ostatni krzyż misyjny w tym roku niezapomnianym dla mieszkańców Górnego Szląska, stanął

dnia 9 listopada w Bytomiu." - napisał ks. Antoniewicz w "Krzyżu misyjnym."

Myślę, że po 150 latach warto przypomnieć sobie opis zakończenia misji śląskiej zawarty w pamiętnikach Antoniewicza i zapisany w Jego książce dla Ślązaków – "Pamiętka z misji na Górnym Szląsku":

"O piękny, święty i uroczy, był ten wieczór niedzielny 9 listopada 1851. Czy pamiętasz ludu Szląski na te chwile?... O któż by mógł na nie zapomnieć... Słońce już było zaszło w krótkim dniu jesiennym i ciemnieć już poczęło, ale inne słońce zabłysło duszy naszej – w mroku wieczornym zajaśniał Krzyż Missyjny w pośrodku nas. Krzyż, w pośród cmentarza, osadzony na kościach i popiołach Ojców i Matek waszych – wierzchołkiem ku niebu sięga – a ramiona w prawo i w lewo wyciągnięte, jakby całą Szląską chciały objąć krainę!

O wy wszyscy – którzyście tam byli przytomni, a których miłość tam przywiodła, wy o tym najlepiej wiecie. O wyście nie zapomnieli, wy nie zapomnicie, gdy lud cały, z różnych stron przybyły odśpiewał jednym głosem i sercem litanię. A te głosy unosiły się pod niebiosa, niebo je słyszało, ziemia je słyszała, a serce wtórowało tym słowom.

O czy pamiętacie ludzie tę uroczystą procesję przy blasku latarni, przy biciu dzwonów i śpiewu ludu, w porządku wedle czterech stanów, idącego od kościoła Trójcy Świętej do miasta i gdy na bytomskim rynku z ambony kapłan zaintonował "Zbaw lud Twój Panie! - A lud wierny, cały plac napełniający, jakby niewidoma siła uderzony padł na kolana, że aż jęły stare bruki Bytomia, i korząc się w nicości swojej, przyjął to błogosławieństwo, na wschód i zachód, na północ i południe, udzielone Przenajśw. Sakramentem!"

Kiedy dzisiaj czytamy te słowa – trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z wielkim prekursorem dzieła błogosławionego Jana Pawła II.

Te tłumy, te modlitwy, te śpiewy, ta oprawa wizualna – ołtarze, kwiaty, stroje ludu – te światła, te rozedrgane emocje - już wtedy, bez dzisiejszych środków technicznych (choćby głośników)...

Kiedy milion uczestników historycznej mszy św. na warszawskim placu usłyszało słowa "Niech zstąpi Duch Twój"... zadrżała Polska i świat. Otworzyły się polskie serca, potem runął mur...

Kiedy na bytomskim Rynku ksiądz Karol Bołoz Antoniewicz wypowiedział słowa "Niech będzie pochwalony" – zadrżały i obudziły się polskie serca ludu śląskiego i wniwecz obróciły setki lat trwającej germanizacji, i rozbudziły uspijoną polską świadomość narodową Ślązaków.

Wprawdzie nie tylko o powtórzeniu misji nie było już mowy, a nawet planowane nauczania w Opolu, Nysie, Oławie nie doszły już do skutku wskutek zakazu wydanego przez władze pruskie – ale ziarno zostało posiane.

Ksiądz Józef Szafranek, który jeszcze w 1848r. uważał się za Ślązaka – Niemca, a o równouprawnienie "mowy śląskiej" występował w pruskim parlamencie na zasadzie równouprawnienia wszystkich regionalnych dialektów występujących w państwie pruskim - od czasu misji ks. Antoniewicza, od 1851r. mówił i pisał już o "polskiej mowie ludu górnośląskiego" i założył Polskie Towarzystwo Narodowe w Bytomiu.

Ruszyła fala "tsunami" – która była już nie do zatrzymania!

Eleonora Kimakowska Polacy w Mołdowie

Z Eleonorą Kimakowską, członkiem Zarządu Stowarzyszenia „Dom Polski” w Bielcach rozmawia Leszek Wątróbski.

Skąd Polacy wzięli się w Mołdowie?

Losy Polaków w Mołdowie związane były z wielkimi wydarzeniami naszej historii. Nasi dziadowie i pradziadowie po upadku powstań narodowych osiedlali się z dala od Ojczyzny. Wielu z nich zamieszkało w Kamieńcu Podolskim oraz Chocimiu i okolicach. Dla wielu z nich było to pierwsze miejsce zesłania, które mieli prawo opuścić dopiero po kilku latach.

Masowe pojawienie się Polaków w Besarabii miało miejsce na początku XIX wieku. Sto lat później byli jedną z najliczniejszych mniejszości narodowych zamieszkujących te tereny, liczącą około 20 tysięcy osób, mającą polskie szkoły i cieszącą się pełną swobodą nauki języka polskiego, rozwoju kulturalnego, swobodę stowarzyszeń i wyznania.

Potem przyszły, niestety, czasy Związku Radzieckiego...

Wszystko się zmieniło, kiedy Mołdowa, jako autonomiczna republika weszła w skład ZSRR. Działania ówczesnych władz komunistycznych, zmierzające do zniszczenia świadomości narodowej mniejszości etnicznych, nie ominęły też polskiej diaspory. Komuniści rozwiązali polskie stowarzyszenia, zamknęli polskie szkoły i szykanowali wszystkich, którzy głośno przyznawali się do swego polskiego pochodzenia.

Jednak nie wszyscy dali się zastraszyć...

Polacy trzymali się mocno. Tworzyli niewielkie wyspy polskości w oceanie dominującej kultury sowieckiej. Pielęgnowali też, mimo odległości od ojczystego kraju, tradycje i język ojczysty wszędzie, gdzie było to możliwe. Polacy w czasach sowieckich żyli ze sobą bardzo blisko. Kontaktowali się, brali śluby kościelne, chrzcili dzieci. Aby otrzymać sakramenty, jeździli często setki kilometrów tam, gdzie był kościół i gdzie w nocy, przy zamkniętych drzwiach ksiądz mógł pobłogosławić związek małżeński albo ochrzcić.

Polacy zawsze wyróżniali się w otaczającym ich środowisku swoją kulturą, poziomem wychowania i świadomością narodową. Byli sumienni, pobożni i wykształceni. Ich wielka miłość do Ojczyzny pomagała przeżyć nawet najtrudniejsze chwile.

Dziś Mołdowa jest już państwem niepodległym...

Po odzyskaniu przez Mołdowę niepodległości i suwerenności przyznane zostały prawa mniejszościom narodowym i po latach ograniczeń ponownie zaistniały warunki dla odradzania się świadomości narodowej, także wśród tutejszej Polonii. Ludzie nie musieli już ukrywać swego polskiego pochodzenia i mogli bez strachu mówić o tym, że są Polakami.

Gdzie dzisiaj w Mołdowie mieszkają Polacy?

Skupiska Polaków w Mołdowie rozrzucone są praktycznie po całym kraju. Jednak przeważająca ich

liczba znajduje się na północy, w rejonach: Bielce, Glodeni, Styrca, Grigorówka, Pietropawłówka, Duruitor, Kukonieszty, Konica, oraz po lewej stronie Dniestru: w Rybicy, Słobodzie, Raszkowie, Vaduz Turculu i wreszcie w centrum kraju: w Kiszyniowie, Bendery i Tiraspolu.

Odradzanie się żywiołu polskiego w Mołdowie następuje poprzez tworzenie nowych organizacji polonijnych, naukę języka polskiego oraz ożywienie i zacieśnienie więzi kulturowych, naukowych i ekonomicznych z Macierzą.

Pierwsza odrodzona organizacja polonijna w Mołdowie powstała prawie 20 lat temu...

Dokładnie w roku 1990. Było to Polskie Stowarzyszenie Kulturalne w Kiszyniowie, a jego pierwszym prezesem był wybitny fizyk, prof. Tadeusz Malinowski. Cztery lata później w Bielcach rozpoczęło działalność Stowarzyszenie „Dom Polski”, które ma dziś 9 filii. To tak zwane Koła Polskich Rodzin. Celem ich działalności jest odradzanie kultury i tradycji polskich oraz integracja Polonii w północnej Mołdowie.

Obok wymienionych stowarzyszeń działa u nas jeszcze kilka innych organizacji polonijnych: Społeczna Organizacja Rybnicko-Polska Stowarzyszenie „Polonia” w Naddniestrzu, Stowarzyszenie „Polska Wiosna w Mołdowi” w Kiszyniowie, Liga Polskich Kobiet w Kiszyniowie, Związek Młodzieży Polskiej w Kiszyniowie, Polskie Towarzystwo Medyczne w Bielcach, Młodzieżowa Organizacja „Modes” w Bielcach i drużyna harcerska im. S. Żółkiewskiego w Bielcach.

Praca polonijnych organizacji w Mołdowie skupiają się dziś na pielęgnowaniu i rozwoju kultury oraz tradycji narodowej. Stowarzyszenia polonijne organizują imprezy okolicznościowe i uroczystości związane ze świętami narodowymi i religijnymi. Polska mniejszość etniczna akcentuje swoją obecność na festiwalach folklorystycznych odbywających się rokrocznie w Bielcach i Kiszyniowie.

A jak wygląda współpraca z Macierzą?

Nasza współpraca z krajem układa się dobrze. Otrzymujemy wszechstronną pomoc organizacyjną. Korzystamy też ze wsparcia Senatu RP, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i wielu innych naszych przyjaciół.

A jak w Mołdowie kształtuje się dziś znajomość języka ojczystego?

Naszą wielką troską jest od lat oświata polonijna. Dzięki pomocy Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu pracują wśród nas wspaniali nauczyciele z kraju. Obecnie systematyczną nauką języka i kultury polskiej objętych jest prawie 400 uczniów. W kiszyniowskim liceum im. Gogola funkcjonują polskie klasy. Także w innych miejscowościach: w Bielcach i Stryczy prowadzone są zajęcia fakultatywne.

Także dzięki pomocy rządu RP co roku grupa naszej młodzieży ubiega się o studia w Polsce i większość z nich otrzymuje tam indeksy akademickie.

Działalność naszych aktywistów i pedagogów obejmuje także opiekę nad działającymi przy placówkach oświatowych i stowarzyszeniach zespołami folklorystycznymi. W Bielcach, Stryczy i Oknicy istnieją zespoły wokalnie-instrumentalne, wokalne i taneczne.

Wielkim wydarzeniem w życiu naszej Polonii jest coroczny festiwal „Polska Wiosna w Mołdawii” organizowany wspólnie przez nasze stowarzyszenia polonijne przy wsparciu ambasady RP.

Ważną rolę w życiu Polonii mołdawskiej odgrywa Stowarzyszenie „Dom Polski” w Bielcach...

Jesteśmy jedną z kilku organizacji polonijnych w Mołdowie. Nasze Stowarzyszenie od roku 1996 wydaje gazetkę „Jutrzenka” – jedyne pismo polonijne w Mołdowie. Jest to dwujęzyczny miesięcznik o charakterze informacyjno-kulturalnym wydawany po polsku i rosyjsku.

W Domu Polskim w Bielcach powstaje również cotygodniowa audycja radiowa „Polska Fala” nadawana dla mieszkańców północnej Mołdowy. Można w niej usłyszeć polską muzykę, poznać wszystkie najważniejsze wydarzenia z kraju oraz z życia Polonii mołdawskiej.

Ważną rolę w życiu Waszej Polonii odgrywa też Kościół katolicki...

Polonia mołdawska od zawsze wspierana jest przez parafie katolickie, w których pracuje dziś wielu duchownych z kraju. Inicjują oni wiele akcji integrujących nasze środowiska polonijne. Są też czynnie zaangażowani w nauczanie języka polskiego, w prace organizacyjne stowarzyszeń kulturalnych czy wydawanie naszej gazety.

("Msza Święta" 4/2009, s. 38-39)

Józefa Kleindienst

Wspomnienia. Kartki z pamiętnika pisanego w Lidzie

Praca moja ma na celu przedstawienie przebiegu tajnego nauczania w Lidzie w latach 1941-1944.

Lida - położona na północy dawnego województwa nowogródzkiego - była 17 września 1939 roku zajęta przez władze radzieckie. Od roku 1939 do 1941 były tam czynne szkoły średnie. Po zajęciu Lidy przez Niemców w 1941 roku szkoły średnie zlikwidowano i trzeba było organizować tajne nauczanie. W 1942 roku zlikwidowano też polskie szkoły powszechne i od tego czasu tajne nauczanie objęło również część dzieci polskich ze szkoły powszechnej.

Aby przedstawić dokładnie, jak odbywało się tajne nauczanie, musiałam odtworzyć warunki, nastroje i niektóre zdarzenia, gdyż inaczej trudno byłoby zrozumieć istotę pracy nauczyciela, uczniów i rodziców. Wspomnienia moje mają charakter pamiętnika, z którego usunęłam wiele osobistych przeżyć, zostawiłam tylko te, które wiązały się z moją pracą.

Notatki prowadzone przeze mnie nie zawierały żadnych nazwisk ani dat i były pisane kryptonimami. Dlatego też podaję tylko te nazwiska, które pamiętam, innych uczniów wymieniam z imienia, wielu imion już nie pamiętam.

22 czerwca 1941 roku. Dzisiaj wczesnym rankiem zbudziły nas silne detonacje i warkot samolotów. Wysłałam z domu, ktoś z sąsiadów usiłował mnie przekonać, że to ćwiczenia lotnicze. Trudno w to uwierzyć, wybuchy są tak silne jak 1 września 1939 roku, kiedy zbombardowano lotnisko w Lidzie.

Wracam do domu, nastawiam radio. Przemówienie Mołotowa potwierdza moje przypuszczenia. "Nie oddamy ani piędzi naszej ziemi". A więc wojna.

28 czerwca. Trudno opisać, co przeżyliśmy w ciągu tego tygodnia. Naloty i bombardowania powtarzały się po kilka razy dziennie. Znaczna część miasta spłonęła, wśród zgliszcz i gruzów wymarłe ulice miasta pokryte są splatanymi drutami przewodów elektrycznych. Dużo zabitych i rannych.

Przed wieczorem do Lidy weszli Niemcy. Żołnierze dobrze odżywieni, wspaniale wyekwipowani, jechali ciężarówkami. Kilku wpadło do naszego ogrodu, pozrywali wszystkie kwiaty, porobili ogromne bukiety, następnie spędzili ludzi z okolicznych domów. Dzieci musiały podać kwiaty jadącym na samochodach żołnierzom. Scenę tę jeden z Niemców sfotografował. Sielanka i gotowy artykuł do gazety o entuzjastycznym przywitaniu niemieckich wojsk.

3 lipca. W pięknym gmachu Gimnazjum i Liceum im. Karola Chodkiewicza w Lidzie naprędce zorganizowano szpital dla ludności cywilnej. Zgłosiłam się do pracy jako pielęgniarka. Brak środków opatrunkowych, lekarstw, łóżek. Chorzy leżą na podłodze, często na słomie. Wydawało mi się to straszne, ale okazuje się, że może być jeszcze gorzej, bo oto dzisiaj rano Niemcy kazali nam do wieczora opróżnić gmach. 24 sale, duża sala gimnastyczna i szerokie korytarze na trzech piętrach - pełne chorych. Gdzie ich mamy podziąć?

Niemców to nic nie obchodzi, jeśli rozkaz nie zostanie wykonany, głową odpowiadają lekarze i obsługa. Mobilizujemy więc jak najprędzej pomoc z miasta do przenoszenia chorych, bo innego środka transportu nam nie przydzielono. Łżej rannych przeprowadzamy, innych przenosimy do szpitala powiatowego. Szpital jest już przepełniony. Układamy naszych chorych pod drzewami w

ogrodzie szpitalnym. Oby tylko w nocy nie było deszczu.

Wieczorem, gdy zabierałam ostatnią partię chorych, widziałam jak hitlerowcy rozkradali i niszczyli nasze mienie szkolne. Wynosili okazy wypchanych ptaków, precyzyjne przyrządy fizyczne, mikroskopy, darli mapy, wyrzucali przez okna słoje z preparatami. Nasz wieloletni dorobek tak podle i bezmyślnie zniszczony.

17 lipca. Jest bardzo ciężko żyć. Chleba nie ma zupełnie; dobrze, że jest trochę kartofli w piwnicy. Niemcy wprowadzają coraz nowe zarządzenia. Żydzi muszą nosić na ubraniu żółte opaski z literą "J" ("Jude"), nie wolno im chodzić chodnikami, muszą iść brzegiem jezdni, a na dziesięć kroków przed każdym Niemcem zdejmować czapkę. Zarządzenie idiotyczne, ale za niewykonanie - śmierć. Były już takie wypadki.

Wczoraj mąż mój widział 60-osobową grupę Cyganów, których hitlerowcy prowadzili na rozstrzelanie. Cyganki z małymi dziećmi na rękach rwały sobie włosy z głowy, a płacz ich przechodził w zwierzęcy niemal ryk.

15 sierpnia. Mija lato. Od września mają być czynne szkoły powszechne. Szkół średnich naturalnie nie będzie. Co robić ze starsza młodzieżą?

Często rozmawiamy na ten temat z Leną Jodkówną i Wandą Lewkowiczówną. Trzeba zapewnić młodzieży szkołę, nie powinna tracić czasu, nie możemy jej zostawić bez nauki i oddziaływania wychowawczego w tych trudnych czasach. Nie wiadomo, jak długo potrwa wojna, a każdy rok nauki tak wiele znaczy w życiu chłopaka lub dziewczyny. Obliczamy nasze możliwości, okazuje się, że wspólnymi siłami zdołamy obsadzić zarówno przedmioty matematyczno-przyrodnicze, jak i humanistyczne.

Uczniowie przy spotkaniu mówią, że chcieliby się uczyć, niektórzy rodzice też rozmawiają z nami na ten temat.

15 września. Już zaczęliśmy lekcje z kompletami w zakresie I, II, III i IV klasy gimnazjalnej. Uczniowie klas wyższych nie mogą regularnie przychodzić na lekcje, bo pracują, ale jesteśmy z nimi w kontakcie, pożyczamy im książki i w miarę możliwości zachęcamy do pracy samokształceniowej.

Jeden z moich uczniów - Andrzej Szczepański, zapalony przyrodnik, przyjeżdża od czasu do czasu aż z dalekiego Iwja i pożycza ode mnie dzieła przyrodnicze, książki popularnonaukowe już mu nie wystarczają.

5 października. Coraz więcej młodzieży zgłasza się do nauki. Uczniowie każdego kompletu chodzą na lekcje przez dwa dni w tygodniu do Wandy, przez dwa dni do mnie i przez dwa dni do Leny, ale nie można tego utrzymać przez dłuższy czas. Należy zmieniać miejsce lekcji, by nie zwracać uwagi. Porozumiewamy się z rodzicami, niektórzy zgadzają się, by lekcje odbywały się u nich, więc w poniedziałek u Lusi, we wtorek u Danusi itd. Lepsza jest konspiracja, ale za to my tracimy dużo czasu na chodzenie. Z każdym kompletem lekcje trwają dwie godziny i trzydzieści minut (pięć lekcji po trzydzieści minut bez przerw). Wobec napływu młodzieży trzeba znaleźć czas dla nowych uczniów. Więc młodsze klasy mają zajęcia cztery razy w tygodniu, a starsze - pięć. Ferie za to będą krótkie.

14 października. Spośród wszystkich kompletów na czoło wybija się zespół klasy drugiej : Lusia Wiśniewska, Terenia Harniewicz, Danusia Olechowicz, Nata Songin i Janka Stępień. Solidnie odrabiają lekcje, dużo i chętnie czytają. Wyjątkowo i wszechstronnie uzdolniona jest Lusia, gra na

fortepianie, dobrze maluje, z przyjemnością poprawiam jej wypracowania. Pierwsze wypracowanie, jakie im dałam, miało temat: "Moje ulubione zajęcia". Chciałam trochę poznać nowe uczennice. Lusią prawdziwie po poetycku opisała swój ogródek i hodowlę królików. Następny temat: "Pierwszy dzień wojny". Chciałam wiedzieć, jakie miały przeżycia, by nie potrącić czasem o zbyt bolesne struny. Lusią, opisując pierwszy dzień wojny, wspaniale odtworzyła spokojne, pełne opanowania zachowanie ojca, modlitwy i płacz matki, krzątanie i spazmy sąsiadek, a wszystko na tle płonącego miasta i przy akompaniamencie wybuchów bomb.

To dziecko ma duże zdolności literackie. Lusią odznacza się także talentem recytatorskim, dlatego też bardzo ożywia nam lekcje literatury bądź przez przeczytanie urywków, bądź przez recytowanie utworów, które uprzednio miały zadane do nauczenia się na pamięć. Zamiłowanie do poezji potrafiła przelać na swoje koleżanki i cały zespół chętnie uczy się wierszy. Obecnie opracowują Pana Tadeusza; dziewczynki już dużo urywków umieją na pamięć. Wielkie znaczenie przypisuję pamięciowemu opanowaniu utworów poetyckich przede wszystkim dlatego, że o wiele mocniej przeżywamy to, co umiemy na pamięć, wzbogacamy swój język i styl.

Najważniejsze jednak jest to, że żyjemy w czasach tak niepewnych i jedyną naszą własnością jest to, co umiemy. Wyłącznie przez nauczenie się na pamięć niektóre arcydzieła literatury mogą pozostawać z nami na długo i tak było u tych, którzy znaleźli się w więzieniach i obozach i udostępniali je innym. Oczywiście i na innych kompletach zadają uczenie się wierszy na pamięć, ale ten zespół osiąga najlepsze rezultaty.

17 listopada. Zgłosiła się do mnie pani M. z prośbą, bym chociaż trzy razy w tygodniu mogła do nich przyjść i uczyć małego Berka S. Rodzice jego, przewidując bliskie odejście do getta, zostawili u niej swego jedynaka. Chłopiec nie może wychodzić na ulicę, bo zdradzają go semickie rysy twarzy. Pani M. mówi to wszystko szeptem, bo wie, co grozi za przetrzymywanie żydowskiego dziecka.

Ja też doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co grozi za moją działalność. Nie tylko zresztą mnie, ale także całą moją rodzinie. Odmówić jednak nie mogę.

29 listopada. Rocznica Powstania Listopadowego. Już przed miesiącem z myślą o tym dniu starszym kompletom poleciłam nauczyć się Reduty Ordon, młodszym - Emilii Plater. Niektórzy uczniowie bardzo ładnie deklamowali. Szkoda, że musimy wykluczyć śpiew w naszej pracy. Lusią bardzo ładnie zagrała nam na fortepianie Warszawiankę. Z melodią tą tak mocno wiążą się pierwsze dni września 1939 roku - oblężenie Warszawy i jej bohaterski prezydent, Stefan Starzyński.

30 listopada. Lekcje z 11-letnim Berkiem S. są ciekawe, ale bardzo trudne. Syn bogatego lekarza, rozpieszczony jedynak, zniechęca się łatwo każdą trudnością. Przeżycia ostatnich miesięcy - wojna, prześladowanie Żydów, utworzenie getta i rozłąka z rodzicami - mocno naruszyły równowagę psychiczną dziecka. W jego oczach czai się lęk. Gdy widzi przez okno, zasłonięte gęstą firanką, przechodzących Niemców, ucieka w najciemniejszy kąt pokoju lub wchodzi pod stół i ma wygląd zaszczutego zwierzątka. Ileż potwornej grozy przeżyło to dziecko. Udało mi się zainteresować go geografią, przynoszę mu pocztówki z widokami różnych miast europejskich, opowiadam jak ludzie żyją w tych krajach, a potem wspólnie wyszukujemy na mapie omawiane miasta i kraje, poznajemy góry i rzeki. Na jednej z pierwszych lekcji chłopiec drżącą pięścią zakrył na mapie Niemcy i powiedział: "O tym kraju i tych ludziach niech mi pani nigdy nie mówi".

Czytanki muszę dobierać mu tak, by nie było tam mowy o stosunkach i uczuciach rodzinnych. Przy słowie "matka" lub "ojciec" chłopiec wybucha płaczem i długo nie można go uspokoić.

Nie mogę poświęcać mu dużo czasu, ale muszę tak obmyślać zadania domowe, by Berek miał dzień wypełniony. Całe szczęście, że lubi malować, więc zadaję mu ilustrowanie czytanek, robienie prostych wykresów, rysowanie map. Berek najchętniej maluje akwarelą, obrazki jego, przeważnie utrzymane w zimnych tonach, mają ponury koloryt, a chmury na niebie składają się zwykle w kształty potworów o fantastycznych, powyginanych ramionach.

1 grudnia. Zima. Mróz siarczysty. Dobrze, że udało mi się kupić trochę drzewa brzoźowego. Muszę znaleźć czas na piłowanie. Staram się jak najszybciej zjeść obiad, ugotowany przez Wandzię (córkę) i zabieramy się wraz z Jasiem (synem) do piłowania. Ileż to rzeczy człowiek jeszcze nie umie. Zdawałoby się prosta rzecz ciągnąć piłę tam i z powrotem. A idzie nam tak nieskładnie, piła zacina się, nie chce się ruszać, tnie krzywo. Pokonujemy nareszcie pierwsze trudności, znajdujemy wspólny rytm pracy. Piła przyjemnie dzwoni na mrozie, a na śnieg spadają kremowe, pachnące świeżym drzewem, trociny. Triumf. Pierwsze polano przepiłowane. Następne pewnie pójdą łatwiej. Palimy w piecu tylko w jednym pokoju, bo drzewa mało, a dom drewniany, roztrzęsiony w czasie bombardowania, wieloma szczelinami przepuszcza zimno. Z niektórymi kompletami mam u siebie lekcje.

A oto w jakich warunkach się one odbywają. Pośrodku pokoju stoi duży stół, wygodnie może przy nim pisać osiem osób i to jest duży plus, bo w żadnym domu, w którym uczę, nie ma takiego stołu, ale też nigdzie nie jest tak zimno jak u nas. W pokoju naszym pod jedną ścianą stoi tapczan, na którym leży Hanka (siostra męża), obłożnie chora od dwóch lat, pod drugą ścianą stoi otomana, na której bawi się moja dwuletnia wnuczka - Krysia. Rączki maleństwa są czerwone i opuchnięte od odmrożenia. Krysia bardzo interesuje się dziećmi, które przychodzą do mnie na lekcje i wie, że jak dzieci biorą do ręki ekierki, to będzie... ABC.

Prowadząc lekcję muszę mieć na uwadze i chorą, i dziecko. W innych domach, gdzie mam zajęcia, też nie ma należytego spokoju. Warunki mieszkaniowe w spalonym mieście są bardzo ciężkie. Lekcje muszę przygotowywać dopiero wtedy, gdy wszyscy zasną, a przecież uczę też przedmiotów, z którymi nie miałam do czynienia od czasu złożenia matury, to jest od roku 1913.

W zimowe wieczory, gdy trudno jest czytać przy słabym świetle naftowej lampki, urządzamy w rodzinie konkursy polegające na przypominaniu tego czy innego działu wiedzy. Lojalnie wykluczamy przedmioty będące naszą specjalnością. Julek - z wykształcenia humanista - doskonale pamięta matematykę, a zwłaszcza wzory trygonometryczne, a przecież zdawał maturę w 1901 roku. Ja pamiętam matematykę gorzej od niego, ale za to umiem na pamięć wiele utworów poetyckich z literatury polskiej, francuskiej, niemieckiej. Córki moje, które zdawały maturę: jedna w 1937 roku, druga - w 1939 roku, były dobrymi uczennicami, pamiętają również wiele.

5 grudnia. Dzisiaj znowu była łapanka. Duży transport młodzieży wywieziono do Niemiec. Ze starszego kompletu ubył dwóch chłopców. Złapano ich na ulicy. Jakie będą ich losy? Niepokój targa serce i wzmaga się troska o tych, co zostają. Trzeba pomyśleć o własnym synu. Chłopak ma już piętnaście lat, mogą go zabrać. Rysiek Kazubowski - mój dawny uczeń - pracuje w drukarni i namawia Jasia, by tam objął prace. Trzeba to zrobić, chociaż chłopiec nie będzie miał czasu na naukę.

6 grudnia. Irka (córka) i Edek powiedzieli mi dzisiaj, że chcą wziąć ślub w końcu grudnia. Ira ma dopiero 19 lat, Edek jest o dwa lata starszy. Bardzo młodzi. Przed wojną zaledwie zdążyli skończyć liceum. Gdyby to były normalne warunki, radziłabym ślub odłożyć i skończyć studia. Teraz nic nie wiadomo, może tak będzie lepiej. ,

19 grudnia. Już od dwóch tygodni Jaś pracuje w drukarni. Wychodzi o świcie, a wraca wieczorem. Jest bardzo zmęczony. Nie chce mówić o swojej pracy. Na pytanie, jak tam jest, mówi:

"Wytrzymam". Z trwogą patrzę na jego ręce, popękane i poranione od ciągłego zmywania terpentyna. Inaczej farba drukarska nie schodzi. Koszul też doprać nie mogę, a mydła wciąż brakuje.

20 grudnia. Mam taki komplet chłopców: Mietek Szablowski, Zbyszek Parzniewski, Miś Siemak, Witalis Giecewicz. Niedawno do tego kompletu doszedł uczeń Romek Sadowski, miły, ładny blondynek. Matka oznajmiła mi, że Romek pisuje wiersze i ma zdolności literackie. Na razie widzę, że ma on wielkie braki w zakresie ortografii i kaligrafii i nad tym musi pracować. Na słowotwórstwo ma całkiem swoisty pogląd. Gdy mieli dać mi przykłady na wyrazy złożone z dwóch tematów, Romek powiada: "Papierosy" - papier i osy. Wywołało to wielką radość wśród kolegów.

Mietek Szablowski i Zbyszek Parzniewski mają troskliwą opiekę w domu. Lekcje odrabiają starannie i systematycznie. Witkowi nauka idzie trudno, ma duże braki, a mało czasu na odrabianie lekcji. Chłopak ma lat czternaście i jest najstarszym z sześciorga rodzeństwa. Pomaga dużo matce, a nadto handluje, by pomóc w utrzymaniu rodziny. Witek często opuszcza lekcje, gdyż wyjeżdża na wieś, gdzie sprzedaje drożdże, sodę itp. Doskonale orientuje się w procesie wytwarzania alkoholu, o czym przekonałam się na lekcji botaniki, gdy była mowa o fermentacji alkoholowej.

21 grudnia. Ślub Irki ma odbyć się 27 grudnia 1941 roku. Trzeba coś sprzedać, by urządzić święta i najskromniejsze choćby wesele. Na biurku znalazłam kartkę, na której Irka wypisała sobie rzeczy niezbędne na nowym gospodarstwie. Wykaz jest bardzo skromniutki. Gdybym handlowała, jak wielu moich znajomych, mogłabym jej kupić wyprawę i meble. Podzielię się z nią tym, co jest w domu. Inaczej wyobrażałam sobie wesele i wyprawę Irki. Ale nie trzeba się roztkliwiać, raczej wziąć się do roboty. Wybrałam kilka swoich najlepszych sukienek i garnitur Julka (wieś kupuje tylko modne i mało noszone ubrania), poszłam z tym na rynek. Przewiesiłam sukienkę przez ramię. Stałam, przestępując z nogi na nogę, by się rozgrzać. Mróz był trzaskający - minus 25 o C. Postąpiłam godzinę, zmarzłam, ale nic nie sprzedałam. Nagle podbiega do mnie Witek: "Tu pani nic nie sprzeda mówi - trzeba stanąć tam, gdzie gromadzi się szlachta zaściankowa, oni mają pieniądze. Ile pani chce za to?" - wskazuje na jedwabną sukienkę. Mówię cenę. "To za mało - orzeka. - Ja pani pomogę" - chwytając suknie i biegnie z nimi wśród tłumu. "Suknie, sukienki - dla pani, dla pani. Ostatnia moda paryska! Komu, komu - bo idę do domu" - wola zachrypniętym głosem. Po upływie pół godziny wszystkie suknie i garnitur są sprzedane. Witek przynosi mi sumę znacznie większą niż przewidywałam.

"Tak się sprzedaje - mówi z dumą. Ale pani źle robi, że pozbywa się swoich rzeczy, trzeba handlować, tu kupić, tam sprzedać, a nie wynosić z domu. Kiedy pani sobie kupi takie ubrania? Ja obecnie handluję drożdżami - zwierza mi się - to się oplaca, zarabiam dziesięć razy więcej niż mój ojciec cieśla. Beze mnie nie wiem, jak mama dałaby radę wyżywić nas wszystkich."

Tak więc Witalis, któremu trudno uporać się z najprostszymi zadaniami, doskonale radzi sobie w życiu.

1 stycznia 1942 roku. Nowy Rok witamy z nadzieją, że będzie ostatnim rokiem wojny. Dzieci z kompletów przynoszą mi różne wiadomości o wróżbach, jakie jasnovidz w Bieniakoniach przepowiada, że wojna skończy się, jak kartofle zakwitną. Inna wróżba głosi pomyślne zakończenie wojny, gdy koń turecki napije się wody w Wiśle, a trzech króli padnie...

16 marca. Mam dwoje nowych uczniów: Dosia i Tadek Laskowiczowie. Mieszkają niedaleko mnie i mogą na lekcje przychodzić przez ogrody, nie widziani przez nikogo. Dosia miła - różowa, zawsze uśmiechnięta dziewczynka o wielkich błękitnych oczach. Tadek dobrze wyrosnięty, silny, pewny siebie chłopiec. Zawsze mają dużo do powiedzenia, co dzieje się w mieście, a często mają

wiadomości z Warszawy. Ojciec ich bardzo interesuje się postępami dzieci w nauce i często mnie odwiedza. Za lekcje płaci mi rybami - 2 kg tygodniowo. Znakomicie poprawia to stan wyżywienia mojej rodziny. Często brak mi pieniędzy na zakupienie potrzebnych artykułów, a zawsze brak czasu. Lekcje zaczynam od 7.30 do 14.00; potem godzinna przerwa na obiad i od 15.00 do 19.00 wieczorem poprawiam zeszyty, załatwiam sprawy domowe.

Matki moich uczniów często robią mi zakupy lub informują o okazjach nabycia mięsa, słoniny itp. Wczoraj matka Mietka poinformowała mnie, że na Słobódce pani M. ma do sprzedania mięso. Wspaniała okazja. Od Nowego Roku nie mieliśmy mięsa na obiad. Okazało się, że pani M. to matka mojego dawnego ucznia - Tadzika. Pani M. z dumą opowiada mi, że Tadzik już od kilku miesięcy pracuje w aptece i bardzo sobie tę pracę chwali. Początkowo było mu trochę trudno, bo nie miał żadnego przygotowania, ale powoli wciągnął się do pracy.

W trakcie tego opowiadania doznałam po prostu olśnienia. Praca w aptece byłaby wymarzona dla Jaśka. Zawsze lubił chemię, z zapalem przeprowadzał doświadczenia, jest dokładny, uważny i ma doskonałą pamięć. No i pracowałby w cieple, a wtedy wygoiłyby mu się te biedne, poranione ręce.

Myśl ta nie opuszcza mnie ani na chwilę. Pójdę do doktora Stasiewicza i poproszę go o pomoc w tej sprawie. Zrobię to zaraz jutro. Na jednym z kompletów uczę córeczkę doktora Stasiewicza - Irkę. Jest to bardzo zdolna, staranna i pilna dziewczynka. Myśl o zmianie pracy Jasia ani przez chwilę nie daje mi spokoju. Byle szybciej - do jutra!

13 kwietnia. Poszłam na lekcje do Berka S. Zastałam jego opiekunkę w łzach. Berek uciekł w nocy do domu i przekradł się do getta, gdzie byli jego rodzice. Zostawił dla mnie obrazek. Namalował długi plot z kolczastego drutu, na niebie ciężkie, ciemne, szare chmury o kształtach potworów, pod płótem postać czołgającego się dziecka. Podpis: "Do mamy".

28 kwietnia. Czas wolny - po lekcjach z Berkiem - zajął nowy komplet: cztery dobrze odżywione i świetnie ubrane dziewczynki. Widać, że rodzicom, którzy handlują, doskonale się powodzi. Jedna z dziewczynek jest kaleką. W czasie bombardowania Lidy straciła nogę. Lekcje odbywają się u niej w ciepłym, pięknie urządzonej pokoiku. W domu często odbywają się przyjęcia i huczne zabawy. Dziwię się, że są ludzie, którzy mają na to dość humoru i pieniędzy. Większość moich uczniów nie ma żadnych rozrywek. Nawet do kina nie chodzą, w myśl powszechnie obowiązującego bojkotu, bo wyświetlane są tylko filmy niemieckie. Propaganda bojkotu zawiera się w krótkim zdaniu: "Tylko świnie siedzą w kinie". Pewnego razu Władek, zapalony kinoman, nie mógł oprzeć się pokusie i poszedł na film. Interesującą była reakcja jego kolegów na ten czyn. Na lekcji języka polskiego zaproponowali, że chcą przypomnieć niektóre urywki z Maratonu Ujejskiego. Wiersza tego uczyli się na pamięć kilka miesięcy temu. Jurek pięknie zadeklamował. Gdy mówił:

Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje.
Niech sobie powróz okręci na szyję,
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca

wszyscy patrzyli na Władka, zaczerwienionego aż po białka oczu.

25 maja. Od biegania na lekcje do domów położonych w różnych krańcach miasta podarły mi się trzewiki. Kupienie nowych to cały problem w moich warunkach. Udało mi się nabyć drewniaki. Wierzchy mają dosyć dobre, z miękkiej skóry, ale chodzenie na sztywnych drewnianych podeszwach męczy bardzo i sprawia wiele hałasu. Jeden z naszych kolegów zajmuje się szewstwem, poszłam więc do niego. Stosunkowo niedrogo przerobił mi te buciki, dał skórzaną zelówkę.

20 czerwca. Doktor Stasiewicz umieścił Jaśka w aptece. Dał mu świadectwo, na podstawie którego będą mogła swego chłopca zwolnić z drukarni. Jasiak wygląda bardzo mizernie, boję się o jego płuca. Pracę w aptece ma objąć od 1 sierpnia.

28 czerwca. Jasiak ma już zwolnienie z drukarni, cieszy się perspektywą pracy w aptece. Teraz odpoczywa.

Uczniowie na kompletach będą mieli miesiąc wakacji. Starsi - na prośbę rodziców - dwa tygodnie będą odpoczywać w lecie, a dwa - w okresie kopania kartofli.

Postanawiam na te dwa tygodnie wyjechać z Jasiem do Niemna (miejscowość letniskowa w pobliżu Lidy, położona nad Niemnem).

Niemen, 1 lipca 1942 roku. Tyle razy wyjeżdżaliśmy z dziećmi na letnisko. Zwykle odnajmowaliśmy dwie izby. Obecnie nie mogę opłacić czynszu nawet za jedną. Za niedrogie pieniądze uzyskujemy noclegi na sianie w stodole. Czujemy się jak na wycieczce. Kąpiemy się w Niemnie, pływamy, chodzimy na wycieczki. Lasy są tu takie, jak opisuje Mickiewicz:

...Lasy litewskie, tak potężne i tak pełne krasy
Czeremchy opłatane dzikich chmielów wieńcem.
Jarzębiny, ze świeżym panieńskim rumieńcem
Leszczyna, jak menada z zielonymi berły
Ubranymi jak w grona w orzechowe perły.

Zdumiewa nas niezmiernie wierna i dokładna pamięć Mickiewicza. Nazwiska wymienione w Panu Tadeuszu, jak Kaszyc, Obuchowicz, Maleski spotyka się tu często.

W siódmej księdze Jankiel mówi: "Ja Żyd, o wojnach nie wiem, a byłem w Bielicy..." I właśnie Bielica położona jest nad Niemnem niedaleko stąd. Zabrałam z sobą zbiorowe wydanie Dzieł Mickiewicza. Najczęściej wracamy do Pana Tadeusza, czytujemy go w lesie lub nad brzegiem Niemna. Jakże mocno odczuwa się piękno mickiewiczowskiej poezji w tym otoczeniu.

W rozmowach z ludźmi też co chwila przypomina się Mickiewicz. Gospodyni chwali się, zaciągając z wileńska: "Ot, kartofla pięknie wyrosła, a mąż myślił, że w tym roku nie uda się". Innym razem narzeka, że ogród burzanem zarósł i trzeba pleć. "Omijam koralowe ostrowy burzanu" - dźwięczą mi w uszach Stepy Akermańskie.

Odpoczęliśmy, opaliliśmy się, no i trzeba wracać do domu. Wychodzimy obładowani plecakami i słyszymy, jak gospodyni wola: "A kysz, a kysz". Przystajemy zdumieni i patrzymy, co za gusła ona tutaj odprawia. To nie gusła, tym zawołaniem przepędza kury z ogródka. Tajemnicze i ponure: "A kysz, a kysz" z Dziadów nabiera nowej treści i rumieńców życia.

30 sierpnia. Jaś od miesiąca pracuje w aptece. Chłopiec odżył, jest zadowolony, pogodny. Bardzo przejmuje się swa praca. Kiedy zabraknie w aptece jakiegoś lekarstwa, chodzi strapiiony, natomiast cieszy się bardzo, gdy otrzymują nowy transport leków, tym bardziej że wtedy może zakupić najpotrzebniejsze rzeczy dla partyzantów.

Jaś ma teraz więcej czasu i trzy razy w tygodniu może chodzić na lekcje. Kolega Zygmunt Manke zgodził się udzielać matematyki i fizyki na jednym z kompletów. Na te lekcje Jaś będzie mógł chodzić.

5 października. Iruś urodziła się córeczka. Przełożyłam niektóre lekcje na kompletach na inny dzień i poszłam do szpitala. Przed kilkoma godzinami przyszła na świat córeczka Irki, ale ona i jeszcze kilka położnic leżały na sali porodowej. Gdy przyszłam, salowa akurat zamiatała, podnosząc szczołkę tumany kurzu i kłaki włosów. Z przerażeniem patrzyłam na taki sposób sprzątanego i drżałam z trwogi o zdrowie i życie Iruś i dziecka. Przyniesiono maleństwo do matki, ależ jaki smutny to był widok. Dziecina zawinięta była w zgrzebne płótno i kawał wełnianego koca koloru khaki. Iruś naszykowała dla dziecka bieliznę, pieluszki i becik, ale nie pozwolono jej tego zabrać do szpitala.

7 października. Iruś dostała gorączkę. Jestem przerażona. A malutka wnuczka ma odparzoną szyjkę, skórę w zgięciach rąk i pod kolankami. Taka fatalna opieka w tym szpitalu. Oby tylko obie wyszły zdrowo.

15 października. Wszystko szczęśliwie się skończyło. Iruś z córeczką już jest w domu. Mała ma na imię Helena, ale nazywają ją Iłonką. Helena - to imię matki Edka.

16 października. Wielu rodziców prosiło, by zrobić przerwę w nauce na czas kopania kartofli. Wobec tego zawieszamy zajęcia od 1 do 15 października.

Tereska Harniewiczówna powiedziała mi, że ktoś z jej znajomych poszukuje robotników do kopania kartofli i płaci dwa pudy (32 kg) kartofli dziennie. Terenia i kilka jej koleżanek mają zamiar pójść do kopania, by pomóc rodzicom w zdobyciu kartofli na zimę. Ja również postanawiam podjąć się tej pracy. Kilkanaście pudów kartofli to coś znaczy, a w dodatku będę razem z moimi dziewczynkami.

18 października. Kopanie ziemniaków to wcale niełatwa praca. Trzeba pracować równo z innymi, bo jak się zostanie w tyle, to trudno jest donosić kartofle do worków.

Terenia pracuje starannie, równomiernie, potrafi zorganizować sobie pracę tak, by jak najmniej tracić czasu. Jadzia stara się wszystkich wyprzedzić, ale trudno jej to idzie, dużo kartofli kaleczy lub zostawia w ziemi. Muszę na nią zwrócić większą uwagę przy nauce, trzeba ją uczyć solidnego traktowania obowiązku. Mam ze sobą kilka pudełek, do których zbieram okazy pędaków, drutowców itp. Przyda mi się to na lekcjach biologii, przecież rozporządzam znikomą liczbą pomocy naukowych.

Gdy kopałyśmy kartofle pod samym lasem, złapałam jaszczurkę o rozdwojonym na końcu ogonie. Co za wspaniały okaz do lekcji o regeneracji.

25 listopada. Kilku uczniów ze starszych kompletów poszło do partyzantki, pozostałych uczniów tego kompletu połączę z dziewczynkami.

7 grudnia. Staram się przerobić według programu materiał z literatury polskiej, ale z lekturą jest bardzo trudno. Pożyczam uczniom książki z własnej biblioteki. Podczas omawiania wojen krzyżowych dałam uczniom do przeczytania *Krzyżowców* Kossak-Szczuckiej, piękne wydanie, w barwnej, ślicznej oprawie. Chłopcy przeczytali dosyć prędko i z dużym zainteresowaniem, aczkolwiek pogardliwie wyrażają się o ówczesnym sposobie wojowania: "E, prośże pani, co doza wojna, nawet samolotów nie mile".

18 grudnia. Podsumujemy wyniki naszej pracy. Mamy duże trudności w prowadzeniu niektórych przedmiotów. Najtrudniej prowadzić matematykę, gdy objaśniamy coś nowego, uczniowie gromadzą się przy nas i robi się wtedy bardzo duszno. Zupełnie inaczej przebiegałyby lekcje, gdyby można było dowody twierdzeń geometrycznych lub rozwiązywanie zadań algebraicznych

przeprowadzić na tablicy. Nigdy nie myślałam, że tak bardzo będę tęsknić za tablicą. Zwykły sprzęt, a jak pomaga w pracy nauczycielskiej. Rodzice postaraliby się nawet o tablicę, ale nie moglibyśmy umieścić jej u nikogo w mieszkaniu ze względu na konspiracyjny charakter naszej pracy.

1 stycznia 1943 roku. I znowu minął rok. Wojna nie kończy się. Coraz trudniej żyć. Zaczyna też szwankować moje zdrowie. Bardzo dokuczają mi bóle wątroby. Na lekcje chodzę z paczką "Cholekinazy", bo muszę ją pić kilka razy dziennie. Matki moich uczniów chętnie parzą mi ziółka i mogę je wypić po lekcji.

5 lutego. Od kilku miesięcy mam lekcje z niezwykłym uczniem. Nazywa się Stanisław Barszczewski. Poznaliśmy się w zabawny sposób. Była niedziela i od samego rana zabrałam się do prania. Nad balią unoszą się kłęby pary, bo przed chwilą wyjęłam bieliznę z kotła. Nagle ktoś otwiera drzwi, do kuchni wtargnęła fala zimnego powietrza i wytworzyła się przy drzwiach gęsta mgła, z której dochodzi głos:

- Czy tutaj mieszka pani Kleindienstowa?
- Tutaj - odpowiadam, ale nie widzimy się nawzajem.

Po chwili mgła się rozprasza i widzę młodego, nieznajomego mężczyznę, który zapytuje mnie:

- Czy to prawda, że pani uczy?
- Ja piorę, jak pan widzi - odpowiadam. Na twarzy przybyłego maluje się zawód.
- A mnie Wacek K. mówił, że pani uczy i mogłaby nawet do matury przygotować.

Wacek, to mój dawny uczeń. Jeśli on go przysyła, mogę się nie bać. Nieznajomy mówi prędko:

- Skończyłem przed wojną siedem klas szkoły powszechnej, muszę jak najszybciej przerobić kurs gimnazjum i liceum, a następnie zdać maturę.
- A gdzie pan chce składać maturę?
- Tu, albo w Wilnie - pada odpowiedź.

W głosie Stanisława jest taka pewność, jak gdyby komisja egzaminacyjna już na niego czekała. Tym optymizmem i wiarą podbija moje serce, godzę się, by go uczyć. Stanisław mieszka w Wołodaciszkach, 30 kilometrów od Lidy. Pracuje w młynie i na lekcje może przyjechać tylko w niedzielę. Trudno mi się zdecydować, ponieważ zwykle w niedzielę robię pranie i porządki domowe. Z pomocą przychodzi mi mąż. Podejmuje się wziąć z nowym uczniem łacinę i matematykę, co zajmie trzy godziny, pozostałe przedmioty ja wezmę, na co poświęcę cztery godziny. Za lekcje Stanisław będzie nam płacił chlebem, prawdziwym wiejskim razowcem: 4 kg tygodniowo i ponadto 1 kg masła miesięcznie. Chleb, który dostajemy na kartki w bardzo skromnej ilości, zawiera dużą przymieszkę łusek od kaszy gryczanej i naprawdę kole w ząby. Stanisław przyjeżdża na lekcje konno, nawet przy 30 o mrozie. Nie odstrasza go ani deszcz, ani śnieg, ani zawierucha. Wykazuje tyle zapału i wytrwałości, że można z nim szybko przerabiać materiał. Właściwie jest on samoukiem, my służymy mu tylko pomocą i wyjaśniamy trudniejsze zagadnienia. W niedzielę trzeba mu wyłożyć tyle materiału, by miał co robić przez cały tydzień. Stanisław odrabia lekcje starannie, a wszystko stara się gruntownie zrozumieć. Przy trudniejszych zagadnieniach mocno trze ręką czoło, jak gdyby w ten sposób starał się wtłoczyć wiadomość do głowy.

Zupełnie inny jest mój uczeń - Aleksander G. Niby to przerabia kurs pierwszej klasy licealnej, ale uczy się byle zbyć, powierzchownie. Myśli jego pochłonięte są robieniem interesów. Jest zawsze elegancko ubrany, pali doskonałe papierosy, a uczy się dlatego, że tak wypada. Postępy robi

niewielkie.

15 lipca. Chodziły głuche wieści o nieszczęściu, a dzisiaj dostałam gazetkę. Tak jest, generał Sikorski zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem. Stało się to 4 lipca. Co za straszny cios. Po prostu czuje się, że ziemia usuwa się spod nóg. Zginął człowiek, w którym pokładaliśmy tyle nadziei.

20 lipca. Wczoraj wieczorem była u mnie matka Romka Sadowskiego. Ledwie poznałam tę młodą i inteligentną kobietę, tak była zmieniona. Powiedziała mi, że Romek poległ w walkach partyzanckich (zginął w Siemiagach k. Mociewczuków nad Niemnem, pseudonim - "Remus" - red.). Odniosła książki, które ode mnie pożyczył. Uścisnęłam serdecznie jej ręce, bo nie znalazłam słów, które można by powiedzieć matce w takiej chwili. Nie przeczuwałam wtedy, że i nasz syn polegnie w walce partyzanckiej, a stało się to 21 sierpnia 1944 roku.

23 lipca. Zawiadomiłam chłopców z kompletu Romka o bohaterskiej śmierci kolegi.

27 lipca. Nieczęsto kontaktujemy się z Leną Jodkówną i Wandą Lewkowicz; brak nam czasu i musimy być ostrożne. Z wielką przyjemnością zachodzę do Leny. Czasem, gdy Lena jest jeszcze zajęta lekcjami, przysiadam na zydelku i rozmawiam z panią Jodkową - matką Leny. Obie patrzymy na zgrabniutką i energiczną postać Leny, która z zapałem wyklada lub mocno egzekwuje wiadomości. Widzę, że matka z rozczeniem i tajoną trwoga patrzy na ukochaną córkę.

Lekcja się kończy, uczniowie ostrożnie, po jednym, opuszczają mieszkanie. W tym czasie zamieniam kilka słów z Leną, zostawiam gazetki, a oto nadchodzą nowi uczniowie. Pani Jodkowa wdraża im zamięłowanie do porządku :

- Nie, kochanieńki, z takimi zabłoconymi butami to ty na lekcje nie pójdziesz. I brzydko, i wstyd. Wróc do sieni, tam szmata i szczotka jest dla was. O czystości trzeba pamiętać.

W taki oto sposób dzielna i kochana kobieta pomaga nam w wychowywaniu młodzieży.

28 lipca. Matka Wandy Lewkowicz w czasie lekcji prawie zawsze jest w kuchni i to nie tylko dlatego, żeby ze skromnych zapasów wojennych przyrządzić jak najlepsze potrawy dla swej jedynaczki, ale i dlatego, że z okien kuchenki widać, co dzieje się na ulicy. Dom jest narożny, wejście od ruchliwej ulicy Kolejowej, trzeba więc bardzo uważać. Pani Lewkowiczowa często wychodzi przed dom, niby to coś robi w ogródku, niby to coś robi przy płocie, a oczy jej bystro patrzą dokoła.

Matka Wandy jest bardzo ciekawą nowin politycznych, pilnie czytuje gazetki i ma zawsze najświeższe

wiadomości z agencji JPP ("Jedna pani powiedziała"). Pani Lewkowiczowa drży o bezpieczeństwo Wandy i nieraz zwierza mi się ze swych obaw: "Moja pani kochana, czy też Wandzia zanadto się nie naraża?" Boi się o swe dziecko, ale zdaje sobie sprawę, że nasza praca jest konieczna. Być może, mój stateczny wiek (47 lat) daje pani Lewkowiczowej pewne gwarancje, że to, co robimy nie jest młodzieńczą brawurą. Jestem dużo starszą od Wandy i od Leny, ale w pracy nie odczuwa się tej różnicy wieku. Ostrożność pani Lewkowiczowej przyniosła zbawienne skutki. Pewnego razu dostrzegła jakiś podejrzany ruch na ulicy, czym prędzej więc wysłała Wandzię do Leny. W tym czasie omawialiśmy z Leną sprawy związane z promowaniem uczniów i z rozłożeniem ferii dla poszczególnych kompletów. Ucieszone, że jesteśmy wszystkie razem, zaczęłyśmy omawiać nasze zadania na najbliższy okres. Po godzinie przybiegł Guccio, przysłany przez panią Lewkowiczową, z wiadomością, że u Wandy była rewizja, dom jest otoczony, nie można wracać. Po upływie godziny

ja także ze swego domu otrzymałam podobny meldunek. Niebezpiecznie było zostawać u Leny. Wiadomości o rewizji szybko dotarły do naszych uczniów. Do mnie przyszedł Bogdan Pilecki z wiadomością, że rodzice jego zapraszają mnie do Sukurcz, furmanka czeka za miastem. Lena i Wanda też wyjechały na wieś. Razem ze mną jedzie Cezia Mickiewiczówna i Bogdan Pilecki.

Na wsi życie płynie spokojnie, tylko dręczy mnie niepokój, co się dzieje w Lidzie. Pół dnia zabierają mi lekcje z Bogdanem i Cezią. Oboje są zdolni, Cezia ma umysł ścisły, logiczny, celuje w matematyce i ma zamiłowanie do geograf. Bogdan interesuje się literaturą, chętnie czytuje Krasińskiego, a zwłaszcza młodociany utwór: Sen Elżbiety Pileckiej, która zalicza do swych antenatów. Czytuje też Staffa, Iłakowiczównę, no i sam pisze wiersze. Ciekawe to zjawisko, że tyle młodzieży obecnie pisuje wiersze, mniej lub bardziej udane. Myślę, że te poetyckie zapały potęguje brak rozrywek.

Po południu odbywam dłuższe spacer. Na śniadanie i na kolację dostaję mleko, co wydaje mi się wielkim luksusem, bo w domu mleko miałam tylko dla dzieci.

Poznałam pracującą w polu radziecką dziewczynę Pole, wzięta przez Niemców na roboty. Po kilkudniowej znajomości, gdy pozyskuję zaufanie Poli, dowiaduję się, że jest ona traktorzystką, ale nie zdradza przed nikim swych umiejętności, bo nie chce służyć Niemcom swymi fachowymi umiejętnościami. To także forma walki.

10 sierpnia. Po powrocie do Lidy życie potoczyło się zwykłym trybem. Pewnego dnia wieczorem, gdy poprawiałam zeszyty, wpadło do mieszkania kilku hitlerowców, przetrząsnęli wszystkie rzeczy i poszli. Trzeba było dużo czasu stracić na uporządkowanie.

15 sierpnia. Nie mamy wyraźnie ustalonego początku i końca roku szkolnego. Gdy który komplet przerobi materiał czterech klas gimnazjum, robimy repetycje czy egzamin i zaczynamy kurs klas licealnych. Jeśli ktoś nie nadąza, przesyłamy go do młodszego kompletu i traci nie cały rok, lecz kilka miesięcy. Na ogół nasi uczniowie nie lubią zmiany kolegów i dlatego pomagają sobie nawzajem, byle tylko nie dopuścić do rozbitcia zespołu.

Bardzo mi przykro, że przedmioty mojej specjalności - biologię i geografę - muszę traktować pobieżnie. Na lekcjach wyjaśniam węzłowe zagadnienia, resztę muszą uczniowie opracować sami. Z prawdziwym żalem myślę o pomocach, w jakie wyposażona była nasza szkoła. Najbardziej jednak brak mi tablicy. Cała nasza praca jest nie tyle nauczaniem, ile pomocą w samokształceniu. Zdolniejsi i dociekliwsi uczniowie dobrze na tym wychodzą, wykazują wiele samodzielności, umieją korzystać z książek. Wielkie i szybkie postępy robią: Stanisław Barszczewski, Jurek Opuchowski, Cezia Mickiewiczówna, Irka Stasiewicz.

W miarę możliwości tworzymy grupy z bardziej uzdolnionych i z nimi szybciej, a zwłaszcza obszerniej, przerabiamy materiał. Uczniowie mniej samodzielni robią wolniejsze postępy. W nauczaniu historii staramy się, by młodzież nie tylko opanowała wiadomości przewidziane w programie, a podane w podręczniku, ale by przeczytała dzieła literackie odtwarzające życie w danej epoce.

Uczniowie, którzy przerabiają historie starożytna, dostają do przeczytania Ferenikę i Pejsidoros Rydla, Dysk Olimpijski Parandowskiego. Dla pogłębienia i utrwalenia wiadomości dają wypracowanie na temat: "Kilka dni z życia chłopca ateńskiego". Po poprawieniu wypracowań odczytuję na lekcji najlepsze i omawiamy je. Ilustracją historii starożytnego Rzymu jest Quo vadis Sienkiewicza, wojny krzyżowe ilustrują Krzyżowcy Kossak-Szczuckiej, wojny napoleońskie odtwarzają nam Popiły Żeromskiego i Koniec epepei Tetmajera. Nie wiem dlaczego ta piękna książka nie figurowała w spisie lektury szkolnej. Zdaję sobie sprawę, że fachowiec historyk

czytając o tym, jak biolog uczył historii, uśmiechnie się z politowaniem. Na pytanie, dlaczego te, a nie inne książki wybrałam dla rozszerzenia wiadomości uczniów, odpowiem po prostu: te właśnie książki miałam w swojej bibliotece.

Na zakończenie materiału o wojnach napoleońskich żądałam wypracowanie pt. Losy żołnierza z Legionów Dąbrowskiego. Na wypracowanie daję uczniom miesiąc czasu, a nawet dłużej. Uczniowie starają się w tym okresie możliwie dużo przeczytać, zbierają materiał, często powracają myślą do danej epoki. Niektórzy piszą obszerne prace, a poprawienie ich zabiera dużo czasu.

Lusia Wiśniewska napisała na ten temat bardzo ładne opowiadanie. Przedstawiła wspomnienie legionisty przebywającego na San Domingo. Ładnie i dźwięcznie zaczęła swe opowiadanie: "San Domingo. San Domingo. Spienione fale Atlantyku rozbijają się o skalisty brzeg wyspy i śpiewają odwieczną pieśń o potędze..."

12 września. Była rewizja u państwa Laskowiczów. Niemcy aresztowali pana Juliana Laskowicza, jego żonę Halinę, córkę Dosię i kuzynkę Wercię. Tadzika wówczas nie było w domu. Jest godzina, o której Dosią i Tadzikiem przychodzili na lekcje. Pusta godzina... Czekam, ale wiem, że Tadzik nie nadejdzie. Myślę, jakby mu pomóc. Jednocześnie myślami towarzysze Dosi: co się z tobą dzieje, moja uśmiechnięta dziewczynko?

Jakim potwornym ciężarem legła na nas okupacja. Rozmyślenia przerywa mi wnuczka Krysia, która wchodzi mi na kolana i prosi: "Opowiedz bajkę".

"Oto tu przed wami stoi
Podróżniczek Janek mały,
Co się wprawdzie boćka boi,
Lecz jest zresztą bardzo śmiały".

Płynie opowieść Konopnickiej - O Janku wędrowniczku. Mówią usta ku ucieście małej, a myśli towarzyszą moim uczniom w ich ciężkiej doli.

Jak ciężka była ich dola - dowiedziałam się wiele lat później. Rodzina Laskowiczów została osadzona w obozie oświęcimskim. Tylko Dosią wyszła stamtąd żywa.

5 października. Moja wnuczka Iłonka skończyła rok. Jest miła i wesoła, ale szczuplutka. Irka z dzieckiem zamieszkała u nas. Edek - mąż jej - poszedł do partyzantki. Obie moje wnuczki są pozbawione opieki ojcowskiej. Ojciec Krysi był w wojsku w 1939 roku i nic o nim nie wiemy. Poległ w 1939 roku. Teraz ojciec Iłonki w partyzantce. Ciężka jest młodość moich córek...

Ira wzięła łacinę na kilku kompletach. Jest to duża pomoc. Na starszych kompletach łacinę prowadzą Wanda Lewkowicz i Juliusz Kleindienst (mój mąż).

10 grudnia. Czasami dostaję od kolegi Kalecińskiego konspiracyjne gazetki, drukowane na cienkiej bibułce w tajnych drukarniach w Warszawie. Przywożą je do nas łącznicy, narażając swe życie. Z gazetek dowiadujemy się, co dzieje się w kraju i na świecie. Grozą przejmują nas bestialstwa hitlerowców. Na ulicach Warszawy odbywają się egzekucje. Niemcy rozstrzelują ludzi, zalepiwszy im uprzednio usta gipsem. Skazani ubrani byli w papierowe worki. Słyszę, jak te milczące usta krzyczą na cały świat i po wszystkie czasy: "Jeszcze Polska nie zginęła...". Gazetkę czytamy z całą rodziną. Następnie składam ją i kładę na dno pudełka z zapałkami i odnoszę do Leny, Wandy lub do domów, gdzie mam lekcje. Tych ludzi jestem pewna.

12 grudnia. Do późnej nocy siedzieliśmy z Julkiem nad zeszytami. Nagle poderwał nas warkot

samolotów, następnie błysk i potężne detonacje. Nalot! Drżącymi rękoma zgarniam zeszyty, ubieram się i wychodzę na podwórko. Wanda klęka przy łóżeczku Krysi, obejmuje dziecko rękoma i wiem, że nie ruszy się z miejsca. Julek spokojnie podkreśla czerwonym ołówkiem błędy w zeszytach uczniów. Bombardowanie trwało kilkanaście minut. Widać luny pożarów. Od sąsiadów dowiadujemy się, że bomby spadły na ulicę Rajską. Mieszka tam kilkoro moich uczniów.

13 grudnia. Nie oddałam już zeszytu Marysi M. Zginęła wraz z matką i rodzeństwem pod gruzami domu. Pozostał tylko jej ojciec - kolejarz, który miał wtedy nocną służbę. Cezia Mickiewiczówna i jej matka ocalały, chociaż bomba zniszczyła im połowę domu i zabiła sześć osób.

18 grudnia. Zmniejsza się liczba uczniów. Jurek Stogniew musi jechać do babci. Niemcy aresztowali jego rodziców.

1 stycznia 1944 roku. Witamy ten Nowy Rok z nadzieją w sercu. Kruszy się złowroga moc okupanta pod uderzeniami ZSRR.

Na Sylwestra mieliśmy niespodziankę. Późnym wieczorem, już po godzinie policyjnej, przyszedł Edek (mąż Irki), partyzant. Wielkie to ryzyko, tym bardziej że w mieszkaniu są Niemcy, niedawno zajęli nam jeden pokój. Ale Edek - ufny w swa szczęśliwa gwiazdę - uśmiecha się beztrąsko.

19 stycznia. Chłopcy powitali mnie na lekcji uradowanymi twarzami. Jeden przez drugiego starają się poinformować mnie o przebiegu wypadków ubiegłej nocy.

Oto partyzanci zdołali uwolnić z więzienia lidzkiego 70 więźniów politycznych. Przebrali się za białoruskich policjantów i weszli do wartowni, jako zmiana warty. Tam bardzo szybko i sprawnie obezwładnili wartowników, zakneblowali im usta, dostali się do więzienia, oswobodzili 70 więźniów i wyprowadzili ich z miasta.

Wszyscy odczuwamy to jako nasze zwycięstwo i czujemy się podniesieni na duchu.

5 lutego. O zmierzchu przyszła do mnie Tereska Harniewicz. Na jej jasnych włosach skrzyły się płatki śniegu, w kącikach oczu tały się łzy. "Ostatni raz przyniosłam mleko (za lekcje płaciła mlekiem), już nie będę mogła chodzić na lekcje - mówi cicho - mamusia się boi.

Podobno w Żołudku Niemcy rozstrzelali nauczycielkę i całą jej rodzinę. Mamusia radzi, żeby pani w ogóle przerwała naukę."

Pożyczyłam Tereni kilka książek i proszę, aby sama uczyła się dalej. Wiem, że jest zdolna, inteligentna. Stawiam jej za przykład Stanisława Barszczewskiego, który tyle zrobił w drodze samouctwa.

Po kilku miesiącach Terenia wróciła na komplety i przy pomocy koleżanek - Lusi Wiśniewskiej, Janki StępnioŹny i Danusi Olechnowicz - nadrobiła braki. Dziewczynki dokładały wszystkich sił, byle tylko Terenia nie musiała przejść do młodszego kompletu.

27 kwietnia. Z dziewczynkami z młodszego kompletu miałam przerabiać z botaniki temat o budowie nasienia. Poprosiłam, aby przyniosły na lekcje trochę fasoli. Żenia przyniosła całą kolekcję rozmaitych odmian fasoli.

Dziewczynki ze starszego kompletu również zainteresowały się nasionami. Praktyczna Janka StępnioŹna spytała mnie, gdzie mam zamiar je zasiać. Odpowiedziałam, że nie mam ogródka, więc nie wykorzystam tych nasion. Następnego dnia przyszedł do mnie ojciec Janki i zaproponował,

bym w ich ogrodzie wzięła grządkę i zasiała, co mi będzie trzeba. Z radością przyjąłem tę propozycję, będę mogła mieć rzodkiewkę i sałatę dla rodziny.

Grządka na "Roślakach" (dzielnica Lidy) ofiarowana mi przez pana Stępnia przeszła wszelkie oczekiwania. Był to świetnie uprawiony zagon o szerokości 1,20 i długości 300 metrów. W moim dniu, przeładowanym pracą, niewiele mogłam znaleźć czasu na zajęcia w ogródku. Udało mi się ułożyć lekcje na starszym komplecie, gdzie uczyła się Janka, na godzinę 8.00 rano. Wychodziłam z domu o godzinie 6.00 i do 8.00 mogłam pracować. Dużą pomoc udzielała mi Janka, która jako córka rolnika doskonale znała się na pracach w ogrodzie.

14 czerwca. Jaś sprzedał swoją mandolinę, cyrkle i narty. Rozstaje się widać z tym, co najbardziej ukochał - z muzyką, matematyką i sportem.

Kupił buty nieprzemakalne na grubej podeszwie i dobre, mocne sukno koloru khaki. Znajomy kra-
wiec szyje mu "ubranie" (czytaj : mundur). Pewnego wieczoru Jasiak poprosił mnie, bym
podała mu mój wycieczkowy mapnik i kompas. Serce przestało mi bić, jakby ściśnięte
żelaznymi kleszczami. Nogi stały się ciężkie, jak z ołowiu, z trudem przeszłam kilka kroków, by
wyjąć mapnik z biurka. Oparłam się o ścianę. Patrzę na Jasia siedzącego przy stole. Na rękę trzyma
Ilonkę, która jedną rączką wicherzy jego jasną czuprynę, a w drugiej trzyma gotowany kartofel,
ulubiony przysmak. Krysia usiadła Jasiowi na kolana i bada skrupulatnie zawartość kieszeni wujka,
który czasem kupuje im w aptece cukierki ślazowe, jedyne dostępne słodczyce. Cały pokój
rozbrzmiewa śmiechem. Ostry blask karbidowej lampki oświetla ich wesołe twarze.

Patrzę na nich i nie mogę ruszyć z miejsca. Jaś spostrzega, że ze mną dzieje się coś niedobrego. Sa-
dza dziewczynki na otomanie, podchodzi do mnie, kładzie mi ręce na ramionach. Przytulam się do
niego, przez cienką koszulę wyczuwam mocny, równy rytm jego serca i silne mięśnie ramion.
Jasiak całuje mnie i mówi : "Tak trzeba".

W kilka dni później nastąpiło rozstanie. W piękne niedzielne popołudnie wyszliśmy za miasto.
Ojciec i syn szli zwykłym spacerowym krokiem. Ja wlokłam się za nimi w dużej odległości. Przez
ramię miałam przewieszony worek, w którym ukryty był plecak Jaśka. A w sercu ciężar stokroć
większy. Jaś nie może nieść plecaka przez miasto, gdyż zwraca to uwagę. Julek też nie może mi
pomóc, ze względu na słabe serce.

Patrzę na nich jak idą przede mną. W słońcu srebrzy się krótko obcięta na jeża czupryna Julka,
złotawymi odblaskami mienia się płowe włosy Jaśka. Ojciec i syn - tak podobni do siebie i tak
różni.

Jeden na pochylonych barkach dźwiga ciężar 60 lat pracowitego życia, drugi - smukły i zręczny -
lekkim krokiem idzie naprzeciw przeznaczeniu w pełnej krasie swych 18 lat. Na skraju lasu Jaś
odbiera ode mnie plecak. Trzeba się rozstać.

22 czerwca. Nadzieja wstępuje w serce. Niemcy ponoszą klęski w Związku Radzieckim. "Wycofują
się na z góry upatrzone pozycje" - jak podają gazety. Nocą słychać często huk armat. Zapewne
słynne "Katusze". Pewnego czerwcowego dnia zjawili się w naszym mieszkaniu Niemcy i kazali
opuścić je w ciągu czterech godzin. Nie przeraża mnie to już zupełnie. Wiem, że pomogą mi
uczniowie i ich rodzice. Nie udaje mi się znaleźć mieszkania w Lidzie. Rodzice Bogdana Pileckiego
proponują nam przeniesienie się do Sukurecz, mogą nam odstąpić tam jeden pokój. Przesyłają
furmankę po rzeczy, rodzice innych uczniów śpieszą z pomocą. Jedni dają konie, inni pomagają
przy pakowaniu rzeczy.

Na pierwszą furę zabieram chorą Hankę, wnuczki, pościel, ubrania i prowiant. Jadę, by urządzić

mieszkanie na nowym miejscu. Mąż zajął się wysyłaniem pozostałych rzeczy. W Sukurczach oczekuję na wóz, w którym powinny być naczynia kuchenne, by ugotować obiad. Przyjeżdża jeden wóz pełen książek, drugi tak samo. Słyszę, jak woźnica mówi po białorusku do drugiego: "Zdureł prafiesor, knihi ciahaje, a dobryje wieszczy ostawlaje". ("Zgłupiał profesor, książki ciągnie, a dobre rzeczy zostawia"). Ostatnim wozem przyjeżdża mąż, przywozi trochę mebli, resztę rzeczy złożyli w stodółce. Mamy po nie pojechać nazajutrz.

W nocy budzą nas silne światła, jest jasno jak w dzień. Na niebie zawieszono są jakieś bardzo mocne światła, jak żyrandole. Słyszymy ogłuszający huk wybuchów. To radzieccy lotnicy bombardują Lidę.

Na drugi dzień raniutko wybrałam się z Bogdanem do Lidy. W mieście był wielki ruch. Przemarsze wojsk niemieckich. W wielu miejscach pożary. Ledwie wjechaliśmy do miasta, Niemcy zabrali nam wóz i konia. Poszłam więc z plecakiem, by zabrać niektóre drobiazgi. Dom, w którym mieszkaliśmy, był zdruzgotany przez bombę, a stodółka z naszymi rzeczami spalona.

Stoję na pogorzeliisku, widzę miejsce, gdzie stał kredens, leżą tam wszystkie metalowe części: zawiasy, zamki, a w popiele mienia się barwami tęczy sopte stopniałego kryształu. Stoję i myślę: jak dziwnie składa się w życiu. Przez całe trzy lata, prowadząc tajne nauczanie, myślałam, że narażam swoich i siebie. Teraz widzę, że praca na kompletach dała mi nie tylko poczucie walki z wrogą przemocą i poczucie spełnionego obowiązku, ale zjednała mi niezawodnych przyjaciół, którym zawdzięczam życie moich najbliższych. Lekki wiatr podnosi mgiełkę popiołu u mych stóp, nade mną mocno świeci czerwcowe słońce. W sercu narasta pewność: zwycięstwo będzie nasze!

(„Ziemia lidzka”: Lipiec 1999 nr 3(38), Grudzień 1999 r nr 5(40))

Aleksander Kolyszko

Tradycja i tożsamość

Nasi przodkowie zostawili nam bogate tradycje narodowe. Czy potrafiliśmy je zachować i wzbogacić? Jeszcze z czasów sowieckich pamiętam jak podczas dużych uroczystości rodzinnych jak chrzciny, wesela muzykom zamawiano do zagrania hymn Polski i cała sala kilkakrotnie w ciągu kilku godzin podnosiła się i śpiewała mazurek Dąbrowskiego. Przy czym było dobrym zwyczajem, że rodzice, rodzice krześni prosili o zagranie tej pieśni dla młodej pary jak by podkreślając i przekazując w ten sposób swoją polskość. A ich dzieci co przekażą? Tradycja ta zanikła, muzykanci już nie potrafią zagrać, najwyżej jakąś parodię. Także jak nie potrafią już zagrać "Serdecznej Matki".

Czasem w prywatnej rozmowie słyszę: "Mój dziadek lub babcia byli Polakami." A rodzice? I tu zapada milczenie. A ty kim jesteś? Zaczęliśmy się wstydzić nawet tradycyjnie polskich imion. Bardzo rzadko można już spotkać Jana, Agatę, Janinę lub Marcina. Staramy się nadać swemu dziecku takie imię aby nie wyróżniało się w szarym tłumie, aby łatwo było przystosować je do otaczającego środowiska.

Przekaz wiary i wartości, tradycja i tożsamość, mają swe źródła w domu rodzinnym. Musimy pamiętać, że to jest depozyt, który otrzymaliśmy od taty i mamy. Teraz musimy go przekazać dalej. Taka jest logika pokoleń, Kościoła, Narodu. A my? Nie chcemy, a często po prostu obawiamy się rozmów ze swoimi dziećmi o spuściznie naszych rodziców, o polskości. Czy tędy droga do wychowania dobrego człowieka, czego niewątpliwie chce każdy rodzic.

Już wkrótce minie dwadzieścia lat jak w stoi w Lidzie piękny pomnik naszego wieszca narodowego Adama Mickiewicza. Corocznie przychodzą do pomnika lidzianie aby połamać się opłatkiem w wigilię Bożego Narodzenia i w dniu urodzin Adama. Jednak nie jest ich dużo. Czas od czasu widzi się jak nowożeńcy składają kwiaty Poecie. Lecz zdarza się to za rzadko jak na sto tysięczne miasto, w którym Polacy stanowią ponad 40 % mieszkańców. To jest nie tylko demonstracja naszej polskości, lecz także miły akcent uroczystości weselnej.

Jest to tradycja którą warto popierać i propagować.

(„Ziemia lidzka” Sierpień 2006 nr 4(74))

Monika Krzywda Historia Zygmunta Szendzielarza

Na początku 1939 r. odbył się wystawny ślub w kościele św. Ignacego w Wilnie. Do świątyni ściągnęły tłumy ciekawskich, a szable krzyżowały się nad głowami nowożeńców. Tego samego roku przyszedł na świat owoc ich miłości- córka Basia. Wkrótce Anna została aresztowana przez Niemców i wywieziona na roboty do III Rzeszy. Zginęła w czasie nalotów na Wagenschwend. Zygmunt włączył się w uczestnictwo kampanii wrzesniowej, kierując 2 szwadronem 4 Pułku Ułanów Zaniemieńskich co stanowiło prelude do jego bohaterskiej działalności.

Od opisu życia rodzinnego oraz nowalijek dotyczących początków działalności Łupaszkę w kawalerii rozpoczyna się książka Patryka Kozłowskiego. Historyk ukazuje zmagania Żołnierza Wyklętego początkowo z litewską służbą bezpieczeństwa – Sagumą, a po zmianie okupanta z najeźdźcą sowieckim. Major Szendzielarz działający na Wileńszczyźnie od początku ataku na Rzeczpospolitą spotka się z próbami nakłaniania polskich jednostek na współpracę z sowiecką partyzantką. Jest świadkiem mordy dokonanej na oddziale „Kmicica” przez radziecką brygadę Markowa. W czasie rzekomego przeprowadzania porozumień dotyczących wspólnej akcji ginie 50 żołnierzy. Doświadczenia te kształtują w Łupaszcze przekonanie o braku możliwości zawierania kompromisów z komunistami. Formują także niezłomność, którą będzie wykazywał się długo po podpisaniu przez zwycięzców II Wojny Światowej traktatów pokojowych.

W 1943 r. Łupaszkę kształtuje na terenie Wileńszczyzny swój oddział, który przyjmując nazwę 5 Brygady Śmierci. W tych okolicznościach dowódca poznaje swoją przyszłą partnerkę życiową- sanitariuszkę Lidię Lwów pseudonim „Lala”. Większość partyzantów wyposaża swe mundury w ryngrafy z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej identyfikując się z terenem na którym służą. W tym samym czasie dochodzi do nieprzerwanych rabunków na miejscowej ludności. Sprawcami grabieży okazują się Sowietci. Szendzielarz postanawia uciąć bezkarność wschodniego okupanta. Rozbijanie band ułatwia fakt, iż większość z nich jest niezorganizowana i zamoczona alkoholem.

Od 1944 r. Brygada Śmierci zaczyna toczyć walki z Niemcami będącymi w defensywie i milicją litewską. Łupaszkę przebywający w Worzianach wraz z załogą zostaje zaskoczony atakiem niemieckiego przeciwnika. Po trzy godzinnej walce nieprzyjaciel zostaje pokonany. Jak podaje Kozłowski okupanta zaskoczyło to, że Brygada nie ograbiła z pieniędzy niemieckiego i ukraińskiego truchła. Łupaszkę przeprowadza także operacje mające na celu rozbicie i likwidację posterunków litewskiej milicji. Warto zauważyć, że po ataku na patrol w Podbrzeziu Litwini postanowili powetować swoich ludzi i zbombardowali zabudowę cywilną w Glinciskach. Zabito 38 osób pochodzenia polskiego (min. Władysawa Komara ojca jednego z najlepszych polskich miotaczy kulą w historii) także kobiety i dzieci. Brygada Łupaszkę przeprowadza za te bestialstwo akcję odwetową, na broniący się wraz z policją dwór w Dubinkach.

6 lipca 1944 w ramach Akcji Burza rozpoczyna się operacja „Ostra Brama”. Tymczasem Brygada Śmierci postanawia wycofać się na Zachód z powodu niechęci do współpracy z Armią Czerwoną. Jak mówił sam major : „ Nie będziemy wojować razem pod Wilnem [...] tutaj czeka nas grób i mogiła” . Mimo, iż do natarcia na Wilno przewidziano udział 12 tys. żołnierzy w szturmie bezpośrednim uczestniczyło jedynie 5 tys. Niestety projekcje Szendzielarza okazują się trafne i większość przywódców Wileńskiego i Nowogródzkiego Okręgu AK zostaje aresztowana przez krasnoarmiejców. Także 5 Brygada zachęcona wcieleniem do Wojska Polskiego Berlinga daje się rozbroić. Łupaszkę poświęca kawalerię, która po przybyciu do Jelnik gdzie oczekiwali na nią Sowietci zostaje aresztowana i zesłana do Kaługi. Brygada Śmierci po owym zajściu przestaje fizycznie istnieć.

Po likwidacji 5 Wileńskiej Brygady AK Szendzielarz zostaje zmuszony do ukrywania się wraz z rozbitym oddziałem. Na swoją siedzibę obiera bunkier w Puszczy, który zostaje wyposażony w pomieszczenie na wzór kuchni, a nawet banię parową. Po pewnym czasie w związku z

działalnością konfidentów NKWD miejsce ukrycia zostało znalezione przez sowieckie służby bezpieczeństwa. Próba zniszczenia partyzantów „Łupaszk” po raz kolejny się nie powiodła. Major został uprzednio powiadomiony o sowieckim oblężeniu. Zwiadowcą był wachmistrz „Oran”, który jako jedyny zginął w czasie ataku chroniąc podkomendnych Szendzielarza. Po ataku na bunkier Łupaszk ukrywa się wraz z życiową partnerką w wielu wsiach Podlasia. Wyjątkowym umiłowaniem obdarza Kierutyki, które stanowiły bezpieczną ostoję dla Akowców. Reszta partyzantów Szendzielarza zostaje rozlokowana w różnych gospodarstwach w pobliżu. Po raz kolejny we znaki daje się działalność kapusiów i oddział został zmuszony do ucieczki. Łupaszk wraz z „Lalą” i kilkoma kompanami znajduje schronienie u gospodarza Makucha i ukrywa się w dole po ziemniakach. Niemożliwe staje się jednak przetrwanie zimy w dołach i ziemniakach więc Łupaszk melinuje się w Kiersnowie u działacza Armii Krajowej.

19 stycznia 1945 r. Komendant Główny AK gen. Leopold Okulicki wydaje rozkaz rozwiązujący Armię Krajową. Pułkownik „Mścisław”, który kierował Okręgiem Białostockim AK postanawia kontynuować działalność w ramach konspiracyjnej Armii Krajowej Obywateli. Wielu z partyzantów okazuje się „spalonych” więc ich powrót do życia codziennego może się zakończyć ujęciem. Ciągłe ukrywanie się i przeprowadzki w celu uniknięcia dekonspiracji pogarszały dodatkowo położenie. Tymczasem Łupaszk odbudowuje 5 Wileńską Brygadę AK. Wileńszczyzna i Białostoczczyzna jest nasączona Armią Czerwoną, jednostkami Wojska Polskiego, KBW, NKWD, UBP, MO oraz litewskimi i niemieckimi niedobitkami. Major nie ulega defetyzmowi mimo fatalnego obrotu spraw po wojnie. Nadal liczy na konflikt pomiędzy Anglosasami a ZSRR. Po 1945 r. 5 Wileńska Brygada skupia się na likwidacji szpicli NKWD wg sporządzanych list. Po każdej egzekucji zostawia listy wyjaśniające pobudki, którymi kierują się partyzanci. W tym samym roku dochodzi do kolejnej demobilizacji Brygady Śmierci, tym razem na rozkaz AKO Białystok. Łupaszk podporządkowuje się wytycznym z centrali i sam przenosi się wraz z bliskimi do Gdańska.

Od czasu ucieczki z Kresów Szendzielarz postanawia zająć się kolportażą ulotek o treści antykomunistycznej. Broszury mają stanowić element akcji edukacyjnej polskiego społeczeństwa. Partyzanci przedstawiają w nich swoje motywy pozostawania w podziemiu. Pierwsza seria zostaje dostarczona do większych miast Polski. W ulotkach można przeczytać: „My którzy ponieśliśmy tyle ofiar, nie możemy pozwolić na to, by w naszym Państwie panoszyli się Azjaci i narzucali nam swe prawa, przez pacholków w osobach Bieruta”. Pod koniec 1946 r. Łupaszk po raz wtóry udaje się reaktywować 5 Wileńską Brygadę i rozpocząć działalność w Borach Tucholskich. Podobnie jak na Białostoczczyźnie zadaniem szwadronu był atak na urzędy państwowe, posterunki MO; wykonywanie egzekucji na funkcjonariuszach NKWD, niebezpiecznych kapusiach z PPR i urzędnikach z UBP. Mimo brawurowych akcji przeprowadzanych nieustannie przez oddział Łupaszk do szwadronów zaczynają przenikać konfidenti UBP. W grudniu otrzymuje od ministra bezpieczeństwa publicznego list. Jest w nim nakłaniany do rozwiązania oddziałów. Naturalnie, nie zamierza iść na żaden kompromis i odpisuje tymi słowami: „Panie ministrze, możemy się spotykać pod jednym warunkiem- kiedy pan będzie wisiał na sośnie, to ja pod nią przyjdę”.

Ze względu na brak zasadności do dalszej działalności partyzanckiej Łupaszk udaje się do miejscowości Królowa pod Głubczycami. Przeprowadzka wraz z Lalą i Mieciem odbywa się na przełomie maja i kwietnia 1947 r. Major Szendzielarz po osadzeniu się na południu Polski zajmuje się prowadzeniem gospodarstwa rolnego. Kupuje kozy, parę prosiaków oraz drób. Bardzo szybko zostaje zmuszony do ucieczki z Królowej. Jego gospodarstwo staje się obiektem zainteresowania organów bezpieczeństwa. Zygmunt ucieka kolejno do Zakopanego, Chabówki i Osielca. Zamierza kupić kuter rybacki i przedostać się do Szwecji, niestety 30 czerwca 1948 r. do gospodarstwa w Osielcu wkraczają funkcjonariusze UBP. Aresztują zarówno Łupaszkę jak i Lalę, najprawdopodobniej nie są świadomi ich prawdziwej tożsamości.

Zygmunt Szendzielarz okazuje się jednym z wielu członków Wileńskiego Okręgu AK zatrzymanych w czerwcu i lipcu 1948 r. w ramach „Akcji X”. Major został umieszczony w więzieniu Mokotowskim i najprawdopodobniej nie był torturowany. Proces pokazowy członków Wileńskiego Okręgu AK miał na celu dyskredytację partyzantów zarzucając im współpracę z

Gestapo, a po wojnie na rzecz „imperialistów anglosaskich”. Dla uwiarygodnienia swoich tez zmuszono szefa Abwehrstelle J. Christiansena do pomówień w sprawie rzekomej chęci organizacji dywizji AK podległej Niemcom. Łupaszkę skazano na osiemnastokrotną karę śmierci. Z sali sądowej został ponownie przewieziony na Rakowiecką. Na egzekucję miał oczekiwać w karcerze. Często przychodził z wizytą do więziennej kaplicy i modlił się przed apelem wieczornym. Przed śmiercią chciał jeszcze wziąć ślub z wierną towarzyszką jego życia- Lidią Lwow, niestety spotkał się z odmową ze strony naczelnika więzienia. 8 lutego 1951 r. został zabity strzałem w tył głowy. Ciało wywieziono na Powązki i tam pogrzebano, nie znane jest jednak dokładne miejsce pochówku.

(Opracowano na podstawie: Kozłowski P., *Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko” 1910-1951*, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2011)

Monika Krzywda

Ukraińcy na Dolnym Śląsku po II Wojnie Światowej

Nim nastąpiła kapitulacja Niemiec po przegranej drugiej wojnie światowej, instalujący się rząd bolszewickich trybików w Lublinie postanowił zawrzeć umowę z Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką. Przymierze zawiązane w 1944r. pomiędzy PKWNem, a bratnim rządem ukraińskim dotyczyło uregulowania kwestii związanej z „wymianą ludności” pomiędzy krajami satelickimi Sowietów. Na mocy tej dwustronnej umowy ludność polska przebywająca na terenie USRR mogła powrócić do ojczyzny, a Ukraińcy przebywający w RP wyjechać do USRR. Wysiedlenia od 1944 do 1946r. stanowiły zaczątek do odbywającej się od 1947r. Akcji Wisła (w pierwotnej nazwie Akcja Wschód lub Akcja „W”), której celem było rozbięcie działającej lecz zdziesiątkowanej Ukraińskiej Armii Powstańczej oraz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i rozproszeniem ich na Ziemiach Odzyskanych.

Członkowie UPA i OUN oraz ich poplecznicy na Dolnym Śląsku

Część członków UPA i OUN jeszcze przed rozpoczęciem się Akcji Wisła-mianowicie w 1945r.- uciekła na tereny dzisiejszego Dolnego Śląska. Jednym z najintensywniej poszukiwanych przez wrocławski aparat bezpieczeństwa był dowódca UPA w Polsce – Mirosław Onyszkiewicz (pseudonim Orest). Sprawę potraktowano priorytetowo z powodu kierowania przez Onyszkiewicza licznymi napadami nie tylko na ludność cywilną ale także na placówki Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej. Według dostępnych informacji od 1947r. Onyszkiewicz ukrywał się w powiecie lubiński. Został schwytany nieopodal Legnicy w miejscowości Karczowiska w 1948r. i aresztowany. W 1950r. Oresta skazano na śmierć i w tym samym roku przeprowadzono egzekucję.

Inną sprawą spędzającą sen z powiek wrocławskiemu UBP była działalność grupy „Wołodki”. Szajka zajmowała się przerzucaniem byłych członków Ukraińskiej Armii Powstańczej na Zachód. W wyniku porachunków pomiędzy Wołodką a innym Ukraińcem zajmującym się przerzutem- Janem Kretem, ten pierwszy został zamordowany. Kret najprawdopodobniej podejrzewał Wołodkę o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa i chcąc uniknąć dekonspiracji zlikwidował swojego kompana. 18 lutego 1950r. sam został aresztowany ukrywając się w Szczepanowie (powiat średzki). Mimo, iż otrzymał wyrok skazujący go na karę śmierci, w 1951r. prezydent Bierut udzielił mu prawa łaski i złagodził wyrok na dożywotnią odsiadkę. W 1971r. wyrokiem sądu egzekucja pozostającej części kary została bezterminowo zawieszona. W latach '70 Jan Kret został zatrudniony jako porządkowy na dworcu Polskich Kolei Samochodowych w Lubiniu.

Odrębnie wobec rozpracowań ukrywających się na terenie województwa wrocławskiego były prowadzone operacje dotyczące byłych więźniów. W 1956r. przeprowadzono czwartą powojenną amnestię dzięki której osoby skazane na 5-letnie wyroki więzienia mogły opuścić zakłady karne. Skazanym na śmierć i dożywocie pomniejszono kary na 15 lat odsiadki. Około 600 byłych aresztantów zamieszanych w działalność lub pomoc strukturom OUN i UPA osiedliło się po amnestii w 1956r. na terenie Dolnego Śląska.

Cerkiew Greckokatolicka

Od lat '50 rozpoczęła się oficjalna likwidacja Cerkwi Greckokatolickiej w Polsce, która stanowiła ostoję kulturową dla narodowości ukraińskiej, aż ¾ ukraińskich przesiedleńców było tego wyznania. W tym samym czasie w ramach wykorzeniania „piątej kolumny” (tzn. mniejszości narodowych) władze postanowiły przeprowadzić akcję misyjną polegającą na zaszczerpieniu obrządku prawosławnego wśród narodowości ukraińskiej zamieszkującej teren Dolnego Śląska. Komuniści bardzo silnie sprzęgali działalność ukraińskich nacjonalistów z podburzającym oddziaływaniem duchowieństwa greckokatolickiego. Niewątpliwym atutem Cerkwi Prawosławnej skłaniającym do praktykowania były liturgie odprawiane w języku staro-cerkiewno-słowiańskim podobnie jak w Cerkwi Greckokatolickiej. W 1956r. dwóch księży Bazyli Hrynko oraz Mirosław Ripecki podjęło starania u prymasa Stefana Wyszyńskiego dotyczące utworzenia parafii, na które zapotrzebowanie składali ukraińscy repatrianci. Prośby zostały sfinalizowane połowicznym sukcesem, w pięciu miastach (Wrocławiu, Legnicy, Wołowie, Modle i Żmigrodzie) przy parafiach rzymskokatolickich udało się zorganizować placówki greckokatolickie. Ciekawostką jest fakt, że w Modle nim powstała placówka greckokatolicka proboszcz ówczesnej rzymskokatolickiej parafii Kukielczyński w czasie świąt obchodzonych przez ukraińskich repatriantów, odprawiał msze w obrządku greckokatolickim i pozwalał na śpiewanie pieśni w tradycyjnym języku. Część kleru rzymskokatolickiego (szczególnie przybyła z dawnych kresów) była w przeciwieństwie do Kukielczyńskiego negatywnie nastawiona do Cerkwi co utrudniało organizację struktur.

W latach '70 założono sprawę obiektową o kryptonimie „Ortodox” mającą na celu min. rozpracowanie współpracy popularnego parocha greckokatolickiego Jana Martyniaka z IV LO w Legnicy. Martyniak miał przygotowywać w liceum kandydatów do stanu kapłańskiego. Był także podejrzewany o współpracę z ukraińskimi ośrodkami na Zachodzie i wielokrotnie inwigilowany przez aparat bezpieczeństwa. Formułowane oceny dotyczące sytuacji kościoła greckokatolickiego w woj. wrocławskim wskazywały na to, że gro duchownych utrzymywało kontakty z różnym osobami zamieszkującymi kraje kapitalistyczne w celu uzyskania pomocy materialnej. Cerkwi zarzucano także podtrzymywanie tradycji ukraińskiej, rozpowszechnianie historii Ukrainy i próby organizacji wycieczek na Podkarpacie co godziło w plan polonizacji przesiedlonych Ukraińców.

Liceum Ogólnokształcące w Legnicy

Od 1952r. władzę PRL przyzwoliły na nauczanie języka ukraińskiego, mimo wielu obwarowań formalnych. W wielu miejscach brakowało wykształconej kadry, nierzadko więc zdarzało się, że lekcje prowadzili Polacy. Znany jest także jeden przypadek edukacji języka przez Rosjankę. Wyluczając opisane poniżej Liceum Ogólnokształcące w Legnicy, lekcje były prowadzone wyłącznie w szkołach podstawowych, bardzo często bez zachowania ciągłości czasowej.

W 1957r. powstała legnicka placówka jako jedyna szkoła średnia z ukraińskim językiem nauczania na terenie Dolnego Śląska. Od zarania budziła ogólnopolskie zainteresowanie. Zaraz po utworzeniu zgłosiło się do niej wiele uczniów z różnych zakątków Polski. Pierwszą nauczycielką języka ukraińskiego była Maria Pawęcka, była także pierwszym dydaktykiem rozpracowywanym przez aparat bezpieczeństwa. Pawęcka powołała do życia chór szkolny „Połonyna”, który brał udział w wielu prestiżowych konkursach takich jak „Legnica Cantat”, „Sacrosong” czy „Dni Muzyki Cerkiewnej”. Zastrzeżenia budził fakt organizowania przez nauczycielkę pomocy

materialnej ze Stanów Zjednoczonych dla LO. Do 1962r. placówka była połączona ze szkołą żydowską. Po usamodzielnieniu się ukraińskiego liceum, stanowisko dyrektora szkoły objęła Irena Snihur należąca wówczas do PZPR. Panią dyrektor także zainteresowały się służby, sprawie przybrano kryptonim „Oksana”. Irena Snihur miała prowadzić politykę kadrową faworyzującą nauczycieli o przekonaniach nacjonalistycznych co doprowadziło wkrótce do jej usunięcia z partii oraz ze stanowiska w IV Liceum Ogólnokształcącym. Najistotniejszym jednak punktem zapalnym miał się okazać nauczyciel języka ukraińskiego Jan Śpiwak, którego podejrzewano o organizowanie w Sanoku nielegalnej organizacji skupiającej ukraińską młodzież. Informacji w sprawie Śpiwaka dostarczał w głównej mierze duchowny prawosławny o pseudonimie „Ścisły”. Są także pewne przypuszczenia dotyczące kontaktów pomiędzy nauczycielami IV LO, a działaczem opozycji antykomunistycznej- Leszkiem Moczulskim. Mimo, iż szkoła nie przyczyniła się do wskrzeszenia inteligencji ukraińskiej, dwóch z jej absolwentów zasiadało w ławach poselskich w III RP: Włodzimierz Mokry z ramienia Komitetu Obywatelskiego oraz Mirosław Czech z ramienia Unii Demokratycznej, a następnie Unii Wolności.

Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne

Zjazd organizacyjny UTSK (jedyne legalnie działającego stowarzyszenia Ukraińców na Dolnym Śląsku aż do transformacji ustrojowej) odbył się w dniach 16-18 czerwca 1956r. we Wrocławiu. Należy zaznaczyć, iż organizacja została zainicjowana ogólnie przez władze, w celu sprawnej inwigilacji środowiska reprezentującego narodowość ukraińską. Działała pod patronatem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i wielokrotnie umieszczano w niej agentów komunistycznej bezpieki. Od początku Towarzystwo skupiało się na walce o umożliwienie wyjazdów Ukraińcom do swojej ojcowizny oraz utworzenie parafii greckokatolickich. Rozpoczęto także rozbudowywanie sieci powiatowych struktur UTSK na terenie Dolnego Śląska. W 1956r. na zebraniu powiatowego oddziału w Legnicy wysunięto postulaty dotyczące utworzenia szkoły średniej z ukraińskim językiem nauczania. Zaledwie rok później, zgodnie z oczekiwaniami, powstało wspomniane wcześniej Liceum Ogólnokształcące nr 4 w Legnicy. Towarzystwo najprężniej działało w stolicy Dolnego Śląska, tam też organizowano wieczorki literackie w rocznice śmierci Tarasa Szewczenki, wystawiano jego sztuki (już w 1956r. wystawiono „Nazar Stodola”) oraz innych literatów takich jak: Iwana Franko (poety i myśliciela politycznego, uważanego za jednego z najwybitniejszych ukraińskich pisarzy obok Szewczenki). We Wrocławiu pod kuratelą UTSK działały także grupy muzyczne takie jak np. „Trembity”, „Intermezzo” czy najdłużej istniejący z nich „Romen” (do połowy lat ’90). Zajmowano się także konsolidacją Ukraińców urządzając tzw. „Małanki”, które miały odwzorowywać zwyczaje ukraińskiego sylwestra. W latach ’70 zarząd UTSK kierował petycje dotyczące możliwości nadawania codziennych audycji w języku ukraińskim w Polskim Radio. Mimo, iż UTSK prowadziło swą działalność przez kilka dekad nigdy nie zajęło się działalnością aktywnością wydawniczą. Przełom w tworzeniu się nowych organizacji zrzeszających Ukraińców przyniósł dopiero rok 1989-1991 kiedy to na terenie Dolnego Śląska powstały: Zjednoczenie Łemków, Ukraińskie Towarzystwo Lekarskie, Związek Ukraińskiej Młodzieży Niezależnej, Płast (organizacja skautowska), Studenckie Koło Ukrainoznawcze Uniwersytetu Wrocławskiego .

(Opracowano na podstawie: Syrynyk Jarosław, *Ludność ukraińska na Dolnym Śląsku: 1945-1989*, Instytut Pamięci Narodowej- Komisja ds. Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, Wrocław 2007)

Czesława Lebedziewicz Język polski przy świecach

Pani Irena Samotyja od roku pracuje jako nauczycielka języka polskiego w szkole Nr 16 w Lidzie. Naukę tego przedmiotu prowadzi w klasach I-IV. Jest nauczycielką właśnie w tej szkole, w której podatny grunt znalazł się dla rozwoju polskiej oświaty, w której uczniowie pierwszej polskiej klasy poznają tajemnice wiedzy w języku swoich przodków. Pani Irena w latach 1991-1993 studiowała nauczanie początkowe w Studium Nauczycielskim w Zamościu, a w ubiegłym roku prowadziła zajęcia języka polskiego w lidzkich przedszkolach. Obecnie pracuje w szkole i zaocznie kontynuuje studia w filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku.

Miałam okazję obserwować lekcje pani Ireny i mogę stwierdzić, że jako nauczycielka ma stały kontakt z dziećmi, interesuje się ich warunkami domowymi, stosunkami z rodzicami, czyli środowiskiem, z którego pochodzą. Nie jest obojętna w stosunku do dzieci tzw. „trudnych”. Zresztą dzieci same wynagradzają jej pracę - są aktywne na lekcjach, chętnie w nich uczestniczą, odpowiadają na pytania.

Tłumaczenie polskich tekstów odbywa się na język białoruski (p. Irena bardzo dobrze zna ten język). Lekcje języka polskiego zostały specjalnie ułożone tak w rozkładzie zajęć, by znalazły się obok zajęć z literatury polskiej, co automatycznie pozwala pogłębić zarówno proces nauczania, jak i kontakty z klasą, utrwalić nowopoznane wiadomości teoretyczne na piśmie.

W trakcie pracy zadałam pani Irenie kilka pytań.

Cz. L.: Czy dzieci chętnie uczą się języka polskiego?

I. S.: To zależy od usposobienia ucznia, a także od rodziny, z której pochodzi. Jeżeli w rodzinie rozmawiają, a przynajmniej znają język polski od dziadków, to dziecko chętnie łączy się z polskością i wtedy stara się. Są jednak też dzieci i z takich rodzin, gdzie język polski uważany jest za drugorzędny i co najgorsze, zupełnie zbędny dla przyszłości dziecka, wtedy też widać i odpowiedni stosunek ucznia do przedmiotu. Na szczęście tych pierwszych dzieci jest o wiele więcej.

Cz. L.: Czy istnieją jakieś trudności w realizacji tematyki religijnej?

I. S.: W okresach przedświątecznych szeroko omawiane są święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Dzieci dużo już wiedzą o Bogu, bo większość z nich uczęszcza na katechezę do kościołów, a w pierwszej polskiej klasie lekcje religii są wprowadzone do rozkładu zajęć, więc żadnych przeszkód w nauczaniu o Bogu nie ma.

Cz. L.: Jak jest podejście dyrekcji szkoły, grona pedagogicznego do Ciebie, jako nauczycielki języka polskiego?

I. S.: Bardzo dobre. Dyrektor interesuje się moją pracą, a nauczyciele klas, w których uczę, chętnie udzielają mi rad i współpracują ze mną.

Cz. L.: Nie jesteś jedyną nauczycielką języka polskiego w szkole Nr 16. Ilu jeszcze nauczycieli tego przedmiotu pracuje w tej szkole oprócz Ciebie?

I. S.: Oprócz nauczycielki z Polski, która zajmuje się pierwszą polską klasą, pracuje nas jeszcze trzy osoby: ja, p. Swietłana Fijaś, która prowadzi świetlicę w polskiej klasie i p. Halina Bienkiewicz, która oprócz swojego przedmiotu naucza polskiego w kółku języka polskiego dla czterech klas.

Cz. L.: Jaki realizujesz program nauczania?

I. S.: Jest to program języka polskiego i literatury, zatwierdzony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej Białorusi w Mińsku. Mamy podręczniki, wydane w Mińsku i materiały pomocnicze dla nauczycieli.

Cz. L.: Czy otrzymujecie jakąś pomoc z Polski. Może udało się Wam nawiązać kontakt z polskimi dziećmi z Kraju?

I. S.: Przed świętami otrzymaliśmy z Polski prezenty dla dzieci na Gwiazdkę. Niedawno też do naszej szkoły przyjeżdżała dziecięca grupa artystyczna z Białostoczczyzny. Wystawiała dla naszych

dzieci spektakl.

Cz. L.: Jak często odbywają się narady nauczycieli języka polskiego. Czy zawsze jesteś informowana o takim zebraniu?

I. S.: Z pewnością jakieś tego typu narady odbywają się, lecz o terminie żadnej z nich nie miałam informacji. Nawet nic nie wiedziałam o imprezie, która odbywała się w naszej szkole, gdyż zorganizowano ślubowanie pierwszej polskiej klasy. Także dopiero w przeddzień dowiedziałam się o terminie Choinki dla dzieci, organizowanej przez Związek Polaków na Białorusi. Dlatego też większość dzieci nie trafiła na święto i nie miała możliwości przedstawienia swojego programu - Szopki, do której przygotowywali się przez cały miesiąc.

Cz. L.: Chciałabym, żebyś teraz podała kilka konkretnych liczb. Ile w sumie dzieci przychodzi do Ciebie na zajęcia?

I. S.: W sześciu klasach jest to łącznie 142 osoby.

Cz. L.: Ile masz godzin tygodniowo?

I. S.: Pełny etat nauczycielski - 21 godzin.

Cz. L.: A jak wyglądają Twoje zarobki? Ile dostałaś pensji jako nauczycielka polskiego w ostatnim miesiącu?

I. S.: Ostatnio otrzymałam 160 tysięcy rubli białoruskich. Dla porównania podam, że obecny kurs dolara na Białorusi wynosi 11.600 rubli za jednego amerykańskiego dolara.

Cz. L.: Czy istnieją jakieś problemy w godzeniu ze sobą studiów w Białymstoku i pracą w szkole?

I. S.: Prawie co tydzień muszę jeździć do Białegostoku, ponieważ zajęcia odbywają się w soboty i niedziele. Tylko jedną niedzielę w miesiącu mamy wolną. W piątek nie mam lekcji w szkole, ponieważ muszę wyjeżdżać. Wracam w niedzielę wieczorem lub w poniedziałek rano i przez cały dzień prowadzę jeszcze wtedy zajęcia z dziećmi. Na początku myślałam, że nie wytrzymam. Początkowo w Białymstoku nie miałam także możliwości noclegu, nie wydzielono nam żadnych akademików. Noclegu szukaliśmy gdzie kto mógł, u znajomych, u koleżanek studiujących na studiach stacjonarnych. Teraz sytuacja nieco się poprawiła. Wydzielono dla nas szkolną bursę, gdzie możemy zatrzymać się i przenocować. Jednak za noclegi trzeba płacić - 50 tysięcy starych złotych za noc. Pieniądzy ciągle brakuje. Mieszkam z mamą. Na razie mama wyręcza mnie bardzo często, chociaż jej też nie jest łatwo.

Cz. L.: Czy nie prościej byłoby kontynuować dzienne studia?

I. S.: Oczywiście i było to moim marzeniem, ale pierwszą sprawę, którą musiałabym załatwić, to stypendium z MEN w Warszawie, a to jest niemożliwe. Koleżanki, które kontynuują studia dzienne w Białymstoku już drugi rok, jeszcze nie otrzymały pełnego stypendium rządowego, a na I roku w ogóle nie otrzymywały żadnego stypendium. Miały tyle dobrze, że mogły się zatrzymać u swoich krewnych i bliskich, którzy mieszkają w Białymstoku i którzy chcieli je utrzymywać. Zwraçałam się z prośbą o wsparcie i pomoc w załatwieniu studiów dziennych do naszego prezesa ZPB, Tadeusza Gawina, ale oprócz bezpodstawnych obelg pod moim adresem, a także pod adresem gości z Polski, którzy przywieźli podarki dla naszych dzieci, nic innego od niego nie usłyszałam. Więcej tego błędu nie popełnię i nie chcę nawet wspominać o spotkaniu z tym człowiekiem.

Cz. L.: Dziękuję za rozmowę i na koniec chciałabym zadać ostatnie pytanie. Zauważyłam, że dzieci przyniosły ze sobą do szkoły świece. Czyżby miały do przygotowania jakieś ciekawe zadanie z zakresu pracotechniki?

I. S.: Nie, jest to zupełnie inna sprawa. Po prostu, w związku z obecnym kryzysem ekonomicznym, od godziny piętnastej do siedemnastej wyłączany jest w części Lidy prąd w celach oszczędnościowych. Dzieci uczą się na drugiej zmianie, a zimą już po szesnastej zaczyna się ściemniać. Dlatego też dzieci mają przykazane przynosić ze sobą do szkoły świece. Nauka odbywa się więc, jak kiedyś, przy świecach.

Wincenty Lutosławski

Zakon kowali

Hierarchia kościelna działa jednolicie na całą ludzkość, jest najpotężniejszym organem życia międzynarodowego, a choć osądza wszystkie wysiłki religijne członków Kościoła i prostuje ich błędy, to głównie pracuje dla najszerzych mas, uwzględniając ich najpilniejsze potrzeby. Ludzie łaknąc przyśpieszenia rozwoju chrześcijaństwa, zawsze tworzyli zakony, osobne rodziny duchowe wewnątrz Kościoła powszechnego, i to życie zakonne było zawsze bardzo istotnym objawem twórczości narodowej. Dominikanie, jezuita i pijarzy dotąd mają piętno narodowe swych założycieli i stanowią wyraz gorącego ducha hiszpańskiego, choć pozyskali członków spośród wszystkich narodów świata. Benedyktyni, franciszkanie, salezjanie są wykwittem włoskiego ducha i mają pewne między sobą pokrewieństwo, które ich przeciwstawia hiszpańskim zakonom, choć niepodobna ująć tego w jakieś określenie. Misjonarze i siostry miłosierdzia wybitnie przedstawiają typ francuskiego ducha swojego założyciela. Wszystkie te zakony powstały jeszcze przed rozbudzeniem się narodowej świadomości, stanowiącej naczelną hasło życia nowoczesnego a jednak kto zna Hiszpanię, ten w jezuita choćby niemieckim spostrzeże coś hiszpańskiego, a kto zna wielu zakonników różnych, ten nie zaprzeczy, że dominikanin bliższy jest jezuita niż franciszkaninowi.

Intensywne życie narodowe pobudzi także twórczość religijną w kierunku narodowym i musi doprowadzić do stworzenia zakonów narodowych. Była to myśl Mickiewicza podjęta przez Jańskiego, która doprowadziła do stworzenia zakonu Zmartwychwstańców. Ale zakon ten, od początku pozostający w bardzo ścisłej zależności od jezuitów, nie spełnił oczekiwań Mickiewicza i nie stał się typowo polskim zakonem. Każdy zakon ma za zadanie wytworzenie pewnego typu zakonnika i pewnego rodzaju współżycia.

Dotychczasowe zakony wszystkie były oparte na ślubach czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, Ślub taki wyodrębnia tych, którzy go założyli, a im wierniej go dotrzymują, tym ściślej się między sobą zespalają. W XVI wieku św. Józef Kalasanta dodał do tych trzech dawnych ślubów czwarty-ślub nauczania i stworzył ty pijara. W XIX wieku ojciec Hecker stworzył zgromadzenie bez ślubu posłuszeństwa, które istnieje w Ameryce pod nazwą paulistów. Poza ślubami różne inne zobowiązania zawarte w regułach zakonnych określają zakonników. Gdyby w jakimś zakonie uznano wszelką obmowę za grzech najgorszy i ślubowano wystrzeganie się wszelkiego ujemnego sądu o bliźnich bez podstawy i potrzeby, to powstałby typ niezwykle miłego przez swoją wyrozumiałość i serdeczność zakonnika, różniący się od dotychczasowych mnichów, zbyt łatwo jeszcze ulegających pokusie sądzenia bliźnich.

Powstaje pytanie: na czym mógłby się oprzeć najbardziej polski w swej istocie zakon religijny, jakie najważniejsze cech musiałby krzewić, jakie wady i grzechy najgorliwiej zwalczać, jakich zobowiązań wymagać od swych zakonników? W jaki sposób taki zakon najskuteczniej mógłby się przyczynić do spełnienia polskich narodowych zadań? Odpowiedź na te pytania da przyszły rozwój życia narodowego, lecz tymczasem da wolno zaczerpnąć z dotychczasowego doświadczenia kilka wskazówek.

Jeden z papieży przytaczał jako główną przyczynę upadku Polski wyjątkowo częste w tym kraju katolickim rozwody, czyli unieważnienia małżeństwa, osłabiające życie rodzinne i przez to podkopujące życie narodowe. Dla wszystkich narodów prawo jest surowe w tym względzie, więc jak wytłumaczyć, że tylko w Polsce obserwuje się to dziwne zjawisko, iż w ostatnim pokoleniu kilku najznamienitszych Polaków unieważniło własne lub cudze małżeństwo, by móc połączyć się ze swą wybranką? Wszak nie przytaczając nazwisk wolno nam zaznaczyć, że kilku

najsławniejszych w całym świecie Polaków znajduje się w tym położeniu. Jeden z największych wieszczów, duch wielkiej czystości i szlachetności, notorycznie popełniał cudzołóstwo i ożenił się na życzenie ojca swego z kobietą nie kochaną, kochając inną. Inny napisał poemat, w którym głosił, że gdyby na kobietę zawołano „żono” - już ją żywcem pogrzebano. W pamiętnikach z dawnych czasów napotykałyśmy ciągle wzmianki o rozwodach, a bardzo rzadko jakiś wyraz oburzenia na te lekkomyślne małżeństwa, które nierozważnie zawierano, by je potem unieważniać. W związku z tą niestałością małżeństw są straszne konflikty i starcie między rodzinami a dziećmi. Widzimy zachwiany byt rodzinny, pomimo czasem nawet niepospolitej szlachetności ofiar takich tragedii. A komuż więcej potrzebna jest doskonała i święta rodzina, jakiej wzory dały nam niektóre historyczne rody naszych najznakomitszych hetmanów! Ich dwory były szkołą życia dla młodszych, a choć się na nich ochoczo bawiono, miały powagę klasztorów, w których panuje tradycja przodków. Polak czuje bardzo wielką potrzebę rodzinnego życia, toteż gdy małżeństwo mu się nie uda, z większą bezwzględnością rwie niemiłe więzy, niż czyni to Francuz lub Włoch. A kiedy ujrzy możliwość harmonijnego z kimś pożycia, nie ogląda się na przeszkody i rad by prawo nagiąć do swej woli, zamiast potajemnie prawo łamać, jak to czynią wśród łacińskich narodów.

To dążenie, tak silnie zakorzenione w polskiej duszy, wskazuje kierunek dla życia religijnego Polaków. Potrzebują oni pogłębienia i uświęcenia związku rodzinnego, stworzenia warunków, w których by mogły powstawać doskonałe rodziny, a to można osiągnąć jedynie wprowadzając całe rodziny do zakonnego życia. Wybierzmy kilkanaście małżeństw, połączmy je w jednej gminie dla wspólnej pracy twórczej pod duchowym kierownictwem ludzi, którzy naprawdę z Bogiem obcuja. Zaprowadźmy między nimi obyczaje zakonne – częste korzystanie z sakramentów kościoła, wspólną modlitwę, jednolite kierownictwo celowych wysiłków, zebrania podnoszące ducha, solidarność materialną wszystkich, wspólną tradycję obyczajów i przekonań. Taka gmina rychło się odznaczy od innych swoim duchem. Praca w niej każdego dla wszystkich nie poła do zwykłych starć ekonomicznych, które pociągają za sobą straty dla obu stron walczących. Więc praca ta zakonna będzie bardziej wydajna niż współzawodnictwo pracy świeckiej. A jeśli duch podniosły zagości na stałe w gminie takiej, to niewątpliwie odbije się na przede wszystkim na gatunku dzieci w niej przychodzących na świat: będą w tym otoczeniu częściej niż gdzie indziej rodzić się tacy ludzie, którzy przynoszą więcej, niż świat im dać może, i rosną ku największej radości rodziców. Jakaż większa radość ludzka istnieć może niż światło, jakim świeci geniusz lub świętość w dorastającym pokoleniu? Dotąd święty, podobnie jak geniusz, a szczególnie genialny święty napotykał opór i prześladowanie ze strony najbliższych. Wydawało się to prawem powszechnym i nieubłagany, że każdy krok wybranej jednostki przybliżającej ją do Boga musiał być okupiony bólem ciężkim i walką. Ale jeśli stworzymy czynem woli ofiarnej odrębne warunki społeczne choć w jednej gminie, specjalne dla powołania do życia leniuchy i świętych, a szczególnie genialnych świętych, to zdołamy powołać do życia wiele duchów Bożych, które może na taką sposobność czekają, by służbę ziemską rozpocząć. Tak jest istotnie. Wcielenie Chrystusa było przygotowane przez wieki, w ciągu wielu pokoleń. Podobnie wcielenie każdego wielkiego człowieka wymaga przygotowania. Lecz dotąd ludzie nic po temu nie czynili, wszystko w tej mierze pozostawiając wyłącznie Bogu. Ci którzy najgoręcej tęsknili do życia doskonałego, uciekali od świata, wyrzekali się życia rodzinnego. Życie rodzinne wydawało się im dalekie od doskonałości, a szczęście wielu małżeństw nietrwałe. Ale w istocie życia rodzinnego wcale nie tkwi samolubstwo ani brak ofiary. Stosunek małżeński jest polem najcięższych ofiar, gdy oboje małżonkowie postanowili sobie, że będą służyć Bogu, wzajemnie się wspierać w tym dążeniu, nic dla siebie nie wymagając, wszystko z siebie dając innym w ochoczej i rażnej służbie. Byłaby to praca religijna nie mniej skuteczna niż praca w dotychczasowych zakonach i stworzyłaby typ człowieka rodzinnego tak odrębne, różny od innych, jak jezuita lub dominikanin różni się od bernardyna.

Cała różnorodność dotychczasowych zakonów opiera się na trzech tradycyjnych ślubach zakonnych: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Zakon mający na celu doskonałość małżeńską i rodzinną potrzebuje nowych podstaw. Czystość zakonna dotychczasowa wyklucza płodność. Istnieje

czystość małżeńska, o której rozpustnicy ani asceci nic Rawie nie wiedzą, trudniejsza do utrzymania niż czystość dotychczasowych zakonników-czystość, którą Kościół przypisuje rodzicom Najświętszej Maryi Panny. Popęd ku drugiej płci wiedzie ku nadużyciom, które niszczą ciało i ducha. Dotąd zwalczano go uciekając od wszelkiej pokusy, zamykając w oddzielnych klasztorach męskich lub żeńskich tych, którzy pragnęli czystości. Ale pokusa ścigała ich i w celach klasztornych, we śnie i na jawie. Walczono z nią bólem i głodem, umartwianiem ciała, wiodącym do wycieńczenia ostatecznego. Mało kto się domyślał, że najdoskonalszą czystość można zdobyć najbliższym obcowaniu codziennym ze szlachetną osobą płci drugiej. A jednak świadectwa takiego doświadczenia się mnożą. Dwoje ludzi płci różnej, gdy wspólnie prosi Boga o tę łaskę, może się przekonać, że największa poufałość współżycia niekoniecznie budzi namiętne pożądania. Poznają chwile najwznioślejsze, w których zbliżenie koi ogień, zamiast je rozniecać. Wiara w takie doświadczenie innych ułatwia je tym, którzy dopiero na tę drogę wstępują. A wiara taka w możliwość czystości małżeństwa najłatwiej się udzieli w środowisku, w którym kieruje wspólnym życiem taka czysta para.

Zakon dla rodzin nie może być dziełem jednostki. Trzeba dwojga osób świętym zespolonych węzłem doskonałego małżeństwa. Istnieje wiele szczebli doskonałości małżeńskiej, podobnie jak istnieją szczeble doskonałości jednostki. Aby się ćwiczyć w tej dziedzinie, potrzebna jest rodzina. Są cnoty, które tylko we dwoje i wraz z własnym potomstwem zdobywać można. Trzeba po temu wspólnego wysiłku, wspólnego postanowienia. Ta praca nad zjednoczeniem dwojga osób płci różnej, dwojga małżonków nierozzerwalnie związanych, jest jedną z najtrudniejszych prac duchowych. Przewyciężenie trudności, przemaganie różnic między dwojgiem osób odbija się na ich otoczeniu i potomstwie. Na to, aby panowała harmonia między dwiema jednostkami różnymi płcią, wiekiem, pochodzeniem, wykształceniem, temperamentem, trzeba ustawicznego zwalczania tego, co je dzieli. Ilekroć zachodzi jakaś oczywista różnica, trzeba szybkiej decyzji, jak ją usunąć. To wymaga ustępstwa czasem z jednej, czasem z drugiej strony. Ale jeśli ustępstwo ma być skuteczne, powinno być ono zgodne z wolą Bożą, a nie z wolą tego, kto najgłośniej nalega, by jemu właśnie ustąpiono. Aby to umożliwić, należy wprowadzić w małżeństwie obyczaj wspólnej i prawie ustawicznej modlitwy, na którą oboje małżonkowie wspólnie by otrzymywali odpowiedź Bożą. Że to jest możliwe, wiedzą ci, którzy dosyć wytrwale Boga prosili o to i cel osiągnęli. Tylko ustawiczna praktyka takiego zespolenia małżonków w Bogu buduje rosnącą między nimi harmonię, która ich opromienia nadziemskim urokiem. Całe lata pierwszych wysiłków w tym kierunku mogą mijać bez śladu, nim skutek usiłowań okaże się oczywisty dla otoczenia. Ale sami małżonkowie szybciej ten skutek spostrzegą i każde powodzenie zachęci ich do dalszy wysiłków.

Podstawą małżeństwa chrześcijańskiego jest jego zamierzona nierozzerwalność. Ale w doskonałym małżeństwie ta nierozzerwalność sięga głębiej niż zwykle i nie tylko zapobiega zupełnemu rozerwaniu związku, ale też wszystkim sporom i niesnaskom, które zdarzają się u pospolitych ludzi. To ciągłe usuwanie różnic jest dopiero prawdziwą wiernością małżeńską. Niewierny jest nie tylko małżonek szukający poza swym małżeństwem nieprawych związków, ale także ten, który mogąc pogodzić się z żoną pozostawia rozdźwięk lub choćby najmniejszą nie uprzejmość dla najbliższej i ukochanej istoty. Niewierna jest żona która waha się połączyć ze swym mężem w każdym szaleńczym jego porywie.

Wierność jest przedmiotem małżeńskiego ślubu, ale bywa rozumiana dosyć ciasno. Prawdziwa wierność małżeńska jest nieodłączna od wierności Bogu. Tylko dwoje ludzi wiernych Bogu może zarazem sobie wzajemnie być wiernymi.

Nowy typ zakonu, w którym najskuteczniej mogłaby się odbywać praca religijna Polaków, stwarzając wyższe formy społecznego bytu, powinien oprzeć się na cnocie wierności we wszystkich osobistych stosunkach, poczynając od wierności Bogu i narodowi, a sięgając do wierności w małżeństwie i przyjaźni.

Wierność jest to zgodność czynu z myślą, wprowadzenie do życia raz zrozumiałej prawdy. W wierności zawiera się wiara lecz nie bez uczynków. Wierny jest, kto słowa danego dotrzyma, kto za łaskę otrzymaną jest wdzięczny i działa bez wahania z pomocą tej łaski, kto nie zrywa nigdy żadnej umowy, żadnego zawartego związku, kto szanuje uznane przez siebie prawo, kto chętnie ulega dobrowolnie przyjętej władzy. Przeciwno wierności my Polacy najciężej grzeszyliśmy warcholstwem, obmową zasłużonych rodaków i zrywaniem związków rodzinnych. Te grzechy przyczyniły się do upadku naszego państwa, do zrywania naszych sejmów, do uniemożliwienia wodzostwa w narodzie. Dlatego ci, którzy chcą naród odrodzić i podnieść, powinni ćwiczyć się w cnocie wierności.

To wymaga pewnej zakonnej organizacji w gminach religijnych, pod kierunkiem dobranych i wiernych sobie małżonków. Takie gminy nazwijmy kuźnicami narodowymi, a obywateli ich kowalami. Wzięto w ubiegłych wiekach symbole z rzemiosła mularskiego dla ruchu międzynarodowego zwalczającego Kościół powszechny. Mularz łączy cegły lub kamienie wapnem albo cementem i wodą. Kowal nadaje kształt metalom za pomocą ognia i stwarza w ten sposób najbardziej przydatne narzędzia cywilizacji. Dotychczas mieszkano w domach drewnianych lub murowanych – teraz nowa powstaje architektura, wznoszące się gmachy ze szkła i żelaza. Jest więc pewien kontrast między mularzem a kowalem i co do ich czynności, i co do materiałów, którymi się posługują; wolnomularstwo jest żydowskiego pochodzenia i dotąd pozostaje pod wpływem żydowskim. Przeciwstawmy mu kowalstwo polskie, wierne Bogu, Kościołowi i narodowi.

Taki zakon jest nam niezmiernie potrzebny i praca religijna w nim odbywająca się uniemożliwiłaby warcholstwo na przyszłość. Praca ta polegałaby głównie na usuwaniu różnic między rodakami przez poznawanie i wykonywanie woli Bożej. Podobnie jak małżonkowie przy współżyciu mają ustawiczną okazję do przemagania swych niedoskonałości przez wspólne ćwiczenie się w wierności Bogu, inny niezbędny stosunek w życiu zakonnym kowali jeszcze poszerza pole dla takich ćwiczeń.

Na to, żeby kowalstwo stało się poważną siłą narodową, wystarczy jedno przykazanie praktycznie sięgające do głębi życia społecznego. Niech każdy kowal ma wodza dobrowolnie uznanego, którego by się mógł radzić w każdej sprawie, i niech mu będzie wierny. Stosunek kowala każdego do swego wodza tak się różni od dawnego zakonnego posłuszeństwa, jak czystość małżeńska od dawnej czystości zakonnej. Wódz to nie przełożony, nie tyran żaden, ale ojciec i nauczyciel, człowiek bliższy Boga, do którego się udajemy po radę. Wódz kowalski nie będzie nalegał, narzucał swego zdania, lecz o ile jasno widzi prawdę, będzie usiłował ją uprzytomnić uczniowi tak, aby chętnie ją przyjął. Gdy między kowalem a wodzem zachodzi różnica, obydwaj szczerze się do Boga zwrócą i osiągną zgodę. Czasem syn we własnej sprawie jaśniej widzi swą drogę niż ojciec - za każdym razem gdy ojciec uzna słuszność zamiarów syna, sam zyska mądrość większą i siłę nadprzyrodzoną, by syna od wielu błędów uchronić. Jedno słuszne ustępstwo ze strony ojca ułatwi wiele synowskich ustępstw. A każda wspólna narada, wiodąca do wspólnego postanowienia, zwiększy harmonię i wzajemne zrozumienie się między synem a ojcem, uczniem a nauczycielem, kowalem a wodzem. Obowiązek uznania jakiegoś wodza zjednoczy kowali w jedno ciało, bo wodzów odpowiednich niewielu znajdą w narodzie, a ci, którzy mogliby kierować ruchem kowalskim, łatwo między sobą się porozumiewają i wybiorą sobie jednego wodza, który by mógł ich prowadzić do królestwa Bożego na ziemi. W kowalstwie ślub wierności Bogu, narodowi i dobrowolnie uznanemu wodzowi zastąpi dawne zakonne śluby i wystarczy, aby stworzyć nowy typ zakonnika rodzinnego. Wierność Bogu okaże się przede wszystkim we wstrzemięźliwości od tego co złe. Zła jest w sferze warunków cielesnych nieczystość, objawiająca się w nadużyciu dwóch głównych funkcji organicznego życia: odżywiania się i rozmnażania. Nadużycie w zakresie odżywiania się popełniają ludzie albo co do ilości, albo co do jakości. Jedni grzeszą obżarstwem, drudzy łakomstwem, które ich ciągnie do rzeczy szkodliwych. Wśród tych rzeczy szkodliwych najgorszymi są alkohol i tytoń, więc kowale w swych gminach zaprowadzą wstrzemięźliwość od tych trucizn, jako też od nadmiaru jadła, którzy wzmagają pokusy rozpusty i lenistwa.

Wstrzemięźliwość od obżarstwa, łakomstwa, rozpusty i lenistwa wynika z wierności Bogu w stosunku duszy z ciałem.

Wierność Bogu w stosunku naszych bliźnimi wyraża się w całkowitym powstrzymaniu się od obmowy, oszczerstwa i kłamstwa, co stanowi warunek wierności w małżeństwie i przyjaźni. Wreszcie z wierności Bogu wynika powstrzymywanie się od hazardu, czyli lekkomyślnego ryzykowania mieniem, czią lub życiem . Sługa Boży uważa wszystko, co do niego należy, za powierzone mu przez Opatrzność do dobrego użytku i nie zechce przywłaszczać sobie cudzego ani tracić tego, czym ma rozporządzać. Więc gra hazardowa nie może być dopuszczona w gminie kowalskiej i kawale nie będą też brali udziału w żadnych loteriach, nawet przez państwo zalecanych jako pożyczki premiowe.

Wierność narodowi objawia się przede wszystkim w stosunku do ziemi ojczystej, której kowal nie odda w obce ręce. Także dbać będzie o unarodowienie przemysłu, handlu i wychowania, dążąc do tego ze wszystkich sił przy wszelkiej sposobności.

Tacy ludzie wierni Bogu i narodowi, wierni swym wodzom, wierni małżeństwie, ustawicznie ćwiczący się w tej wierności przez słuszne ustępstwa, wytworzą zakon narodowy obejmujący zacne rodziny i stwarzający warunki w których niepospolici bohaterzy będą mogli przychodzić na świat, by naród dźwigać z upadku. Jednak praca religijna w życiu narodowym nie ograniczy się do twórczości zakonnej, do stwarzania nowych form życia społecznego. Natchnienie religijne wyrazi się także w sztuce i wiedzy narodowej, przenikając te dziedziny w ten sposób, aby ogół pojął, że wszelkie rzetelne natchnienia od Boga pochodzą, że artysta i uczoney cieszą się blaskiem, który jest słabszym odbiciem większego blasku Bożego. To śmiałe wprowadzenie świadomości religijnej do wszelkiej twórczości naukowej i artystycznej nada im pożądaną jedność i harmonie. (...)

* * *

W tych warunkach pojawią się nowe formy społecznego współżycia - nowe typy zakonników, różniących się od dawnych mnichów, a poświęconych z niemniejszą ofiarnością swoje życie nowym ideałom. Jedną z takich nowych form społecznego współdziałania jest założony przed wojną w Polsce zakon kowali, w którym odbywa się od kilku lat praca narodowa dosyć osobliwa, choć nie głośna.

Ilekróć realizacja jakiegoś zadania społecznego wymagała znacznych sił ludzkich, zawsze zachodziła potrzeba zespolenia tych, którzy wspólny cel pragnęli osiągnąć, pewnymi uroczystymi zobowiązaniami, które łączą pojedyncze jednostki w jednolite ciało. W imię tego prawa dawne zakony wymagały od swoich członków ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, w imię tegoż prawa nowoczesne państwa wymagają od żołnierzy swych lub urzędników przysięgi wypełniania pewnych obowiązków.

Podobnie jak Kościół i państwo, także naród, szczególnie gdy ma dźwignąć się z ucisku, potrzebuje ludzi, którzy by całą duszę i całe ciało oddać chcieli sprawie jego istnienia. A na to, żeby ich zespolić, trzeba jakiegoś określonego zobowiązania, takiego, którego dotrzymanie zależy od naszej woli, aby nie narażać tych, którzy je złożą, na łamanie ślubu. Ślub ogólnej doskonałości moralnej byłby chybiony, gdyż żaden człowiek nie jest doskonały, więc co dzień wszyscy taki ślub by łamali.

Ślub ubóstwa zakonnego według dawnego ideału św. Franciszka nawet przez jego własnych uczeni w zupełności nie mógł być dotrzymany, a w życiu nowoczesnym, w którym każdy ma obowiązek dbać osobiście o swe własne utrzymanie, aby nie stać się ciężarem dla innych, nie możemy nikomu zalecać ubóstwa, gdyż ono prawie zawsze pociąga za sobą żebractwo, czyli korzystanie z pracy cudzej.

Ślub czystości, tak jak była ona pojmowana w dotychczasowych zakonach, jako zobowiązanie do celibatu, nie odpowiada potrzebom narodu, gdyż naród uciskany powinien się rozmnażać jak najszybciej i nie może wyrzekać się tworzenia najliczniejszych rodzin. Zresztą ślub czystości zakonnej możliwy jest tylko dla najliczniejszych rzecz pod jednym hasłem, które z luźnych jednostek mogłoby utworzyć zwarte szeregi. Wprawdzie istnieje jeszcze inna czystość, objawiona w życiu wielu małżonków, o których czytamy w żywotach świętych, a także – według powszechnego w Kościele przeświadczenia – w pożyciu małżeńskim rodziców Najśw. Maryi Panny, czystość małżeńska godna naśladowania we wszystkich małżeństwach, które pragną doczekać się niepospolitego potomstwa. Lecz ta czystość małżeńska nie może być przedmiotem ślubu, gdyż dotrzymanie jej zależy od dwojga różnych ludzi, którzy nie mogą przewidzieć, jak na siebie działać będą i w jakiej mierze będą przy współżyciu wzajemnie się kusić. Można więc ją tylko ukazać wszystkim małżeństwom jako doniosły ideał, do którego dążyć powinny, nie godzi się jednak czynić tego ideału przedmiotem ślubu, gdyż dotrzymanie takiego ślubu często mogłoby się okazać zbyt trudne, tym bardziej że wielu nie uwierzy nawet w możliwość zupełnej czystości takiego płodnego związku małżeńskiego, w którym rzeczywistym motywem zespolenia jest wyłącznie pragnienie potomstwa, nie zaś żądza rozkoszy.

Ślub posłuszeństwa zakonnego wobec ustanowionych przełożonych byłby dla nas najpożyteczniejszy, ale przedstawia inna trudność, gdyż wymaga zupełnie jawnej i stałej organizacji, w której każdy by wiedział, kto jest jego przełożonym. Taka organizacja w państwach nowoczesnych będzie narażona na uciążliwą kontrolę, a nawet na prawdopodobne prześladowanie. Utaić zaś wielkiej organizacji niepodobna, a uległość władzy tajnej, której pochodzenia nie znamy, przedstawia tyle wielkich niebezpieczeństw, że słusznie Kościół zawsze ostrzegał przed tego rodzaju związkami. Dla nas więc dawny ślub posłuszeństwa jest nieodpowiedni i musi zostać zastąpiony przez jakieś inne zobowiązanie, wytwarzające organizację nie tajną, a jednak nieuchwytną i niezniszczalną, mogącą się szerzyć bez żadnych przeszkód we wszystkich częściach świata, wbrew wszelkim prześladowaniom. Na pozór jest to zadanie niezniszczalne, a jednak łatwo się przekonać, że jest ono wykonalne.

Na to, by je umożliwić, trzeba przede wszystkim odwrócić zwykły kierunek ludzkich myśli, pragnień i dążeń. Zwykle ludzie myślą przeważnie o sobie i o tym, co im się podoba. Z takich ludzi niepodobna utworzyć idealnego legionu, gdyż się nie pogodzą. Co się jednym podoba, to innych zrażać może, a gdzie sędzia, który by ich osądził?

Tym sędzią może być tylko Stwórca, od którego wszyscy pochodzą. Lecz oni przeważnie swego Stwórcy nie znają i nawet rzadko o Nim myślą. Czy można ich zobowiązywać, by pełnili wolę Bożą?

Takie wymaganie byłoby daremne. Ale wszyscy mogą zobowiązać się do tego, że w tych przynajmniej wypadkach, w których wola Boża jest jasna, bez wahania ją spełnią. Takie zobowiązanie jest wykonalne, zależy od naszej woli i nie naraża nas na to, żebyśmy je łamać musieli. Ale aby ono było skutecznie, trzeba je poprzeć innym zobowiązaniem, a mianowicie postanowieniem, że w każdej rzeczy, którą czynimy, w każdej decyzji, w każdym przedsięwzięciu sięgniemy myślą najpierw do Boga, usiłując poznać wolę Jego. Kto szuka, ten znajdzie, kto żąda, ten otrzyma – tak nam obiecał sam Chrystus, więc możemy być pewni, że im częściej będziemy szukać szczerze woli Bożej, tym jaśniej nam się ona objawi.

Obowiązek szukania, poczynania wszystkiego z Bogiem to jest właśnie takie odwrócenie od zwykłego toku myśli i uczuć, dzięki któremu niezgodne i hałaśliwe zgraje samolubów przekształci się dadzą w ciche, zgodne i potężne szeregi sług Sprawy Bożej. Ludzie, którzy Boga szukają, znajdują prawdziwego Boga, a znając Jego wolę nie mogą się różnić, lecz się bardzo łatwo między sobą zgodzą. Obowiązek szukania woli Bożej w każdym zadaniu ludzkim i chętnego pełnienia jej o

tylę, o ile nam się jasna stała, jest określonym i konkretnym obowiązkiem wierności Bogu i może być przedmiotem ślubu, gdyż nie ma przeszkody, która by mogła uniemożliwić dotrzymanie takiego ślubu.

Ślub wierności Bogu stawia nas w szeregach tych, którzy walczą o nadejście królestwa Bożego na ziemi. Wprawdzie istnieją ludzie, którzy pozostają wierni Bogu, choć tej wierności nie ślubowali, ale uroczyste postanowienie, obietnica Bogu wyraźnie złożona, że mu wierni będziemy, może przeobrazić wielu dotąd obojętnych i nadaje temu, kto ją złożył, charakter odrębny służby Bożego. Tylko ludzie wierni Bogu mogą skutecznie pracować nad odrodzeniem narodu, a wszelkie dążenia polityczne lub społeczne, które nie są oparte na wierności Bogu, prowadzą nieuchronnie do rozczarowań.

Z wierności Bogu wynika stała i niezachwiana wiara w opiekę Bożą nad nami, a z tym wiąże się przekonanie, że nic nam nigdy nie grozi, dopóki wierni Bogu jesteśmy. Więc wierny sługa Boży jest nieustraszony i niezachwiany w swych dążeniach w imię Boże poczętych. Opinie ludzkie go z drogi nie sprowadzą ani też potęgi ziemskie go nie zastraszą. On wierzy z całą pewnością, że w każdej chwili życia, nawet najprzykrzejszej i najtrudniejszej, ma znacznie więcej dobra, niż na to zasłużył, gdy wspomni na swe grzechy, wady i winy. Wie, że cierpienia są albo zasłużoną karą, albo przygotowaniem do nowych łask i za wszystko jest Bogu wdzięczny, wszystko do Boga odnosi.

Taki człowiek wierny Bogu nie będzie zatem na żadną dolegliwość, trudność albo przykrość narzekał, gdyż pierwszym jego odruchem, gdy go coś przykrego spotka, jest zadanie sobie pytania: jaka jest wola Boża, czego Bóg ode mnie wymaga poddając mnie tej próbie? I wnet odpowie sobie, że na pewno Bóg wymaga przede wszystkim cierpliwości, spokoju i męstwa. Gdy zaś cierpliwie i spokojnie przyjmie wszelkie zdarzenie, wnet mu się rozjaśni, co ma czynić można i należy, by zło usunąć i cierpienie własne lub cudze złagodzić.

Zwykłym odruchem ludzi na doznawanie przykrości bywa przesadna świadomość własnego bólu, bez myśli o Bogu, albo też złorzeczenie tym, których za przyczynę naszych przykrości uważamy. Ślub wierności Bogu niszczy ten nałóg narzekań, złorzeczeń i oczekiwanie gorszego zła. Zaczynamy radośnie przyjmować dolegliwości jako zachętę do walki z własną słabością i przeciwnościami. Każde cierpienie jest albo splątą dawnego długu, albo nowym kredytem na nieoczekiwaną łaskę i w obu wypadkach powinno nas cieszyć. Więc kto wierny jest Bogu, ten zarazem zawsze będzie wesoły i pogodny, zadowolony ze swego losu i pełen nadziei, że ten los się poprawi.

Wierność Bogu zobowiązuje do podwójnej modlitwy. W każdej trudności mamy prosić Boga o światło i siły, a przy każdej doznanej łasce dziękować Bogu za jego miłosierdzie. Ludzie niewierni Bogu bywają ślepi na doznane łaski i widzą w swym życiu tylko braki tego, czego innym zazdroszczą. Człowiek Boży coraz to jaśniej spostrzega, ile to Bożej łaski jest nawet w najcięższym żywocie ludzkim, a przez swą szczerą i gorącą wdzięczność najskuteczniej się przygotowuje do przyjęcia nowych i nieoczekiwanych łask.

Ślub wierności Bogu powiększa nasze odpowiedzialności, gdyż niewierność staje się dużo cięższym grzechem, gdyśmy wierność ślubowali. Ale bez wierności Bogu nadzieja na łączność ludzi w jakimkolwiek wielkim zadaniu jest płonna, więc od wierności Bogu koniecznie trzeba zacząć wszelkie takie przedsięwzięcia. Wierność Bogu wymaga ustawicznego czynu, gdyż Bóg, jako najpotężniejsze źródło siły, wszystkich wiernych mu ludzi pobudza do wysiłków. A gdy Boga przyjmujemy za sędziego naszych czynów, to zarazem otworzy się nam szerzej horyzont wieczności i przełamiemy ciasne granice doczesnego żywota naszą wyobraźnią. Już nigdy nas nie przygnębi myśl, że nasze życie musi się skończyć.

Kto jest wierny Bogu, ten czuje nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzy i wie, że wszystko, co teraz kocha, wolno mu będzie na wieki kochać i popierać.

Takie rozszerzenie horyzontów duchowych przedziwnie przeobraża człowieka i czyni go bardziej nieustraszonym wobec wszelkich zagrożeń doczesnych. Żyjąc na ziemi już żyje w wieczności i ziemię poczytuje sobie za jedno z ciał niebieskich, na którym wieczne zbawienie można osiągnąć, nie tylko dla siebie, ale i dla bliźnich, dla całej ludzkości, jak o to prosimy w Ojczyźnie nasz, gdy błagamy Boga o nadejście królestwa Bożego i o to, by na ziemi wola Boża działała się jako w niebie.

Otóż w pewnej mierze ten dla całej ziemi odległy ideał możemy urzeczywistnić wcześniej, przynajmniej we wszystkich stosunkach z takimi rodakami, którzy również są wierni Bogu.

Wszystkie te skutki ślubu wierności Bogu nie od razu każdemu się objawiają, gdyż różne są szczeble tej wierności, na które się stopniowo wznosimy i dźwigamy w miarę postępu w rozumieniu celów Bożych i w miarę tego, jak rozumiane prawa Boże stosujemy do naszego życia. Ale kto tylko na tę drogę wejdzie, ten gdy wytrwa w wierności ślubowanej, zdobędzie z czasem niezachwianą pogodę ducha, jasność celów i środków swego działania, odwagę wobec niebezpieczeństw i trudności, zrozumienie doniosłości cierpienia i wdzięczność za bóle przez Boga zesłane.

Wśród takich sług Bożych rekrutować mamy obrońców i wskrzesicieli narodu, a w tym celu wymagać od nich będziemy wyraźnego uzupełnienia ślubu wierności Bogu przez zobowiązanie w tym pierwszym ślubie utajone, mianowicie wierności narodowi. Bóg dziś tak ludzkością kieruje, że pełnię życia ma ona w różnych narodach i każda dojrzała dusza posiada jasną świadomość narodową. Wierność narodowi jest tylko jednym z wyrazów wierności Bogu, lecz warto go jasno uwydatnić wobec tych, którzy jeszcze nie przejrzeni i marzą o jakiejś chaotycznej ludzkości, nie zróżnicowanej na narody. Ślub wierności narodowi zresztą zawiera w sobie wiele zupełnie konkretnych obowiązków, z których dziś dla nas najważniejszym jest utrzymanie własności ojczyźnej ziemi i najstarsza jej uprawa, oraz popieranie wyłącznie narodowego handlu i przemysłu, czyli wprowadzenie ducha narodowego do dziedzin dotąd rządzonej przeważnie chciwością zysku i bezdusznym współzawodnictwem. Polakowi nie wolno ziemi ojczyźnej sprzedawać obcym, a to, czego potrzebuje dla siebie i innych, powinien zawsze kupować u rodaków, bacząc na to także, by towary były polskiego pochodzenia. Przedmioty zaś, które nie mogą być przez Polaków wytwarzane, wolno nabywać tylko wtedy, gdy ich użytek przysparza korzyści narodowi, jak np. gdy dla zdrowia potrzebujemy owoców nie dojrzewających w Polsce lub gdy dla pracy naukowej sprowadzamy zagraniczne książki czy okazy, albo gdy jakiś przedmiot doskonalej wyrabiany u obcych, a sprowadzony jako model do Polski zachęci Polaków do doskonalenia swych wyrobów. Ale nawet w tych wyjątkowych warunkach nigdy nic nie usprawiedliwi popierania handlu i przemysłu zaborczych państw ościennych lub zaborczego narodu, z którym wbrew naszej woli na naszej ziemi współżyjemy.

Czego Polak nie wyrabia, to kupujemy od Francuza, Holendra, Anglika, Szwajcara, lub Włocha, pomijając o ile tylko można, Niemca, Moskala lub Żyda. Trzeba pozakładać wszędzie towarzystwa badające pochodzenie towarów i zalecające tylko towary przez Polaków wyrabiane i sprzedawane.

Trudniejsza jest wierność narodowi na polu myśli i sztuki. Naśladownictwo wzorów obcych tak się rozpanoszyło, że z trudem się budzi myśl rodzima polska i polski ideał sztuki. A najgorzej jest w polityce, gdyż dotąd polityki polskiej prawie wcale nie mamy i każda partia walczy bronią czerpaną z obcych arsenałów. Wyzwolenie naszej narodowej polityki z zależności od obcych tradycji i metod politycznych będzie jednym z zadań polskiego życia narodowego.

Możliwość takiej istotnie polskiej polityki, o której marzył Mickiewicz, a którą w ostatnim

pokoleniu usiłował zrealizować Szczepanowski, zależy od dwóch warunków.

Po pierwsze, wymagajmy od każdego Polaka, by przez całe życie coraz to głębiej poznawał ducha polskiego, wyrażonego w obyczajach, tradycjach, historii, literaturze i sztuce narodowej, oraz by zdobył świadomość narodową szerzył wśród rodaków.

Po drugie, jeśli polski naród ma zdobyć siłę i jednolitość, trzeba, żeby każdy Polak miał uznanego przez siebie wodza i był mu wierny.

W tym wymaganiu tkwi cała tajemnica organizacji narodowej nieuchwytej, choć nie tajnej, niezniszczalnej, choć całkiem jawnej. Stosunek do wodza, dobrowolnie uznanego, jest stosunkiem osobistym, wymykającym się wszelkiej kontroli państwowej, społecznej lub nawet towarzyskiej. Jeśli wódz ma wielu zwolenników, to każde hasło przez tego wodza rzucone będzie dla nich rozkazem, choćby taki rozkaz nie został nikomu osobiście doręczony.

A jakże łatwo jakieś hasło może przemienić życie człowieka! Takim hasłem doniosłym jest na przykład bezwzględna abstynencja od alkoholu i tytoniu, która wyzwoliła miliony ludzi od zbrodni, obłądzenia i degeneracji. Ale są hasła bardziej doniosłe, które jeszcze głębiej sięgają, gdyż działają na wewnętrzną postawę ducha. Takim hasłem jest obowiązek wierności Bogu i narodowi, zagwarantowany uroczystym ślubem.

Ale wierność Bogu i narodowi dałaby nam tylko wiele oddzielnych jednostek, nawet nie znających się wzajemnie. Aby je połączyć, trzeba koniecznie dodać obowiązek uległości dobrowolnie uznanemu wodzowi i uczynić go również przedmiotem uroczystego ślubu.

Z takiego bowiem ślubu wynika wiele bardzo ważnych skutków dla życia narodowego. Przede wszystkim każdy, kto taki ślub złożył i chce go dotrzymać, musi szukać kogoś mędrszego i lepszego, by uznać go za wodza. To stanowi już wielką szkołę pokory i skuteczne lekarstwo na warcholstwo. A gdyby choć część Polaków zobowiązała się ulegać wodzom swoim, to wnet ci wodzowie, obierani na zasadzie osobistej znajomości i zaufania, pozyskaliby taką władzę i potęgę działania, jakiej żaden wódz zwykłej organizacji mieć nie może.

Wierność wodzowi wyniosłaby na stanowiska naczelne w narodzie ludzi duchem najwyższych i zupełnie uniemożliwiłaby tryumfy sprytnych lub przewrotnych warcholów. Bo przecież na wodza, któremu wierność ślubujemy, możemy wybrać tylko człowieka, którego uważamy za bliższego Bogu, jeśli sami jesteśmy wiernymi sługami Boga. Ci najwierniejsi słudzy Boży przez pokorę trzymają się w ukryciu, ale rozpowszechnianie hasła wyboru wodza i wierności temu wodzowi wyprowadzi ich na widowieństwo działania publicznego.

Trzeba jednak bliżej określić, na czym ta wierność wodzowi polega. Przede wszystkim na tym, że go bezinteresownie i regularnie informujemy o wszystkim, co czynimy i co zamierzamy oraz nic ważnego bez jego zgody nie przedsięwzięmy. Gdy zaś on czegoś wymaga od nas, powinniśmy to wykonać, o ile nie jest przeciwne naszemu sumieniu. Ale człowiek bliższy Bogu nie będzie wymagał rzeczy przeciwnej sumieniu, więc w praktyce wszelkie zastrzeżenie i ograniczenie karność upada: każdy będzie wiernie wykonywał polecenia wodza, dopóki tego wodza uznaje. A skoro ślubował wierność wodzowi dobrowolnie uznanemu, to jeśli przestanie uznawać jednego wodza, ma obowiązek natychmiastowego uznania innego, którego uważa za bardziej odpowiedniego dla siebie. Ten nowy wódz, nim go przyjmie pod swoje kierownictwo, porozumie się z poprzednim i dowie się o charakterze kandydata. Ścisłe dotrzymanie obowiązku, by zawsze mieć wodza, wprowadza do życia ustawiczne ćwiczenie się w pokorze i przez to uniemożliwia wszelkie warcholstwo.

Ślub wierności wodzowi dobrowolnie uznanemu nie zobowiązuje do bezwzględnej i dożywotniej wierności jednemu wodzowi, ale utrudnia zmiany, bo na to, by jednego wodza opuścić, trzeba znaleźć drugiego lepszego, co nie zawsze jest łatwe. Więc taki ślub, zmuszający do czynienia wszelkich ważnych postanowień w hierarchicznym porozumieniu z kimś starszym, głęboko przeobraża życie, a nawet jeszcze głębiej sięga niż dawny ślub posłuszeństwa zakonnego. Dawny bowiem zakonnik żył poza światem i nie miał możliwości wyboru przełożonego, a prawa tego przełożonego były ograniczone przez stałą i niezłomną regułę.

W nowym zakonie kowali, tak nazwanym od kuźnicy, w której powstała zasada ślubowania wierności Bogu, narodowi i dobrowolnie uznanemu wodzowi, nie ma innej ogólnej reguły, jak tylko dotrzymanie tego ślubu z wszystkimi jego konsekwencjami, a reguła życia dla każdego kowala bywa indywidualnym wynikiem jego porozumienia z wodzem, nawet w tak osobistych sprawach, jak wybór powołania, zawarcie małżeństwa lub rozporządzanie majątkiem. Ilekroć kowal chce coś postanowić, szuka kogoś starszego duchem i bliższego Bogu, kto by jego postanowienie potwierdził.

A gdy każdy kowal nie tylko poradzi się wodza swego we wszystkim, co przedsięwzię, ale także odda do jego rozporządzenia część swoich zarobków i dochodów, to w ręku wodza gromadzić się będą tym znaczniejsze środki, im więcej będzie miał zwolenników.

Gdy ten obyczaj stanie się powszechny w narodzie, dojdziemy do tego, że ludzie najwyżsi duchem będą także mieli największe środki materialne do rozporządzenia swego, co umożliwi wcielanie w czyn ich najwyższych ideałów.

Jaka część dochodów każdego kowala ma być oddana do rozporządzenia wodza, to zależy od jego szczerego porozumienia z wodzem. Ale nie należy opuszczać wodza więcej wymagającego dla innego, który mniej wymaga, bo wybór wodza ma należeć jedynie do naszego przekonania o jego wierności Bogu, nie od trudności materialnych, jakie może związek z nim wytworzyć.

Kto złoży ślub wierności Bogu, narodowi i wodzowi dobrowolnie uznanemu, ten jest kowalem i nie potrzebuje żadnej sankcji zewnętrznej, aby się w pełni czuć kowalem, dopóki pozostaje wierny ślubowi. Organizacja jednolita kowali wytwarza się sama, bez zabiegów organizacyjnych, bez działania zewnętrznej powagi, zatwierdzającej powyższą regułę, której cała siła tkwić będzie w przyjęciu jej przez sumienia. Charakter kowala wynika z wyżej określonego powszechnego prawa wierności Bogu, narodowi i wodzowi dobrowolnie uznanemu. Kto prawo uznaje i działa zgodnie z nim, ten chociażby o innych kowalich nic nie wiedział, będzie kowalem i postępując zgodnie ze ślubem kowalskim nieuchronnie zetknie się z innymi kowalami, gdyż liczba ludzi odpowiadających wymaganiom, jakie stawiać musimy wodzom kowali, jest niewielka, tak, że już po krótkim czasie istnienia ruchu kowalskiego wszyscy się wzajemnie poznają i wspólnie wodza naczelnego kowali polskich sobie obiorą.

Ruch ten nie wymaga zatem innej propagandy jak szerzenie hasła hierarchii ducha. Wszędzie, gdzie są Polacy, mogą powstawać koła kowali, zbierające doświadczenia z życia zgodnego z hasłami tu wyrażonymi. Tylko praktyka takiego życia wykaże, o ile hasła dadzą się zastosować do współczesnych Polaków. Jeden żywy przykład jakiegoś żywota marnego uszlachetnionego przez ślub kowalski więcej znaczy dla rozpowszechnienia kowalstwa niż wiele przemyśleń zebrani i dyskusji.

O tym, jakie jest życie pod hasłem hierarchii ducha, czyli wierności Bogu, narodowi i uznanemu wodzowi, mogą naprawdę wiedzieć tylko ci, którzy przeszli próbę życia zgodnego z tym hasłem, a próba ta wcale nie jest łatwa, szczególnie dla ludzi ambitnych, obraźliwych i szukających źródła zła w innych, zamiast siebie poprawiać.

Centralizacja nie idzie tu do góry, lecz do dołu, nie jest wynikiem zaczepnej agresji, lecz pokornego, dobrowolnego poddawania się starszym duchom. Nikt nie ma prawa proponować siebie komuś na wodza; każdy może tylko przyjąć wodzostwo mu ofiarowane przez innego. Wszelka zaborczość duchowa jest wykluczona.

A gdy dobrze zrozumiemy ślub kowali, to przekonamy się, że wódz wcale nie musi nadzwyczajnie górować duchem nad swymi zwolennikami. Dobrym wodzem może być człowiek zwyczajny, który odpowiedzialność swego wodzostwa bierze poważnie i głęboko. Na to, by ruch kowalski miał siłę i skuteczność cały nacisk trzeba kłaść na wierność Bogu przede wszystkim.

Tylko między ludźmi wiernymi Bogu skuteczny być może ślub wierności dobrowolnie uznanemu wodzowi, gdyż tylko tacy ludzie będą w stanie tego ślubu dotrzymać. Gdybyśmy wyższość wodza mierzyli miarą jedynie ludzkich uzdolnień, jak np. wykształcenie, doświadczenie lub inne zalety, to nigdy byśmy przy żadnym wodzu nie wytrwali. Wodzem dla każdego kowala może być tylko ten, kto jest naprawdę bliższy Bogu, i tylko z bliskości Boga wynika powaga jego wodzostwa. Bo celem naszym jest pełnienie woli Bożej, a nie woli jakiegoś ludzkiego wodza.

Wodzów wybieramy wśród ludzi, aby uchronić od błędów w rozpoznawaniu woli Bożej i aby dzięki ojcostwu wodza wytworzyć braterstwo istotne między jego duchowymi dziećmi. Tutaj w pełni się stosuje radosny okrzyk Słowackiego:

„Synowie Boży jesteście! Czem jutro, jeszcze nie wiemy (...) Każdy silny, o pół kroku, ku Bogu świat pchnąć dzisiejszy, a jutro jeszcze silniejszy!”

Ale sprawa Boża, tak jak ją pojmował wówczas Słowacki pod wpływem Towiańskiego, z różnych powodów nie rozwinęła się dotąd. Dziś trzeba w nowej formie podjąć to hasło Sprawy Bożej i nadać mu taki kształt, by mogło być ono stosowane wszędzie tam, gdzie Polacy żyją, bez zależności od jakiegoś jednego mistrza czy inicjatora, jako hasło wynikające z głębokiej potrzeby narodu przez warcholstwo ciągle osłabianego. Warcholstwo jest straszną wadą narodową, która niszczy wiele dobrych przedsięwzięć, a wyzwolić nas może jedynie rozpowszechnienie przekonania o koniecznej potrzebie bezwzględnej wierności Bogu, podpartej przez życie w hierarchii ducha, polegające na tym szczególnie, by każdą ważniejszą decyzję powziąć w zgodnym porozumieniu z kimś lepszym i mędrszym. Skoro Chrystus obiecał nam, że tam, gdzie dwóch w Jego imię się zbierze, tam On będzie nimi, to wielką tę obietnicę szczególnie można zastosować do narad każdego człowieka ze swym wodzem. Postanowienia w ten sposób powzięte będą bardziej skuteczne niż te, jakie każdy człowiek sam, bez naradzenia się z kimś uczyni.

Jeśli kilku kowali gdziekolwiek złoży ślub wierności Bogu, narodowi i dobrowolnie uznanemu wodzowi - naturalnie ślub dożywotni, który na całe życie zobowiązuje i stanowi o charakterze jego życia - to choćby oni stanowili grupę nie mającą żadnych stosunków z innymi kowalami, zaraz mogą zacząć nowe życie i mieć świadomość tego, że swoim życiem przyczyniają się do przybliżenia królestwa Bożego na ziemi w ogóle, a więc i do wskrzeszenia Polski niezależnej w szczególności.

Być może Polaków uznających doniosłość tego ślubu znajdzie się z początku niewielu, ale gdziekolwiek ten ruch się rozwinie, choćby na najmniejszą skalę, kowale karni wobec swych wodzów rychło zaczną stanowić znaczną siłę w stosunku do swej liczebności, gdyż skutkiem naturalnym tego ślubu okaże się rozwój pewnych cech w jednostkach, które go szczerze złożą i dotrzymają.

Człowiek wierny Bogu z natury rzeczy będzie koniecznie dzielny. W dzielności mieści się odwaga, lecz dzielność jest czymś więcej, choć jest przede wszystkim odwagą, nie tylko wobec

zewnątrznych niebezpieczeństw, ale również wobec pokus wewnętrznych. Dzielność nie zgadza się ze strachem ani gniewem, ani złością, ani nienawiścią.

Człowiek dzielny nie boi się niczego i nikogo, gdyż czuje nad sobą nieustanną opiekę Bożą i ustawicznie doświadcza prawdy, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Każdą przykrość lub dolegliwość wita z radością, jako nową okazję do ćwiczenia się w cierpliwości, sprawności, wytrwałości, jakby miłą zabawę, w której siły się ćwiczą bez wielkiego trudu. Nic go nie przeraża, choćby cios za ciosem spadał na niego nieoczekiwanie - we wszystkim jeszcze zdoła dojrzeć opiekę Bożą i doczeka się cierpliwie i doczeka się pożądanego wyjaśnienia, dlaczego Bóg właśnie taką drogą go prowadzi a nie inną.

Nie tylko nie boi się tego, czemu zaradzić sam zdoła, lecz nigdy też nie zapowiada takiego zła, które jeszcze nie nadeszło, gdy nie ma danych do przewidywania, że nadejdzie. Zapowiadanie zła, nie udania się zacnych przedsięwzięć jest nałogiem osłabiającym duszę, podobnie jak pijaństwo ciało nasze osłabia.

Człowiek dzielny także nie gniewa się nigdy na nikogo i nie obraża się, gdyż wie, że ci, którzy w innych gniew budzą, sami bywają nieszczęśliwi, potrzebujący miłości i miłosierdzia, choć zewnątrznie mogą się wydawać mocarzami. Jeśli oni innych krzywdzą, nie minie ich kara Boża, więc nie warto się na nich gniewać, lecz jeśli to jest naszym zadaniem, trzeba ich poprawiać lub karać, zawsze z nadzieją, że się nawrócą i złe drogi porzucą.

Dzielny człowiek nie ma niechęci do nikogo, zawsze każdemu gotów jest służyć, nawet wrogowi, jeśli to jest możliwe bez uszczerbku Sprawy. Również nikomu nie zazdrości, bo wie, że sam ma tyle, ile znieść może, a Bóg nikomu za mało nie daje, tylko każdemu więcej, niż zasłużył. Cierpliwy jest i roztropny, zawsze czynny i ćwiczący się we wszelkiej sprawności.

W dzielności tkwi także pracowitość i najlepsze wykorzystanie czasu własnego oraz tych, którymi kierujemy. A nadto należy do dzielności spokój, pogoda ducha, wesołość i wytrwałość w każdym przedsięwzięciu. Dzielny człowiek na nikogo się nie ogląda, od nikogo nie wymaga pomocy, ale rad ją przyjmuje, gdy mu dobrowolnie zostanie ofiarowana. Co zacznie po dobrym rozważeniu celu i poznaniu woli Bożej, to zawsze doprowadzi do końca i nie da się zarazić żadnymi przeciwnościami. Wszystkie te zalety wyrażamy jednym słowem: dzielność, a dzielność jest wynikiem wierności Bogu i wyrasta z tych, którzy wierności Bogu dochowują.

Druga cnota kowalska, także wynikająca z wierności Bogu, może być ogólnie nazwana rzetelnością w słowie i w czynie. Człowiek rzetelny nie rzuca słów na wiatr, obce mu są gadatliwość i kłamstwo, a szczególnie obmowa. Nawet jeśli wie coś złego o kimś, nie będzie o tym rozpowiadał, chyba że znajdzie poważną tego potrzebę wobec grożącego komuś niebezpieczeństwa. Tajemnic mu powierzonych nigdy nie zdradzi, zobowiązań swych zawsze dotrzyma i odznacza się punktualnością. Pracę wykonuje sumiennie i dokładnie, a przez to nabywa sprawności. Długów nie zaciąga bez poważnej potrzeby i nigdy nie wymaga kredytu od kupców, u których kupuje artykuły codziennego spożycia, bo spożywa tylko to, na co uprzednio zarobił i za co zapłacił. Nie prosi przyjaciół o pożyczki ułatwiające życie nad stan, nie udaje ani bogatszego, ani bardziej wykształconego, niż jest w istocie.

Na rzetelnego człowieka słabsi mogą zawsze liczyć w trudnościach, gdyż on sam swą pomoc chętnie im ofiaruje, gdy spostrzeże jej potrzebę. W rzetelności tkwi też sprawiedliwość dla wszystkich w najróżniejszych stosunkach, co zupełnie wyklucza możliwość wyzysku słabszych lub głupszych.

Ludzie rzetelni potrafią być wierni przyjaźni i miewają wielu prawdziwych przyjaciół. Wartość

przyjaźni mierzy się jej trwałością wśród antagonizmów i burz ludzkiego życia. Łatwo wytrwać w dobrej przyjaźni, gdy nie ma między przyjaciółmi konfliktu interesu lub przekonań, gdy wzajemnie sobie pochlebiają i dogadzają. Lecz ludzie rzetelni wyrażają swym przyjaciołom szczerze swe zdanie i umieją pomimo różnic opinii pozostać przyjaciółmi.

Prawdziwa, nierozzerwalna przyjaźń możliwa jest tylko między ludźmi wiernymi Bogu - i tutaj należy też najszlachetniejsza miłość małżeńska. Przy mniejszym natężeniu uczuć, które stanowią podstawę przyjaźni, mamy życzliwość, uczynność, litość i miłosierdzie. Wszystkie te cnoty płyną z tego samego źródła co najwyższy wykwit uczuć osobistych łączących ludzi między sobą, zwany przyjaźnią.

Człowiek życzliwy, uczynny, litościwy, miłosierny ma w sobie warunki, by doświadczyć w życiu prawdziwej przyjaźni, gdy spotyka wyjątkowo bliską duszę. Rzadko gdzie można znaleźć tak trwałe i szczytne przyjaźnie jak w zakonach. W każdym razie można powiedzieć, że zakon kowali, jeśli w nim zjednoczą się ludzie rzetelni i dzielni, odznaczać się będzie pięknymi przykładami ich wiernej przyjaźni między sobą i każdy bliższy związek duchowy raz zawarty będzie w nim trwał wiecznie.

Czwartą cnotą naczelną kowali będzie wstrzemięźliwość od nałogów szkodliwych dla duszy i ciała. Pierwszym takim nałogiem jest obżarstwo i pokrewne mu łakomstwo, które są nadużyciami w zakresie odżywiania się, jednej z głównych potrzeb cielesnych. Obżarstwo dotyczy ilości, łakomstwo jakości jadła, napoju i nawet zaspokajania powonienia. Dlatego należy tutaj zaliczyć używanie napojów alkoholowych i tytoniu, stanowczo potępiane przez wszystkich kowali.

Drugim nałogiem, będącym w ścisłym związku z obżarstwem, jest rozpusta, czyli spaczenie funkcji płodności przez pogoń za rozkoszą bez względu na skutki. Rozpusta najgorsza to grzeszne pogrążanie się w rozkoszy małżonków sakramentem połączonych, pod pretekstem, że im wszystko wolno, bo są poślubieni. Rozpusta małżeńska dlatego jest najgorsza, że odbija się na gatunku potomstwa, podczas gdy inne, bardziej jaskrawe i rażące odmiany rozpusty pozostają przeważnie bezpłodne, więc szkodzą jedynie samym rozpustnikom. Małżeństwo ma na celu płodność i wszelka rozkosz nie uwzględniająca tego celu jest nadużyciem, za które pokutują najbardziej dzieci z takich małżeństw zrodzone. Gdy małżonkowie nie chcą mieć potomstwa i nawet zapobiegają swej płodności, stają się niewierni nie tylko Bogu, ale także narodowi, który potrzebuje najliczniejszych obywateli.

Z obżarstwem i rozpustą bardzo ściśle wiąże się lenistwo. Ludzie leniwi czas tracą własny, a nieraz cudzy wskutek licznych zawodów, jakie sprawiają, gdy przez ociężałość opóźniają wszelką zbiorową pracę. Naturalnie bywają również niesłowni i niepunktualni. Obżarstwo, rozpusta i lenistwo, choć ducha znieprawiają, mają swe główne źródło w ciele i niszczą sprawność ciała. Lecz często nawet ci, którzy unikają tych nałogów zupełnie, ludzie wstrzemięźliwi w jadle, czysti w stosunkach z drugą płcią i energiczni w działaniu, cierpią jednak na inną niewstrzemięźliwość, nie mniej szkodliwą, a nawet jeszcze gorszą, gdyż pierwsi najwięcej sobie szkodzą, a drudzy bliźnim.

Jest to przede wszystkim niepowściągliwość mowy czy gadatliwość, bardzo niedogodna dla kowala. Z gadatliwości wynika plotkarstwo, gdyż człowiek gadatliwy jest powierzchowny, więc dużo mówi, najłatwiej jest mu mówić o przywarach bliźnich, o ich błędach i grzechach. Broni się tym, że mówi prawdę, a nie zastanawia się nad tym, ile to prawd niemiłych można powiedzieć o nim. Obmowa jest czymś złym nawet wtedy, gdy nie zawiera fałszu, bo szerzenie prawd ujemnych o bliźnich zawsze szkodzi, nie tylko bliźnim, ale i w samej cnotie. Każda wiadomość o czymś upadku jest pokusa do grzechu.

Są z resztą formy obmowy, które dotyczą niezbadanych tajemnic duszy ludzkiej, np. gdy komus

zarzucamy brak miłości. O każdym, nawet najlepszym człowieku, można zgodnie z prawdą twierdzić, że mu brak miłości. O każdym, nawet najlepszym człowieku, można zgodnie z prawdą twierdzić, że mu brak miłości, gdyż szczerble miłości są nieskończone i nikt za wiele nie kocha. Lecz ten komunał zarazem staje się fałszem, jeśli oskarżyciel mniema, że sam ma więcej miłości niż oskarżony. Tutaj on sam siebie osądza, bo nigdy człowiek kochający bliźnich innym zarzuca braku miłości. Przeciwnie, miłujący innych u wszystkich przypuszcza podobną miłość, szczególnie u tych, od których doznał dobrodziejstw. A typową cechą niewdzięczników jest to, że tym, od których miłości doznali, zarzucają właśnie brak miłości.

Z gadulstwa oprócz obmowy wynika także narzekanie i zapowiadanie zła, które powinno być wśród kowali zwalczane bezwzględnie. Gdy ktoś rozpocznie coś dobrego, nie zapowiadajmy, że się nie uda, jeśli sami nie chcemy w znacym przedsięwzięciu wziąć udziału.

Gorszym od gadatliwości nałogiem jest kłamanie i związane z nim oszczerstwo, które od obmowy trzeba odróżnić. Mówienie nieprawdy, jako nałóg duszy niskiej, wynika zwykle z braku dzielności i rzetelności; człowiek rzetelny brzydzi się kłamstwem i jest zawsze szczerzy, choć może czasem nie być zupełnie otwarty, gdy chodzi o zachowanie jakiejś ważnej tajemnicy.

Jedną tylko jest dziedziną, w której czasem formalnie zaprzeczenie jakiegoś prawdopodobnemu faktowi może być usprawiedliwione, to jest gdy chodzi o obronę czci, szczególnie kobiecej, przed złośliwą niedyskrecją zawistnych plotkarzy i oszczerców. Ale to nie może być uważane za kłamstwo, gdyż oszczercy zwykle istotnej prawdy nie znają, tylko na tle prawdy fałsze snują. Więc zaprzeczenie takim fałszom jest obroną prawdy, gdyż faktu nie można oderwać od oświetlenia, w którym jest podany, a fakt fałszywie oświetlony już nie jest prawdą.

Jeśli na przykład ktoś odebrał złodziejowi swoją własność, a złodziej oskarża okradzonego o kradzież, to mamy prawo mu zaprzeczyć, nawet jeśli nie możemy zdradzić okoliczności, w jakich skradziona własność została odzyskana.

Poza takimi wypadkami, na szczęście dosyć rzadkimi, wszelkie inne kłamstwo musi zostać potępione, choć ani nie figuruje ono w katechizmie wśród grzechów głównych, ani też nie jest wyraźnie zabronione w przykazaniach Mojżeszowych. Gdy kłamstwo przybierze formę oszczerstwa, staje się jedną z najstraszniejszych szkód, jakie bliźniemu wyrządzić możemy. Poza oszczerstwem kłamstwo się panoszy we wszelkiego rodzaju hipokryzji i próżności, w udawaniu tego, kim nie jesteśmy, a za kogo uchodzić byśmy chcieli. Takich hipokrytów należy demaskować i upokarzać, ale nie godzi się ich obmawiać.

Wreszcie do nałogów szkodliwych, niezgodnych z duchem kowalstwa, zaliczamy wszelki hazard, to jest lekkomyślne ryzykowanie mienia, czci lub życia. Nie chodzi tu jedynie o karciarstwo i loterie, które są najpospolitszymi formami hazardu, ale o hazard w postępowaniu, o bezplanowość działania, o bezmyślne zachcianki, o kaprysy i zbytki, które tak często plamią życie ludzi zamożnych lub wybitnych umysłowo. Jest w każdym hazardzie nieroztropna chęć łatwego uzyskania korzyści, bez trudu i zasług, co zupełnie się nie zgadza z dzielnością (choć zdarzało się, że dzielny skądinąd mąż nie wstydził się nazwać siebie ryzykantem).

Hazard zatem powinniśmy wykluczyć z życia kowali na równi z kłamstwem i gadatliwością. Wszystkie te trzy nałogi mają to wspólne, że wprowadzają do życia fałsz, z udawania kogoś, kim się nie jest, spaczenie kierunku, w którym należałoby wykorzystywać swą energię.

Dzielność, rzetelność, przyjaźń, walka z nałogami ciała i duszy – to są owoce wierności Bogu i narodowi pod kierunkiem wodza dobrowolnie uznanego. Jeśli kto twierdzi, że wodza nie można sobie znaleźć, to najczęściej grzeszy brakiem pokory. Ale są ludzie, których można zaliczyć do

kowalstwa, choć nie mają innego wodza nad sobą, jak tylko Boga. To są ci, którzy naprawdę nauczyli się sami rozumieć wolę Bożą i otrzymali od Boga pewne powołanie do spełnienia wśród rodaków. Takich ludzi nazywamy czynicielami Sprawy i odróżniamy ich od uczestników Sprawy.

Prawdziwy czyniciel składa dowody swego powołania w owocach swego działania. Nie wystarczy, by on sam siebie uważał za czyniciela, trzeba uznania dobrowolnego innych – dopiero gdy znajdzie dusze, które mu się powierzą, zaczyna istotnie czynić Sprawę i czyni ją tak długo, jak długo trwa łaska Boża nad nim.

Czasem się trafia, że po pewnym okresie działania czyniciel Sprawy czuje potrzebę skupienia i odosobnienia. Wtedy usuwa się od ludzi i od Sprawy, którą czynił, a swym zwolennikom albo wskazuje innego wodza, albo pozostawia im zupełną wolność wyboru dalszej drogi.

Jedną z form bezpośredniego z Bogiem obcowania jest doskonałe małżeństwo, wspólnie Bogu służące w ten sposób, że mąż wodzem jest dla żony, a żona dla męża, to znaczy że każdą ważną decyzję tylko razem i za obopólną zgodą podejmują, nawet gdy ta decyzja dotyczy nie spraw wspólnego pożycia, lecz odrębnej działalności męża lub żony.

Taka istotna równość duchowa małżonków jest bardzo rzadka, lecz tym cenniejsza, bo różnica płci stanowi gwarancję równowagi, gdy oboje mają wspólne natchnienia. Słowacki opisał takie małżeństwo w "Królu Duchu", wprowadzając do poematu Mieczysława i Dąbrówkę jako tak doskonałą parę, która dla narodu była podwójnym wodzem.

Kto w ten sposób nie umie bezpośrednio z Bogiem obcować, kto nie otrzymał jasno i wyraźnie od Boga samego powołania do czynienia określonej Sprawy, ten wierność swą Bogu i narodowi zabezpieczyć może tylko wiernością wobec dobrowolnie uznanego wodza, który powinien być choćby trochę dojrzały duchem i doświadczeniem.

Z początku tej praktyki trudności wydadzą się ogromne, niejedynemu kowalowi na wielu z kolei wodzach się zawiedzie, nim znajdzie jednego, na którym będzie mógł polegać.

Ale nie mamy racji wątpić w możliwość takiej nieuchwytniej organizacji, jaką będzie stanowić hierarchia ducha wymagana w kowalstwie. Wszak w Kościele od dawna gorliwsze dusze mają stałych kierowników sumienia, choć wybór był ograniczony do duchowieństwa, stanowiącego zaledwie tysięczną część obywateli. W kowalstwie wybór wodza nie jest ograniczony ani stanem, ani wykształceniem, ani wiekiem, ani pozycją społeczną, jedynie starszeństwem duchowym, a kto nie ma zbyt wielkiego mniemania o sobie ten łatwo znajdzie kogoś, kto nad nim duchem góruje.

Reguła życia każdego kowala musi być indywidualna i zależeć od jego wodza. Dwa są główne rodzaje czynności ludzkich: praca i zabawa. Praca jest to wysiłek celowy, zmierzający do czegoś w przyszłości. Zabawa jest to ruch ducha lub ciała znajdujący w teraźniejszości swój cel i zadowolenie.

Dawne zakony gardziły zabawą i dopuszczały tylko jako zło konieczne rekreację, czyli rozrywkę. W kowalstwie trzeba się starać, by każda praca stała się miłą zabawą, by można było działać i pełni życia używać w teraźniejszości, choć się dla przyszłości pracuje.

Daleka to droga, nim wszelka praca zostanie tak uduchowiona i od przymusowej poniekąd roboty odróżniona. Dziś w każdej pracy jest jeszcze dużo bezdusznej przymusowej roboty. Podobnie też w naszych zabawach jest za wiele rozrywki lub gry hazardowej. Uszlachetnienie zabawy, współzycia towarzyskiego, zbliżenia serdecznego dusz, należy niewątpliwie do zadań poważnych.

Życie, które jedynie na pracy upływa, jest jednostronne i ciasne. Zabawa nie powinna być uleganiem słabości i niedoskonałości ludzkiej, lecz przeciwnie wykwittem pracy ludzkiej, żywym doświadczeniem już w doczesności wiecznego żywota bez troski. Warto nawet dużo pracy poświęcić na przygotowanie podnoszącej ducha sprawy. To, co dla innych jest pracą, dla innych bywa szlachetną zabawą, jak np. dobry teatr jest zabawą dla przejętych nim widzów i dla niektórych najlepszych aktorów, pracą dla wielu innych uczestników widowiska. Zabawą może być wycieczka w góry lub nad morze dla ochoczych uczestników, pracą organizacja takiej wycieczki. W każdym razie godzi się szlachetnej zabawie wyznaczyć poważne miejsce w życiu ludzi, którzy dzielnie i rzetelnie służą Bogu i narodowi, a przy tym żyją w przyjaźni i walczą ze złymi nałogami, szpecącymi życie.

Chodzi jednak o to, by zarówno praca, jak i zabawa odbywały się zawsze w obliczu Boga, z pełną świadomością wierności Mu ślubowanej. Wtedy zaciera się granica między pracą a modlitwą: każdy wysiłek w pracy jest krzykiem do Boga. Przy takiej zbożnej pracy pojawia się coraz to częściej i nawet w najpowszechniejszych zajęciach czynnik twórczości, opromieniający życie nadludzkim światłem natchnienia Bożego.

Dotąd twórczość bywała przywilejem ludzi wyjątkowych – artystów lub uczonych. Ale kto żyje z Bogiem i wobec Boga, ten zdoła twórczość wnieść do każdego ludzkiego zajęcia, gdyż Bóg jest źródłem natchnień, a natchnienie służy nie tylko do zdobywania prawdy lub wyrażania piękna, lecz także do przeobrażenia w duchu Bożym wszystkich naszych obyczajów i stosunków.

Praca, zabawa, modlitwa, twórczość – to są główne przejawy życia poświęconego Bogu. Ludzie dzielni, rzetelni, przyjaźni i wstrzemięźliwi będą umieli sprawnie pracować, ochoczo się bawić, gorliwie się modlić, a we wszystkim objawiać nowe życie, płynące z natchnienia, w miejsce dawnego życia z nałogu i przyzwyczajenia.

Tacy ludzie utworzą harmonijne rodziny, w których można się spodziewać pięknych, zdolnych, dzielnych i wiernych rodzicom dzieci. Na tej drodze potrzebują kowale pewnego praktycznego wtajemniczenia, żywego przykładu po Bożemu prowadzonego domu, a takie domy, czyli szkoły kowalskiego życia, nazywamy kuźnicami.

Kuźnica to nowoczesny klasztor, w którym rodzina jednego z wodzów kowali, otoczona młodszymi, kieruje ich wysiłkami, objaśnia następczącą się im trudności, uczy harmonii i zgody, a przez to wytwarza w pamięci domowników niezatarte wspomnienia początków nierozzerwalnych przyjaźni.

Kuźnice będą różne, zależne od charakteru, wykształcenia i zajęcia kierowników. Ale na początek jest najpotrzebniejsza kuźnica, w której by opracowywano dobre książki dotyczące ducha narodowego polskiego i zawierające to, co każdy Polak wiedzieć powinien. Musi to być warsztat umysłowy, w którym każde dzieło byłoby opracowywane równolegle przez kilka niezależnych od siebie umysłów, aby wykluczyć indywidualną jednostronność i doprowadzić do możliwie największej obiektywności. Taka kuźnica powinna stać się ogniskiem wydawniczym, zasilającym ruch kowalski, a zarazem pracownią doświadczalną, w której wszelkie sposoby wpływu mocy ducha na słabości ciała oraz higieny ciała na wysiłki ducha byłyby przedmiotem umiejętnych badań.

Na założenie takiej kuźnicy potrzeba środków, ale w miarę jej rozwoju praca uczestników zapewni dochody z wydawnictw, uprawy roli do kuźnicy należących i przedsięwzięć przemysłowych lub handlowych, jakie w miarę udziału ludzi twórczych zostaną z kuźnicą związane.

Taka ekonomiczna niezależność kuźnicy od ofiar jest bardzo pożądana, gdyż nie możemy uznać

sprzeczności między dążeniem do życia doskonałego, a sprawnością życiową tych, którzy się w tym celu łączą. Kuźnica nie jest dla niedołęgów, lecz dla ludzi, którzy potrafią na swe utrzymanie i na wychowanie swych dzieci zarobić pożyteczną dla ogółu pracę.

Dopiero gdy doświadczenie pokaże, że można żyć w kuźnicy zgodnie z pewnym ideałem higieny ducha i ciała, a przy tym normalnie zarabiać na utrzymanie własne i rodziny, byt kuźnicy uzyska trwale i poważne podstawy. Celu tego nie da się od razu osiągnąć, gdyż w początkach istnienia kuźnicy dużo sił i czasu trzeba będzie użyć na doświadczenia nieproduktywne, dopóki nie dobiorą się ludzie odpowiedni, związani ze sobą nierozzerwalnie i nie stworzą warunków stosownych dla swojej pracy.

Ten wstępny okres doświadczeń przygotowawczych trwać może latami, ale zawsze trzeba mieć cel przed oczyma i dążyć do utworzenia w kuźnicach warsztatów wytwórczości materialnej lub duchowej, mającej obiektywną wartość dla otoczenia.

Reguła życia w kuźnicy musi zależeć od potrzeb indywidualnych każdego uczestnika i ulegać zmianom w miarę, jak te potrzeby się zmieniają, a także zależnie od zmian w składzie uczestników kuźnicy. Ta elastyczność reguły nie wyklucza pewnych ogólnych przepisów, jak jaskie odżywianie się, wczesne wstawanie, wspólna modlitwa, zupełne wykluczenie napojów wysokowych i tytoniu. Ale życie, gdy ma być twórcze, musi rozwijać się swobodnie, więc każdy uczestnik kuźnicy będzie miał okresy odosobnienia, w których usunie się od udziału w życiu wspólnym. Główna praca duchowa uczestników kuźnicy ma polegać na zbliżeniu się do tych, którzy kuźnicą kierują, i na świadomym korzystaniu z ich bogatszego doświadczenia życiowego. Taka praca jest skuteczna tylko przy żywej inicjatywie młodszych wobec starszych i przy ciągłym zwracaniu uwagi na staranne wykonanie każdego zadania im poruczonego.

Stwarza to wielkie pole do namysłu i do ćwiczenia się w unikaniu błędów. Niezmiernie doniosłą rolę odegra tutaj ton upomnień udzielanych przez starszych i sposób, w jaki te upomnienia będą przyjmowane przez młodszych. Aby upomnienie było skuteczne, trzeba, żeby wynikało ze szczerej życzliwości upominającego i nie zdradzało niecierpliwości, gniewu ani oburzenia. Także nie warto przywiązywać nadmiernej uwagi do zaniedbań błahych, jeśli nie powtarzają się często. Częste powtarzanie błędu jakiegoś błahego staje się znaczące przez to, że zdradza zły nałóg, z którym należy energicznie walczyć.

Z drugiej strony najbardziej umiejętne upomnienia nie pomogą, gdy są niewłaściwie przyjmowane. Upominany nie powinien się obrażać, lecz być szczerze wdzięczny za upomnienie i postanowić sobie poprawę. Jeśli podstawą kierownictwa duchowego jest wzajemne zaufanie do dobrej woli kierującego i kierowanego, to wymagać musimy zupełnego wykluczenia wszelkiej podejrzliwości w tym stosunku. Obie strony radośnie pracują nad wspólnie umiłowanym celem, a wzajemnie sobie ufając winny wzajemnie sobie pomagać.

Nawet jeśli uczeń uważa jakieś upomnienia za wyjątkowo niesłuszne, więcej zyska pokornie je przyjmując, niż wszczynając dyskusje lub domagając się uniewinnienia, bo łatwiej młodszemu przyjąć nawet niezasłużone upomnienie, niż starszemu dalej upominać, gdy słuszna uwaga należycie przyjęta nie została. Starszy niech upomina wedle swego przekonania, skoro go sobie młodszy obrał za kierownika. Lepiej jest znieść kilka niesłusznych upomnień, niż wyrzec się pomocy, jaką dają słuszne upomnienia.

Obowiązkiem starszych w kuźnicy jest zawsze zwracać uwagę na przekroczenia młodszych, obowiązkiem młodszych jest z tych upomnień korzystać, jak umieją, bo tylko na takiej podstawie będą się doskonalić. W życiu kuźnicy wysiłki skierowane ku wiernej służbie Bogu bardzo zależą od tego, jak upomnienia są udzielane przez starszych i jak są przyjmowane przez młodszych. Starsi

często zaniedbują ten obowiązek przez miłość własną, aby się nie narażać na dąsy młodszych, młodzi natomiast zamiast wdzięczności czują nieusprawiedliwiony żal do starszych, gdy upomnienie im się nie podoba. Każde takie zaniedbanie obniża ton słowa i czynu w kuźnicy i oddala jej uczestników od ideału, dla którego się zjednoczyli.

Ideałem tym jest życie w wierności Bogu, w zgodzie z sobą i z otoczeniem bezpośrednim, również dążącym do tego celu. Takie życie w otoczeniu obojętnym lub nawet wrogim naszemu ideałowi byłoby bardzo utrudnione; jeśli więc w kuźnicy gromadzą się jedynie ludzie zdecydowani na ciężką pracę nad sobą, to przez wspólność celu i dążenia są już sobie pomocni i pobyt w kuźnicy jest dla nich okazją do stopniowego wyzwiania się z najgorszych wad i błędów, przez co zyskują siły do wyrobienia w sobie dzielności i rzetelności. Ale tę pracę nad sobą muszą wykonywać sami i nie powinni się spodziewać, że w tym ich ktoś wyręczy. Wszelka kontrola zewnętrzna dotyczyć może tylko czynów i ruchów spostrzegalnych, a tu chodzi o ruchy myśli i uczuć niewidzialne, którymi tylko sam człowiek pokierować może tak, aby czuł zawsze obecność Bożą.

Współzycie w kuźnicach przedstawia ogromne trudności dla samolubów i odwrotnie – samolub może bardzo utrudnić zadanie ludziom dobrej woli swą niechęcią, ufnością i niewdzięcznością. Na takie próby narażać się bezkarnie może tylko zespół doskonale się wzajemnie rozumiejących się i kochających kowali. W takim otoczeniu niejeden samolub się nawróci i przeobrazi w dzielnego i rzetelnego człowieka. Lecz kto chce podołać zadaniom, ten nie powinien przyjmować ciężarów nad siły, a współzycie z kimś niechętnych jest jednym z największych ciężarów. Więc dla utrzymania szlachetnego tonu w kuźnicy wielka roztropność w wyborze nowych uczestników jest wskazana, szczególnie w początkach bytu każdej kuźnicy.

Trzeba dobierać ludzi naprawdę gotowych do wszelkiej ofiary i do rzetelnych wysiłków, aby wytworzyć wyższy typ życia. Często pięknie piszą i mówią o wysokich aspiracjach ci, którzy dla własnej wygody i bez własnej ofiary chcieliby obcować z ludźmi lepszymi od siebie, aby ich ofiarnością wyzyskiwać. Takich trutniów, pomimo ich pięknych obietnic, strzeżmy się i nie sądźmy ludzi wedle tego, co mówią i piszą, lecz wedle tego, co robią.

W kuźnicy udział w pracy nad utrzymaniem ładu i porządku, z którego wszyscy korzystają, musi być obowiązkowy dla wszystkich, niezależnie od wysokości ofiar materialnych, jakie kto na utrzymanie kuźnicy składa. Ofiary te nie są zapłatą za otrzymane korzyści (gdyż tych korzyści, jeśli są rzeczywiste, żadne pieniądze nie opłacają), ale dowodem na to, że uczestnik ze wszystkich sił chce poprzeć sprawę, w której udział bierze. Dlatego kuźnica nie może przyjmować ludzi, którzy na pobycie w niej chcieliby robić oszczędności, a jeśli jakiś zamożny człowiek chce być przyjęty do kuźnicy, trzeba wymagać od niego, by składał ofiarę równą wydatkom, jakie w świecie na swe potrzeby lub zbytki ponosił, a nadto by chętnie pełnił wszelkie polecenia kierowników dotyczące służby współuczestnikom.

W kuźnicy bogactwo nie powinno dawać przywilejów, lecz tylko zwiększone lecz tylko zwiększone nakładać obowiązki, gdyż inaczej obecność jednego bogacza psułaby całą atmosferę kuźnicy.

Także nauka i wykształcenie nie może zwolnić nikogo w kuźnicy od służby przez pracę rąk, gdyż ta służba jest niezmiernie ważnym polem dla pracy duchowej. Ale zakres usług wymaganych od każdego będzie zależał od uznania kierowników, którzy ocenią nie tylko to, jakie usługi są dla całości wspólnego życia potrzebne, lecz także to, jakie odpowiadają siłom danego uczestnika. W takim życiu wzajemnej służby rozwija się prawdziwa dzielność, bo dzielnym nie jest ten, kto chętnie robi to, co mu się najbardziej podoba, lecz ten, kto chętnie podejmuje się zadań trudnych, do których nie przywykł.

Wyrobione w kuźnicy cnoty powinny znaleźć szersze zastosowanie i dlatego dla większości

uczestników kuźnicy pobyt w niej jest tylko czasową próbą, po której kowal wraca do świata lub tworzy nową kuźnicę. Tym się kuźnica różni od dawnych klasztorów, że nie jest stałym schronieniem dla tych, którzy uciekają od świata, by stworzyć sobie życie doskonalsze, lecz szkołą życia, z której wychodzą dzielni i rzetelni kowale, bardziej świadomi swych nieśmiertelnych celów i gotowi do walki ze światem.

Kowalstwa nie jest celem wyodrębnienie ze świata ludzi dążących do pewnej wyższej doskonałości, lecz podniesienie świata na wyższy szczebel we wszystkich stosunkach ludzkich, świadoma służba bliźnim w celu takiego przeobrażenia tych stosunków, by lepiej odpowiadały wierności Bogu, rozwój nie tylko jednostek, ale i całych narodów. Podobnie jak jednostka szlachetna podnosi swe otoczenie, także naród wierny Bogu we wszystkich dziedzinach swego życia, począwszy od rolnictwa, handlu i przemysłu aż do polityki, nauki i sztuki, podnosi ludzkość i zniewala do naśladowania inne narody.

Podobnie jak szlachetna jednostka tylko w otoczeniu podobnych do siebie jednostek może zaznać szczęścia, tak samo naród wierny Bogu może swe najistotniejsze cele osiągnąć jedynie wśród narodów również Bogu wiernych, pracujących wspólnie i zgodnie nad urzeczywistnieniem królestwa Bożego na ziemi. A zatem kowalstwo, choć jest ruchem polskim, z natury rzeczy ogarnie też inne narody, może pod inną nazwą, lecz zawsze opierając się na tym hasle naczelnym: wierność Bogu, narodowi i wodzowi uznanemu.

W tym hasle tkwi siła ogromna, przywracająca ład, harmonię, szczęście w ludzkości upadłej i zwyrodniałej, podzielonej na wrogie sobie obozy i ludy. Gdy każdy uczestnik kuźnicy będzie miał przed oczyma obraz tej ludzkości odrodzonej, dla której na miarę swych skromnych sił pracuje, wszelki wysiłek skierowany ku przełamaniu własnych złych nałogów, a budowaniu w sobie i w otoczeniu dzielności i rzetelności stanie się łatwy. Świadomość związku między naszymi wysiłkami a celem tęsknoty wieków nadaje tym wysiłkom charakter udziału w bohaterskiej walce o najwyższe dobro, dla którego warto nie tylko życie utracić, ale także to życie, jakie mamy, wytrwale uszlachetniać.

Nie ma tak ciężkiego położenia osobistego, w którym nie można by czegoś dokonać dla innych i dla odległego nawet celu odrodzenia ludzkości, gdy człowiek szuka woli Bożej i pełni ją ochoczo. A dla nas droga ku odrodzeniu ludzkości prowadzi przez odrodzenie narodu. Naród nasz, rozdarty waśniami ludzi i stronnictw, zarażony obcymi wpływami paczącymi ducha, zapominający o Bogu w pogoni za urojonymi dobrami, potrzebuje karnych legionów ludzi, którzy by się poświęcili na służbę nieustanną i dali innym wzór życia pracowitego, spokojnego wśród walk, pełnego szczęścia wśród przeciwności.

Takich ludzi można wychować w kuźnicach, gdy dobrowolnie poddadzą się kierownictwu swych wodzów, obieranych spośród najdojrzałszych duchem. Wyższość duchowa łatwo się odkrywa, gdy sami do niej darzymy, a uznanie tej wyższości, powołanie do kierownictwa środki najpewniejsze dla uskutecznienia owej wielkiej przemiany, na którą z takim upragnieniem czekają uciskane narody.

Nie wymagamy tu niczego nadzwyczajnego, niczego niemożliwego, lecz tylko tego, co jest konieczne potrzebny, co życie znakomicie ułatwia i zarazem upiększa. Hasła kowali nie są wymysłem ludzkim, lecz wszystkie opierają się wyraźnym prawie Bożym. Prawo to, głęboko wyryte w sumiennych ludzkich, jest niewątpliwie jasne dla wielu; ażeby z nich utworzyć armię, trzeba tylko, by wszyscy, którzy zrozumieli słuszność tych haseł, zaczęli je w życiu stosować bez wahania, nie dali się zrazić przeciwnościami. Nagrodę znajdą bezpośrednią w wielkiej przemianie własnego życia i w zetknięciu przyjaznym z ludźmi o tym samym przyjaznym dążeniu. Przyjaźń sług Bożych między sobą jest na ziemi najwierniejszym obrazem tego szczęścia, jakie nam gotuje

wieczne zbawienie. W duszach wiernych Bogu znajdujemy blaski natchnienia Bożego, którego uchyla zasłony wieczności.

W żadnej mowie ludzkiej nie wyrażono prawd Bożego życia piękniej i jaśniej, niż to uczynił Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Cieszkowski, Wyspiański i wielu nawet po mniejszych pisarzy. A ci, którzy widzieli ziemię narodowi obecną, pozostawali dotąd osamotnieni i ginęli na pustyni objętości ludzkiej, nie mogąc wcielić swych ideałów w życie. Nawoływali oni wszyscy do czynu z myślą zgodnego, a nie zdołali zgromadzić wokół siebie zwolenników dążeń swoich i nawet legion Mickiewicza pozostał jedynie świadectwem wielkości serca, które go pragnęło stworzyć. Wiele takich wzniosłych zamiarów spełzało na niczym, bo i nasz naród umie wskazywać na męki swych proroków.

To doprowadziło niektórych Polaków do rozpacz i zwątpienia, do naśladowania w życiu swym wzorów obcych, wreszcie nawet do tego protestu największego w ostatnim pokoleniu poety, który wołał „poezjo precz! jesteś tyranem!” Ale ten sam poeta modli się do Boga: „daj nam poczucie siły i Polskę daj nam żywą, by słowa nie spełniły nad ziemią tą szczęśliwą. Jest tle sił w narodzie, jest tyle mnogo ludzi; niechże w niech duch twój wstąpi i śpiące niech pobudzi. Niech się Królestwo stanie nie krzyża, lecz zbawienia. O daj nam, Jezu Panie, twą Polskę objawienia!”

A objawienie tej Polski, która będzie, dane nam w jasnowidzeniach naszych Wieszczów i myślicieli, wymaga naszego czynu własnego, by stało się ciałem. Czyn ten od nas zależy, nie ma przemocy, która mogła mu zapobiec. Prawdą wiekiową pozostają słowa Konrada uwięzionego: „Ludzie, każdy z was mógłby, samotny, więziony – myślą i wiarą zwać i podźwigać trony”.

Juliusz Mieroszewski Rosyjski „kompleks Polski” i obszar ULB (fragmenty)

Jeżeli dla uproszczenia obszar obejmujący Ukrainę, Litwę i Białoruś określimy literami ULB - to należy stwierdzić, że w przeszłości - a poniekąd i dziś - obszar ULB był czymś więcej niż „kością niezgody” pomiędzy Polską a Rosją. Obszar ULB determinował formę stosunków polsko-rosyjskich, skazując nas albo na imperializm, albo na satelictwo.

Jest szaleństwem przypuszczać, że poprzez uznanie problemów ULB za wewnątrzpaństwową sprawę rosyjską - Polska może wyprostować swoje stosunki z Rosją. Rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją na tych obszarach miała zawsze na celu ustalenie przewagi, a nie dobrosąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich.

Z punktu widzenia rosyjskiego, wcielenie obszarów ULB do imperium rosyjskiego jest niezbędnym warunkiem umożliwiającym zredukowanie Polski do statusu satelickiego. W perspektywie Moskwy Polska musi być satelicka w takiej czy innej formie. Historia uczy Rosjan, że Polska prawdziwie niepodległa sięgała zawsze po Wilno i Kijów i usiłowała ustalić swoją przewagę na obszarach ULB. Gdyby powyższe dążenia historyczne Polaków zostały uwiecznione powodzeniem - byłoby to równoznaczne z likwidacją pozycji imperialnej Rosji w Europie. Innymi słowy, Polska nie może być prawdziwie niepodległa, jeżeli Rosja ma zachować status imperialny w Europie.

Z polskiego punktu widzenia sprawa kształtuje się analogicznie. Szukaliśmy przewagi na obszarach ULB - czy to na drodze wojskowej, czy wysuwając plany federacyjne - ponieważ historia uczy nas, że Rosja dominująca na tych obszarach jest rywalem nie do pokonania. Z rąk zwycięskiego rywala nie można oczekiwać niczego innego prócz niewoli.

Chciałbym podkreślić dwa punkty. Po pierwsze - nie jest rzeczą możliwą dyskusję o stosunkach polsko-rosyjskich w oderwaniu od obszarów ULB, ponieważ stosunki polsko-rosyjskie były zawsze funkcją sytuacji, jaka w danym okresie historycznym panowała na tych obszarach.

Gdyby nie było Hitlera, gdyby nie było II wojny światowej, gdyby Niemcy byli pokojowo nastawionymi dobrymi Europejczykami - niepodległość Polski byłaby mimo to zagrożona ze strony Rosji, ponieważ w 20. roku odnieśliśmy zwycięstwo pod Warszawą, lecz nie pod Kijowem. Po śmierci Stalina skończyłyby się czystki i likwidowanie najlepszych oficerów sowieckiej armii, Rosja podjęłaby wyścig zbrojeniowy, który w konsekwencji Polska musiałaby przegrać. Wcześniej lub później militarna przewaga Rosji nad Polską byłaby tak znaczna, że Moskwa - z pomocą lub bez pomocy Niemiec - narzuciłaby nam swój protektorat. To po prostu leżało w kartach i nie brakowało w Polsce pisarzy politycznych, którzy z tego zdawali sobie sprawę. Adolf Bocheński, świetny publicysta, który poległ pod Anconą - zgodnie ze swą tezą, że „z tej wojny nie należy wracać” - w książce wydanej przez Jerzego Giedroycia w początkach ery „Nowych Niemiec” - kiedy jeszcze nikt w Europie nie zdawał sobie sprawy kim jest Hitler i jakie są jego plany - doradzał porozumienie z Niemcami. Celem owego porozumienia byłoby oderwanie od Rosji Ukrainy. Zawsze chodzi o Ukrainę, Litwę i Białoruś, ponieważ sytuacja na tych obszarach determinuje stosunki polsko-rosyjskie.

I punkt drugi. Wydaje mi się, że o ile Rosjanie Ukraińców nigdy nie doceniali i nie doceniają ich nadal - o tyle zawsze przeceniali i nadal przeceniają Polaków. Widzą nas zawsze jako rywali aktywnych lub tylko potencjalnych - niemniej zawsze jako rywali. Chruszczow zezwolił wprawdzie na wywiezienie Panoramy Raławickiej ze Lwowa, lecz równocześnie odradzał kategorycznie udostępnienie Panoramy polskiej publiczności. Uważał bowiem, że Panorama Raławicka

przypominać będzie Polakom zbrojne powstanie przeciwko Rosji. Słynny epizod z wystawieniem Mickiewiczowskich Dziadów był na tym samym tle.

Oczywiście „wydarzenia grudniowe” na wielką skalę wydają mi się daleko bardziej prawdopodobne w Polsce niż wybuch zbrojnego powstania przeciwko Rosji. Na emigracji nie ma ani jednego polityka, który by nawoływał Polaków w Kraju do powstania. Natomiast Rosjanie boją się nie tyle społecznej rewolucji w Polsce, ile narodowego powstania. Wierzą również, że rewolucja robotnicza zmierzająca do obalenia partyjnego przywódcy i jego reżimu - zatraciłaby w przeciągu kilku dni cechy gospodarczo-społeczne i przekształciłaby się w ogólnonarodową rewoltę przeciw Rosji.

Musimy również pamiętać, że Polacy, a nie Rosjanie przeżyli szok Powstania Warszawskiego, szok porzucenia Polski przez sojuszników zachodnich, szok okupacji kraju przez wojska sowieckie. Wojnę przegraliśmy totalnie, ponieważ nie ostał się nawet skrawek niepodległej Rzeczypospolitej. Runęła w gruzy nasza tradycyjna koncepcja Polski jako bastionu cywilizacji zachodniej. Zostaliśmy zdradzeni przez naszą własną historię, której budowaliśmy ołtarze, w malarstwie, w muzyce. Dokonaliśmy najstraszniejszego odkrycia, jakie naród może dokonać, a mianowicie, że Historia jest brulionem zapisków z „martwego domu” a nie żywą przeszłością potwierdzającą się w teraźniejszości. W takich warunkach Polakowi trudno było nie stać się historycznym rewizjonistą. Nie dziwota, że nawet pisarze katolicy i niekomuniści, odzégnujący się nawet od socjalizmu - na gruzach „egzotycznych sojuszków” - głosili pogląd, że sojusz ze Związkiem Sowieckim stanowić musi kamień węgielny polskiej polityki. Była to świadoma rezygnacja z postawy rywala i przyjęcie postawy wasala. Natomiast musimy pamiętać, że owe traumatyczne doświadczenia były często jednostronne i dotyczyły tylko Polaków, a nie Rosjan.

Nie ma przedmiotu, który określa się optymistycznie mianem „historii powszechnej”. Nie tylko nie ma historii powszechnej, ale nie ma nawet historii europejskiej. Istnieją tylko historie polska, rosyjska, francuska, niemiecka itd. Bitwa pod Wiedniem z królem Sobieskim na pierwszym planie widziana przez historię polską mało przypomina bitwę pod Wiedniem w przekazie historii niemieckiej.

Historia jest w biegu zatrzymaną polityką. Dlatego pisarz polityczny musi umieć patrzeć na historię z lotu ptaka. W interesującym nas przedmiocie polityk musi umieć spojrzeć na ciąg wydarzeń zarówno oczami Polaka, jak i oczami Rosjanina. Polityka jest bowiem dalszym ciągiem historii i nie można zrozumieć polityki rosyjskiej, nie rozumiejąc, jak Rosjanie odczytują historię. Naród polski odgrywał zawsze poważną rolę w historii rosyjskiej i jest rzeczą niezbędną, byśmy dokładnie poznali perspektywy, poprzez które Rosjanie na nas patrzą.

Sytuacja w końcowym okresie drugiej wojny światowej przypominała sytuację po bitwie pod Jeną. Napoleon panował nad całą Europą i nie pobite zostały tylko dwa państwa, to jest Rosja i Anglia. Napoleon był w Moskwie - Hitler był na przedmieściach Moskwy. W obu wypadkach głównymi sprzymierzeńcami Rosjan były klimat i przestrzeń. Na ludzi z zachodniej i środkowej Europy przestrzenie rosyjskie wywierają wpływ trudny do opisanego. We Francji czy w Niemczech sto kilometrów to jest ogromna odległość - w Rosji sto kilometrów to jest nic. W pamiętniku jednego z niemieckich oficerów natknąłem się na określenie, że Rosja jest krajem bez horyzontu. Za widnokretem, jak się do niego dotrze, są nowe pola, wzgórza i rzeki - a za nowym widnokretem są znowu pola, wzgórza i rzeki i tak bez końca, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Cytowany oficer pisze, że nawet lecąc, po wielu tygodniach marszu, owa nie kończąca się nigdy przestrzeń rosyjska w najtwardszym człowieku wywołuje w końcu poczucie bezsilności.

Rosjanie ponieśli ogromne straty. Lecz historia ich nie zdradziła - to znaczy współczesność potwierdziła przeszłość. Armie Hitlera podobnie jak armie Napoleona zmożone klimatem i przestrzenią rosyjską zostały pobite i odepchnięte daleko poza granice imperium rosyjskiego.

W Polsce przewrót technologiczny - lotnictwo i czołgi - wytrącił nam z ręki tradycyjną naszą broń, to jest kawalerię. Mieliśmy niewątpliwie najlepszą kawalerię w Europie, ale w naszym wypadku współczesność nie potwierdziła historii. Przeciwnie, tradycja okazała się bezzębną staruszką wobec zmotoryzowanych kolumn pancernych, które powaliły nas w przeciągu 17 dni.

Wszystko, co powyżej napisałem, ma na celu zilustrować fakt, że historia nie zdradziła Rosji, lecz przeciwnie, potwierdziła tradycyjne rosyjskie założenia. W rezultacie Rosjanie - w przeciwieństwie do Polaków - uważają, że od czasów bitwy pod Jeną nic się nie zmieniło. Rosja ma inny ustrój, lecz jak dawniej jest imperialna i niepokonana. Z naszego polskiego świata wypadło dno - jakby to obrazowo powiedziało się po angielsku. Lecz z rosyjskiego świata rewolucja nie wybiła dna, ponieważ Rosja jest i pozostała historycznie identyczna, to znaczy imperialistyczna i zaborcza.

Weźmy jeszcze inny przykład. Rewolucja i klęska, które nastąpiły w imperium otomańskim w rezultacie pierwszej wojny światowej - pozbawiły Turcję jej historycznej identyczności. Turcja przestała być mocarstwem imperialnym. W konsekwencji współcześni Turcy myślą zupełnie inaczej, niż myśleli ich dziadowie i pradziadowie jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Natomiast rewolucja październikowa nie odebrała Rosji jej imperium i nie zmieniła na jotę rosyjskiej historycznej dyspozycji. Stalin po drugiej wojnie światowej zachowywał się i działał jak car i samodzielnawca Wszechrosji - symbol i reprezentant imperialnej idei rosyjskiej.

Wszyscy o tym wiemy, natomiast niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że ów rosyjski historyczny konserwatyzm obejmuje również ocenę Polski i Polaków. Litwinow mówił o odbudowie polskiego imperium z XVI i XVII wieku, co nam wydaje się komiczne, lecz dla Litwinowa - w przeciwieństwie do nas - wiek dwudziesty był dalszym ciągiem XVI i XVII wieku z tą samą tradycyjną problematyką, nie wyłączając problematyki polskiej. Podobnie jak carowie, Stalin, Litwinow i Breżniew uważali i uważają, że na obszarach Ukrainy, Litwy i Białorusi mogą panować albo Polacy, albo Rosjanie. Nie ma historycznego trzeciego rozwiązania - istnieje tylko wybór pomiędzy imperializmem polskim a rosyjskim.

Rosjanie nas przeceniają, ponieważ patrzą na nas z rosyjskiej historycznej perspektywy. Polacy natomiast - choć są dumni, a częściej jeszcze sentymentalni, na temat swej przeszłości historycznej - uważają jednocześnie, że owa imperialna chwala nie ma nic wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością.

Zachowujemy się tak jak szlachcic, który stracił swój majątek. Niedołężna gospodarka, przeciwności losu, a przede wszystkim zły sąsiad - wszystko to sprawiło, że utraciliśmy „majątek”, który się nam należał zgodnie z prawem boskim i ludzkim. Pocieszamy się jednak, że „sprawiedliwość dziejowa” ukarała Ukraińców, Litwinów i Białorusinów, bo dobrych panów polskich zamienili na złych panów sowieckich.

Przez trzysta lat mieliśmy przewagę na Wschodzie. Jeżeli pokój Grzymułtowskiego uznać za punkt zwrotny w dziejach stosunków polsko-rosyjskich - należy stwierdzić, że obecnie Rosja od 300 lat ma przewagę na Wschodzie. Owa „alternatywność” - albo my, albo oni - uniemożliwia znormalizowanie stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Owa „alternatywność” powoduje, że Polacy podobnie jak Rosjanie - nie wierzą w trzecie rozwiązanie i ponieważ tertium non datur - akceptujemy satelictwo jako ponury, lecz aktualny stan rzeczy. W systemie „albo my, albo oni” tym razem na wierzchu są oni.

Jest jednak różnica pomiędzy Polakami a Rosjanami. Przewagę Rosjan potwierdziła Historia. Natomiast nasze walki, powstania, nawet zwycięstwa - Historia obróciła wniwecz. Trzymamy się systemu „albo my, albo oni”, bo nie znamy i nie mamy innego systemu. Lecz większość Polaków nie wierzy już w ten system, nie wierzy, byśmy kiedykolwiek mogli zdobyć przewagę nad Rosją.

Dziekiem owej niewiary jest mentalność satelicka i serwilizm.

Ja również nie wierzę w system „albo my, albo oni” - nie wierzę, byśmy byli kiedykolwiek w możliwości odepchnąć Rosję z rogatek Przemyśla pod Smoleńsk. Uważam również, że system powyższy - choć głęboko historycznie zakorzeniony - jest dziś anachronizmem, barbarzyńskim anachronizmem. Ukraińcy, Litwini i Białorusini w dwudziestym wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej.

(„Kultura” 1974, nr 9 (324))

Jarosław Moklak

Łemkowie w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919

W listopadzie 1918 r. doszło do wojny polsko-ukraińskiej, której głównym teatrem działań bojowych był obszar Galicji Wschodniej. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy nie wyobrażali sobie wówczas własnych państw bez Lwowa, Przemyśla czy Sanoka. Ówczesna polska myśl polityczna wyrastała z tradycji Rzeczypospolitej Obojga Narodów i walk powstańczych w okresie zaborów. Prawo Polaków do tych ziem uważano za naturalne i historycznie uzasadnione. Odradzające się państwo polskie spotkało się jednak z silnym przeciwdziałaniem ze strony Ukraińców. Była to wojna dwóch narodów, z których żaden nie chciał rezygnować z własnych obszarów etnicznych. Polacy zamieszkiwali głównie miasta, które odgrywały znaczną rolę w rozwoju kultury polskiej, a Ukraińcy, przeważnie ludność chłopska, zamieszkiwali także część Galicji Zachodniej - obszar Karpat ciągnący się na zachód od Sanu, zamieszkiwany przez ukraińskie grupy etnograficzne Bojków i Łemków.

Wybuch wojny polsko-ukraińskiej zastał Łemków podzielonych. Od schyłku XIX w. Łemkowszczyzna była terenem rywalizacji pomiędzy ukraińskim ruchem narodowym a ruchem prorosyjskim (moskwofilstwem), który od czasu ugody polsko-ukraińskiej z 1890 r. tracił wpływy w Galicji Wschodniej. Znaczną rolę odgrywali także tzw. starorusini, którzy identyfikowali się z tradycjami ruskimi, lecz odrzucali zarówno ideę ukraińską jak i rosyjską. Ośrodki ruchu narodowego i prorosyjskiego sąsiadowały ze sobą zarówno w Sanockiem, jak i Nowosądeckiem. Dopiero wydarzenia wojenne przyspieszyły polaryzację stanowisk, prowadząc do przewagi nurtu ukraińskiego we wschodniej części kraju i prorosyjskiego w zachodniej jego części.

Rozbieżność myśli politycznej wśród działaczy łemkowskich na wschodzie i na zachodzie wynikała z odmiennych uwarunkowań politycznych. Region sanocki ciążył do Lwowa gospodarczo, kulturalnie i politycznie. Stąd łatwe przenikanie idei ukraińskiej na ten teren i aktywny udział Sanoczczyzny w wojnie polsko-ukraińskiej. Słuszne Wydaje się przypuszczenie, że właśnie wojna zdecydowała tam o ostatecznej przewadze ruchu ukraińskiego nad moskwofilstwem. świadczy o tym zaistnienie tzw. Republiki Wisłockiej, zwanej także Komańczańską. Inaczej potoczyły się losy polityczne Łemkowszczyzny zachodniej, gdzie długo utrzymywały się wpływy staroruskie. Nastroje te przyczyniły się do powstania tzw. Republiki Floryńskiej.

Powiększ - 39 kBBezpośredni wpływ na powstanie wymienionych republik miały wydarzenia wojenne lat 1914 - 1917. Łemkowie walczyli na różnych frontach wojny; z różnych powodów losy rozrzuciły ich po Europie. W 1917 r. wracali do swych domów żołnierze, więźniowie i

przesiedleńcy, przywołując doświadczenia nabyte poza ojczyzną. Niekiedy umacniały one poglądy sprzed wojny, w innych przypadkach weryfikowały je, powodując przechodzenie na przeciwstawne pozycje. Powracający z Rosji, którzy zetknęli się z "prawdziwymi Moskałami", często odrzucali poglądy o rosyjskim pochodzeniu Łemków. Natomiast powracający z austriackich obozów koncentracyjnych jeszcze mocniej utwierdzali się w przekonaniu o słuszności kontynuowania koncepcji prorosyjskiej. Ożywienie nastrojów politycznych sięgnęło szczytu, gdy rozeszła się wieść o upadku Austro-Węgier i wybuchu wojny polsko-ukraińskiej.

Ogłoszenie we Lwowie powstania Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (Zachidno-Ukrajńska Narodna Respublika - ZUNR) odbiło się echem na całej Łemkowszczyźnie. Już w pierwszych dniach listopada 1918 utworzono Ukraińską Radę Narodową dla powiatu sanockiego. Ze względu na stacjonowanie w Sanoku wojska polskiego na siedzibę Rady wybrano Wisłok Wielki. Akcję tę zapoczątkował greckokatolicki proboszcz Wisłoka, ks. Pantelejmon Szpylka wraz z proboszczem Wisłoka Niżnego, ks. Mychajłą Tesłą. Na wieść o wybuchu walk, 4 listopada zwołali oni wiec w Wisłoku Wielkim na którym publicznie odczytano wydrukowaną w "Dile" (poczytny lwowski dziennik ukraiński) odezwę Ukraińskiej Rady Narodowej we Lwowie, proklamującą powstanie państwa zachodnioukraińskiego. Następnego dnia w zebraniu w Wisłoku Niżnym uczestniczyło 70 przedstawicieli z okolicznych miejscowości (po dwóch z każdej). Wybrano wówczas skład Rady Wisłockiej, która do końca 1918 r. objęła ponad 35 wsi.

W skład zarządu Rady, obok przewodniczącego ks. Szpylki, wchodził: Teodor Szpylka (brat Pantelejmona) - stanął na czele organu wykonawczego; Hryhorij Sudomyr z Wisłoka Niżnego - nauczyciel, aktywny w administracji i rozbudowie szkolnictwa ukraińskiego; Andrij Kyr z Komańczy - kupiec, były oficer austriacki, odpowiedzialny za organizację milicji; Iwan Kuciła (rodem z Kołomyi) - sędzia, zajmował się sprawami sądownictwa "w imieniu Republiki Ukraińskiej"; ks. Mychajło Kril z Prełuk i ks. Iwan Kowalczyń z Puław. Rada powstała jako forma samorządu i samoobrony miejscowych Ukraińców. W celu utrzymania bezpieczeństwa publicznego utworzyła milicję, która składała się z jednego mężczyzny z każdego gospodarstwa.

Dużą wagę przywiązywano do kadry dowódczej i uzbrojenia. Celem militarnym i politycznym było zdobycie i utrzymanie Sanoka. Rada zabiegała u władz lokalnych ZUNR w Stryju i Baligródzie o pomoc, która jednak nie była wystarczająca. Ośrodki te same borykały się z różnymi trudnościami. Na początku grudnia, na ostatniej naradzie Rady w Komańczy zdecydowano wysłać posłów (ks. Szpylkę i studenta Nazarewycza) do Węgier w celu odnalezienia obozu zdemobilizowanych z armii austriackiej oficerów ukraińskich. Przy pomocy Jarosława Biberowycza, przedstawiciela ZUNR w Budapeszcie, pozyskano wówczas dwunastu podoficerów i pomoc finansową w wysokości 10 tys. koron austriackich. Jednak plan szturm na Sanok został odrzucony przez ks. Szpylkę, który uważał, że siły Rady wisłockiej są zbyt szczupłe do utrzymania tego miasta.

Działania wojenne przeciwko oddziałom polskim prowadzono głównie na odcinku linii kolejowej Komańcza - Zagórz. Obie strony dysponowały pociągami pancernymi. Były to jednakże pociągi bardzo słabo opancerzone. W styczniu 1919 r. oddziały polskie utworzone na bazie zmilitaryzowanych kolejarzy zagórzzańskich przeprowadziły ofensywę w kierunku Komańczy, likwidując Ukraińską Radę Narodową dla powiatu sanockiego. Reakcja strony polskiej miała charakter represyjno-pacyfikacyjny. Niektórzy przywódcy Rady zginęli w boju, wielu aresztowano i uwięziono. Zabudowania należące do niektórych z nich zostały spalone. Sam ks. Szpylka uniknął represji ponieważ w czasie szturm na Wisłok przebywał w Medzilaborcach na Słowacji. Pomimo krótkotrwałego istnienia Rada Wisłocka pozostawiła trwałe ślad w świadomości Łemków tego regionu, przyczyniając się do dalszego wzrostu idei ukraińskiej, budowanej wówczas na wrogości wobec strony zwycięskiej, tj. Polski.

Nastroje proukraińskie uzewnętrzniły się także w zachodnich regionach Łemkowszczyzny, lecz nie doprowadziły do uzyskania tam przewagi przez narodowców. W miejscowościach powiatów: nowosądeckiego, gorlickiego i jasielskiego organizowano wiece, na których dochodziło do wymiany opinii pomiędzy zwolennikami połączenia Łemkowszczyzny z ZUNR i przeciwnikami tej koncepcji. 17 listopada 1918 odbył się wiec w świątkowej Wielkiej, na którym aktywista orientacji prorosyjskiej Dmytro Sobin ostro wystąpił przeciwko włączeniu Łemkowszczyzny do państwa zachodnioukraińskiego.

Przeciwnicy idei ukraińskiej strategię działania omówili na naradzie politycznej w świątkowej 21 listopada. Kilkanaście dni później na wiecu w Gładyszowie przeforsowali uchwałę, że Łemkowszczyzna może należeć tylko do Rosji. Wiec powołał do życia Radę (Russka Rada) z siedzibą w Gładyszowie, która jako pierwszoplanowy cel postawiła przeprowadzenie zbiórki pieniężnej na pokrycie kosztów podróży swego delegata na konferencję pokojową w Paryżu. W skład Rady miało wchodzić po pięciu członków z każdej wsi. Niektóre źródła nazywają powołaną w Gładyszowie Radę "Republiką Gładyszowską". Przewodnoczącym wybrano księdza greckokatolickiego z Czarnego - Mychajłę Jurczakewycza, znanego z agitacji proprawosławnej wśród Łemków przed wojną i podczas okupacji rosyjskiej.

Z wystąpień moskwofilów łemkowskich na wiecach lokalnych (np. w Gładyszowie) wynikało, że ich program polityczny nie został jasno określony. Jeden z mówców wyraził pogląd, że jeżeli przyłączenie Łemkowszczyzny do Rosji nie będzie możliwe, należy przyłączyć ją do Bukowiny lub Serbii (!). Rada gładyszowska podjęła szereg uchwał dotyczących organizacji życia społecznego, np. usunięcia ukraińskich księży z Łemkowszczyzny i wprowadzenia języka rosyjskiego w szkołach.

Decyzje podjęte w Gładyszowie spotkały się ze znacznym poparciem w okolicznych wsiach, niemniej w niektórych zdarzały się protesty przeciwko narzucaniu ludności kierunku prorosyjskiego. Nastroje ukraińskie panowały między innymi w takich miejscowościach jak: Grab, Małastów, Pętna, Muszyna. Już podczas wiecu w Gładyszowie przedstawiciel Grabu Petro Kytczak, wystąpił przeciwko związkowi Łemkowszczyzny z Rosją. Kytczak odegrał ważną rolę w utrzymaniu proukraińskich nastrojów w Grabiu i Ożennej, wsiach, które odmówiły wysłania swych delegatów do Rady gładyszowskiej i zmanifestowały poparcie dla ZUNR. W miejscowościach tych utworzono milicję ukraińską.

W listopadzie 1918 r. wiece organizowano również w powiatach: nowosądeckim i grybowskim. Przygotowały one grunt pod zjazd delegatów poszczególnych wsi do Florynki, który odbył się 5 grudnia tego roku i wyłonił Radę (Russka Rada) na czele z Jarosławem Kaczmarczykiem, adwokatem w Muszynie (w latach 20. przeszedł na stronę ukraińską). Na kolejnym zgromadzeniu we Florynce 12 marca 1919 uchwalono przyłączenie Łemkowszczyzny do Rosji, nie precyzując czy chodzi o Rosję białą, czy bolszewicką. Utworzono wówczas Russkij Uriad (rząd), w skład którego weszli: J. Kaczmarczyk, ks. Dmytro Chylak z Izb, Mykoła Gromosiak z Krynicy i ks. Wasyl Kuryłło z Florynki. Organ ten zamierzał przejąć kontrolę nad życiem społecznym i politycznym Łemkowszczyzny zachodniej.

Wobec upadku Rosji carskiej w 1917 r. traciła na aktualności dotychczasowa koncepcja moskwofilska. W miarę stabilizacji życia politycznego w etnicznie polskich rejonach, organy administracji polskiej sukcesywnie obejmowały swym zasięgiem wsie łemkowskie. W poszukiwaniu drogi uniezależnienia się od Polski Łemkowie rozwinęli orientację proczechosłowacką, co przyszło tym łatwiej, że czechofilstwo zdołało już wcześniej umocnić się wśród Rusinów na Słowacji i Ukrainie Zakarpackiej.

W grudniu 1918 r. proukraińska Russka Narodna Rada w Preszowie, pod wpływem Antona Beskyda,

byłego posła do parlamentu budapesztańskiego najpierw zmieniła orientację na prorosyjską, a następnie na kongresie w Koszycach stanęła na gruncie czechofilskim. Pod wpływem Beskyda, utrzymującego bliskie stosunki z politykami czechosłowackimi, podjęto w Koszycach uchwałę o przyłączeniu Ukrainy Zakarpackiej do Czechosłowacji, co potwierdzono w Preszowie 7 stycznia 1919. Koncepcja ta znalazła orędowników wśród części emigracji w USA na czele z Hryhorem Żatkowyczem.

W otoczeniu Beskyda znalazło się kilku działaczy łemkowskich, np. Dmytro Wisłoćkyj z Łabowej, publicysta, wówczas redaktor "Gołosu Russkago Naroda" - organu Rady preszowskiej. Rychło doszło do nawiązania współpracy pomiędzy Radami łemkowskimi a Radą w Preszowie. O wzmożonej proczechosłowackiej działalności agitacyjnej na łemkowszczyźnie donosiły meldunki policyjne do urzędów starościńskich. Projekt przyłączenia łemkowszczyzny do Czechosłowacji propagowała publicystyka, a co ważniejsze, został zawarty w memorandum do rządu w Pradze i do Konferencji Pokojowej. W tej sprawie Beskyd nie uzyskał jednak poparcia ani ministra Benesza ani Żatkowycza, przeciwnych ekspansji Czechosłowacji za Karpaty.

Władze polskie początkowo biernie przyglądały się aktywności politycznej Łemków, nie przywiązując większego niebezpieczeństwa do ich planów proukraińskich, ani tym bardziej prorosyjskich. Dopiero pojawienie się tendencji czechofilskich wywołało w kołach administracji państwowej zaniepokojenie. łemkowszczyzna na całym swym południowym odcinku przylegała do nowo utworzonej Czechosłowacji. Ponadto południowy stok Karpat zamieszkały był również przez Rusinów. Jedni i drudzy mówili gwarami tego samego języka i poza nielicznymi wyjątkami byli wyznawcami tego samego Kościoła. Czechofilstwo wśród Łemków, w przeciwieństwie do moskwofilstwa, uznane zostało za niebezpieczne dla państwa polskiego i wywołało reakcje policyjne. Protestowała także ludność polska Nowosądecczyzny.

Reakcja strony polskiej, podobnie jak miało to miejsce na wschodzie regionu, doprowadziła do pacyfikacji łemkowszczyzny zachodniej. Aresztowano czołowych działaczy i roztoczono ścisłą inwigilację nad pozostającymi na wolności aktywistami. Ostatnim echem wydarzeń przełomu lat 1918 i 1919 była rozprawa sądowa nad członkami Rady we Florynce (Kaczmarczykiem, Chylakiem, Gromosiakiem), która odbyła się 10 czerwca 1921 przed Sądem Okręgowym w Nowym Sączu. Oskarżonych bronili adwokaci: Wołodymyr Zahajkewycz i Kyryło Czerlunczakewycz z Przemyśla oraz Łew Hankewycz ze Lwowa. Obrona skutecznie operowała argumentem wziętym z dyplomacji amerykańskiej twierdząc, że oskarżeni działali opierając się na zasadach wilsonowskich. Po całodzienniej rozprawie sędziowie wydali wyrok uniewinniający dla wszystkich oskarżonych. Po półrocznym pobycie w areszcie zostali oni uwolnieni i późną nocą wraz z obrońcami odjechali do Binczarowej, gdzie byli gośćmi ks. Teofila Kaczmarczyka, ojca jednego z oskarżonych. Ł. Hankewycz, Ukrainiec, wspominał że "za wspólnym stołem zasiedli moskwofile i Ukraińcy i w największej harmonii radzili o doli łemkowszczyzny".

Zaistnienie tzw. Republik łemkowskich należy uznać za pierwsze wystąpienia polityczne Łemków. Wyrażały one chęć uczestniczenia w budowaniu przyszłości regionu na bazie kultywowanych przez stulecia tradycji rusko-bizantyńskich. O politycznym znaczeniu obu ośrodków świadczy reakcja strony polskiej, która zarówno w ruchu ukraińskim jak i czechofilstwie dostrzegła zagrożenie dla państwowości polskiej. Przegrana Łemków szła w parze z klęską ZUNR, niemniej tradycje z okresu republik zaciążyły na postawach politycznych ludności łemkowskiej w okresie późniejszych i są widoczne w życiu współczesnych Łemków.

Sergiusz Piasecki Siedem pigulek Lucyfera (fragment)

Zył sobie spokojnie w Piekło bardzo sympatyczny diabeł Marek. Lubili go wszyscy, nawet grzesznicy, których gotował w kotłach ze smołą, bo nigdy nie dokuczał im złośliwie, tylko sumiennie i umiejętnie spełniał swe obowiązki. I trzeba pecha, że jego właśnie spotkała wielka przykrość, która zepsuła Markowi normalną karierę służbową i omal nie spowodowała wyrzucenia go z Piekła na zawsze.

Dyżurny szatan udzielił mu instrukcji i wyszedł z oddziału. Marek obszedł olbrzymią, ponurą salę, rozwidnianą błyskami płomieni spod kotłów. Oddział ten był szczególnie ważny, „dyktatorski”, przeznaczony dla wyjątkowo krwawych katów ludzi na Ziemi. Gotowano tam w 33 kotłach 99 grzeszników. Byli wśród nich: Herod, Neron, Iwan Groźny, Suworow, Murawiew-Wieszadeł... Jeden kocioł — pojedynczy — z setnym klientem kotłowni stał osobno. Miał na sobie swastykę. Gotował się w nim, naturalnie, Hitler... Kilka kotłów pustych stało z boku, oczekując na przyjęcie następnych lokatorów kotłowni, którzy nie skończyli jeszcze swej działalności na Ziemi. Na jednym z nich — też pojedynczym — pięknie lśniła czerwona rękawica. Z godłem rękawicy było kilka zajętych kotłów w szeregu.

Marek sprawdził temperaturę we wszystkich kotłach. Gdzie było trzeba, dorzucił do ognia węgli i usiadł przy stoliku u wejścia na salę. Zapalił czerwoną lampkę i rozwinął dziennik „Czarcia Prawda”. Przez pewien czas z zainteresowaniem czytał sprawozdania zagranicznych korespondentów z terenu Wszeczeństwa, potem zaczął drzemać. Omal nie usnął, lecz porwał się na nogi i znów obszedł kotły, podsycając ogień pod nimi.

Co pewien czas Marek spoglądał na duży zegar ścienny, wiszący naprzeciw wejścia do kotłowni. Znów siadał do stolika i znów zabierał się do gazety. Z zainteresowaniem przeczytał oferty matrymonialne. Szczególnie ostatnią: Wiedźma lat 45: ognista, przystojna, wszechstronnie owłosiona, lubiąca dzieci i rolmopsy, posiadająca duży kapitał bezczelności, szuka towarzysza życia, tych samych walorów, w wieku od 50 do 500. Łaskawe oferty proszę kierować do Wydawnictwa pod Box No.00.

Marek westchnął: „Szkoda, że jestem dla niej za młody!”

Rozpłynął się w marzeniach o damskim towarzystwie i znów omal nie usnął. Ocknął się. Spojrzał na zegar:

— Lucyferze, dopiero trzecia!

Zaczął obchodzić kotłownię. Miał dyżurować do 8 rano. Co prawda opinia diabelska domagała się 36-godzinnego tygodnia pracy, lecz w związku z kryzysem opałowym zeszłej zimy i odkomenderowaniem znacznej liczby diabłów do pracy w górnictwie, Lucyfer nie podpisał uchwały Izby Diabłów, zatwierdzonej już przez Izbę Szatanów.

Wszystko było w porządku. Ogień grał pod 33 kotłami. Grzesznicy jęczeli z bólu w gorącej smołe. Marek znów usiadł do stolika, spojrzął na zegar, na kocioł ze swastyką i... usnął. A marzenia miał tak miłe, że się uśmiechał, a nawet oblizywał przez sen. Przyśniło mu się, że główny szatan przedstawił go do tytułu „bohatera Związku Piekielnego” i do gwiazdy Lucyfera z pogrzebacami. Marek przyjmował, zawistnie naturalnie, gratulacje kolegów po fachu i dumnie wypinał włochatą pierś, na której lśniło wysokie odznaczenie. I w tej właśnie, tak wzniosłej chwili ktoś bardzo niedelikatnie zamalował go pięścią w mordę.

Diabeł porwał się na nogi i z przerażeniem zobaczył przed sobą głównego szatana, który dopiero co — dekorując Marka orderem — ogniście go pocałował. Za nim — jak akt oskarżenia — dyndał zegar, którego wskazówki flegmatycznie miały 8 godzinę.

— Cóżś narobił, diable podły! Spałeś na dyżurze, a ogień pod kotłami zgasł!

Marek tak się przeraził popelnioną zbrodnią, że zemdłał. Wynikła straszna awantura. Połowa grzeszników — odzwyczajonych od niskiej temperatury smoły w kotłach — zachorowała na zapalenie płuc i poumierała. Najwytrzymalsi okazali się ci, co nie tak dawno trafili do kotłów. Natomiast starzy klienci jak: Herod, Neron — umarli w tymże dniu.

Główny szatan, ze strachem wielkim, zameldował o zajściu w kotłowni nr 13 Lucyferowi.

—Ilu zdechło? — spytał władca Piekieł.

—Pięćdziesięciu, księżycu.

—Hitler żyje?

—Żyje, lecz dostał brunatnej febry, księżycu.

—To u niego dziedziczne. A jak tam ci, co siedzą w kotłach z godłem rękawicy?

—Też żyją, lecz chorują na czerwonkę, księżycu.

—To chroniczne. Głupstwo. A kto dokonał tej zbrodni?

—Kwalifikowany diabeł 9 kategorii, Marek, księżycu.

—Dać mi go o godzinie 12 w nocy do raportu karnego!

—Oj — jej! — przeraził się losem Marka nawet główny szatan, lecz posłusznie trzasnął kopytami:

—Tak jest, wodzu usmolonych!

Nazajutrz Marek miał szczęście, przepraszam: nieszczęście, po raz pierwszy w życiu zobaczyć Lucyfera, bo dotąd mógł oglądać jedynie licznie rozwieszone po Piekle jego portrety. Władca Piekieł siedział na wspaniałym tronie ze złota, kości i czaszek ludzkich, przez największych artystów Związku Piekielnego wykonanym. Miał złote widły i bat w rękach. Dokoła niego falowały barwne płomienie, z których co chwila wylaniały się to ogniste oczy, to potężne rogi, to czerwone kły. Marek, kopnięty silnie w tyłek przez marszałka piekielnych ceremonii, na czworakach wjechał aż na środek sali audiencyjnej. Skurczył się z przerażenia i dygotał. To nieco zmiękczyło Lucyfera.

—Przyznajesz się do winy? — zagrzmiało po Piekle.

—Tak jest, ojczulku kochany... Do wszystkiego się przyznaję... Ja niegodny Związku Piekielnego diabeł od dawna to planowałem, namówiony przez agentów z Ziemi... — zalewając się łzami nieprzytomnie bełkotał Marek.

Znów rozległ się głos Lucyfera:

— Chciałem za karę wyrzucić cię na zawsze z Piekieł na Ziemię. Ale widząc twą skruchę, diable głupi, pošlę cię tam tylko na rok. Masz mi znaleźć tam 50 nowych grzeszników do pustych kotłów! Jeśli to uczynisz, wezmę cię z powrotem i zostaniesz odznaczony „gwiazdą Lucyfera I klasy”.

Marek z zachwytem poczołgał się ku tronowi Lucyfera, aby cmoknąć go w kopyto, lecz opalił pysk o płomienie, otaczające władcę. To jeszcze więcej zmiękczyło Lucyfera.

— Dać tu komisarza informacji i propagandy — rozkazał wódz czartów.

Wnet się zjawił przed obliczem władcy wysoki dygnitarz piekielny.

—Jestem, wodzu i nauczycielu rogatych!

—W jakim państwie na Ziemi jest największa wolność i dobrobyt?

—Według ostatnich wiadomości „Prawdy”, ojczulku włochaty, największa wolność i dobrobyt, poza Rosją, są w Polsce, a największa nędza i niewola w Anglii i Ameryce, obrońco ogoniastych.

—Wyrzucić go do Polski na rok. Dać instrukcje, pouczyć, wyposażać w 7 pigułek specjalnych dla delegatów z Piekła na Ziemię. Precz, dranie!

—Rozkaz, księżycu.

W ciągu 24 godzin Marka przygotowano do podróży na Ziemię. Zrobiono mu manicure, pedicure, ogolono pysk, opalono sierść na ciele, dobrze ubrano, obcięto rogi i amputowano ogon. Wyglądał na bardzo przystojnego obywatela, lat około czterdziestu, o lśniących zębach, ognistych oczach i śniadej cerze. Szatan administracyjny wydał mu diety na 5 dni, w sumie 5 dolarów, i próbówkę z 7 pigułkami różnych kolorów. Jednocześnie pouczył go:

—Tę białą połkniesz po przybyciu na Ziemię. Staniesz się człowiekiem i będziesz mówił wszystkimi językami. Czarną połkniesz 1 maja 1946 roku, najpóźniej do godziny 12 w południe, aby wrócić do Piekła. Inne: tylko w miarę potrzeby, według napisów na nich. Zrozumiałeś?

—Tak jest, towarzyszu marszałku!

—Wyrzucić go na Ziemię, do Polski, punktualnie o godzinie 1 w nocy, 1 maja! To znaczy: dziś w nocy

— wydał rozkaz szatan administracyjny kierownikowi komunikacji międzyplanetarnej.

A nazajutrz radio i prasa tanganajskie ogłosiły następujący komunikat:

„Niejednokrotnie już zauważono przelatujące nad terenem Tanganajki pociski rakietowe. Wczorajszej nocy, o godzinie pierwszej, również dostrzeżono taki pocisk, który mknął z wielką szybkością z zachodu na wschód. Te tryki pacholków kapitalistycznych, w dniu święta czarnoskórych całego swata, nie zastraszą tanganajskiej partii czarnej nocy, której wspaniałe osiągnięcia w kierunku rozwoju Tanganajki i dobrobytu oraz wolności mas pracujących są solą w oku faszystowskich rządów międzynarodowej plutokracji”.

Jan Słomka Pamiętniki włościanina

Stosunek do dworu

Stosunek między wsią i dworem był w Dzikowie dobry. Ostatnim właścicielem Dzikowa za pańszczyzny był hr. Jan Bogdan Tarnowski, zmarły w r. 1850 w Królestwie Polskim. Mówiono o nim powszechnie, że był to pan dobry, nie pozwolił swoim poddanym najmniejszej krzywdy zrobić, przyjaźnie ich traktował, pierwszy często pozdrawiał.

I musiał być dla ludzi dobrym, bo wieść o jego śmierci wywołała wielki smutek, a gdy przyszła wiadomość, że zwłoki jego będą sprowadzone do Dzikowa przez Sandomierz, zgromadziły się w oznaczonym dniu na drodze z Dzikowa do Sandomierza tysiączne rzesze ludu włościańskiego ze wszystkich wsi, które do jego państwa należały. Pamiętam, jakie było wzruszenie, gdy zapowiedziano, że zwłoki już prowadzą, że są już w Sandomierzu, bo słychać, jak biją dzwony tamtejsze (i było je słychać, bo dzień był pogodny, cichy). Lud przejęty żalem nie czekał na miejscu, ale szedł naprzeciw ku Sandomierzowi, a jaka ogarnęła ludzi żałość, gdy ujrzeli trumnę, kryjącą zwłoki, wyrazić się to nie da. Opisuję to jako naoczny świadek, bo byłem tam razem z babką.

Żal był tem większy, że pomiędzy ludem włościańskim utrzymywała się pogłoska, że hrabia nie umarł zwykłą śmiercią, ale został z rozkazu rządu rosyjskiego rozstrzelany za jakąś polityczną działalność. Mówili, że otrzymał wezwanie od tegoż rządu, iż ma się stawić w oznaczonym dniu do usprawiedliwienia się pod zagrożeniem utraty dóbr, jakie posiadał pod panowaniem rosyjskim. Gdy się zaś tam zgłosił — mówiono — że już więcej żywy nie wrócił. W rzeczywistości — jak w późniejszych czasach mogłem sprawdzić — hrabia umarł nagle w drodze powrotnej z majątku swojej żony.

Żoną jego była Gabryela z Małachowskich. Tę dobroduszną panią dobrze zaznałem, gdyż, jak umarła, miałem 20 lat. Zatem jej dobroć mogę sam stwierdzić. Odwiedzała chorych szczególnie najbiedniejszych, dawała im wsparcie, chowała swoim kosztem umarłych. Ratowała każdego w najgorszej potrzebie, nikogo nie opuściła, — toteż garnęli się do niej biedni jak pszczoły do ula. Założyła szkółkę dla dzieci chłopskich w Dzikowie.

Oboje mieli to sobie za zaszczyt i radość, gdy ich rodzina włościańska nawet najbiedniejsza poprosiła za chrzestnych ojców szczególnie pierwszego dziecka w rodzinie. To też nie brakło im chrzestników po wsiach, a następnie dorosły chłopak czy dziewczyna chlubil się tem, że hrabstwo Tarnowskich mieli za chrzestnych rodziców.

W ogóle chłopcy okazywali przywiązanie do dworu tutejszego, w r. 1846 w czasie rabacji gotowali się stanąć w obronie zamku, i z tych to czasów pewnie pochodziła śpiewka ludowa.

*Ni ma ci to ni ma, jak to w tym Dzikowie,
Są tam polskie panie i polscy panowie.*

Po Bogdanie Tarnowskim odziedziczył dobra dzikowskie syn jego Jan. Był w całym słowa znaczeniu gospodarzem-rolnikiem, dbał nadzwyczajnie o dobrą uprawę gruntu i wzorowe prowadzenie gospodarstwa. Często konno objeżdżał i kontrolował folwarki, sam załatwiał sprawy administracyjne, sam zajmował się uporządkowaniem zawiłych spraw serwitutowych po ustaniu pańszczyzny.

W miejsce drewnianych, lichych budynków, jakie były po folwarkach z czasów pańszczyźnianych, wznosił murowane tak, że z całą prawdą można o nim powiedzieć, iż »zastał swoje folwarki drewniane, a zostawił murowane«, i dał przez to różnym rzemieślnikom niemało zarobku. Opowiadali o nim, że gdy w czasie objazdów na niwie świeżo uprawionej zauważył perz, schodził z konia, wyciągał cały perz z roli i przywoził na folwark, a rządcą miał wiele wyrzutów, że dopuszcza do zaperzenia gruntu. Gdzie nie dało się narzędziem rolniczym roli wyczyścić, wchodzili ludzie, wyrwali ręcznie każdy chwascik i mieli zarobki.

Toteż na dworskich niwach były wtedy ładne urody, aż miło było popatrzeć na nie. Niejeden włościanin, zwłaszcza taki, który miał swój kawałek pola obok pańskiego, musiał się zawstydić, kiedy widział, że na dworskim piękny urodzaj, a u niego liche. Nieraz też była mowa między gospodarzami, że pan ma już takie szczęście na tym świecie, że mu się nawet w polu lepiej rodzi. Ale gdy się przekonali, że lepsze plony daje staranniejsza uprawa gruntu, brali przykład z dworu, ziemię lepiej nawozili i uprawiali i otrzymywali wydajniejsze zbiory, — a dziś kto ma cztery morgi gruntu, to już mu chleba nie brakuje.

W życiu publicznym brał bardzo znaczny udział. Był prezesem Towarzystwa Rolniczego w Krakowie, Rady powiatowej w Tarnobrzegu, posłem na Sejm, wreszcie marszałkiem krajowym w latach 1886–1890.

Pragnął żyć z włościanami w sąsiedzkiej zgodzie, być ich przedstawicielem, przytem umiał włościan uszanować. Gdy w r. 1887 obchodził srebrne wesele, zaprosił na tę uroczystość włościan z bliskich i dalszych wsi. Toteż kościół OO. Dominikanów w Tarnobrzegu wypełniony był wówczas ludem włościańskim po brzegi, następnie wszyscy byli proszeni do zamku w Dzikowie, gdzie byli podejmowani w ogrodzie za stołami suto zastawionymi. Hrabiosstwo byli ciągle między gośćmi, zajmując się nimi.

Gdy w r. 1894 przechodził dłuższą słabość i widział się bliskim śmierci, prosił, ażeby go włościanie do grobu nieśli. Toteż na wiadomość o jego zgonie nie brakowało chłopów na pogrzebie i każdy pragnął nieść trumnę, więc się często zmieniali od bramy zamkowej do kościoła OO. Dominikanów, gdzie zwłoki jego spoczęły w grobie fundatorskim.

Ożeniony był z żyjącą dziś jeszcze Zofją z Zamoyskich, panią wielkiej pobożności i wielce litościwego serca. Ona też po folwarkach w dobrach dzikowskich urządziła ochronki i sprowadziła do nich zakonnice służebniczki, które mają za obowiązek opiekować się dziećmi, gdy ich matki zajęte są pracą poza domem.

Najlepsze również wspomnienia wśród ludności tutejszej pozostawił po sobie hr. Stanisław Tarnowski, brat Jana i Juljusza, poległego w r. 1863. Mieszkał on wprawdzie stale w Krakowie, gdzie był profesorem uniwersytetu i prezesem Akademii Umiejętności, często jednak przyjeżdżał do rodzinnego Dzikowa i spędzał tu wolne chwile. Chętnie przychodził ludziom z pomocą, nikomu nie odmówił wsparcia, ktokolwiek o nie prosił. Wszelkie dobrodziejstwa jednak świadczył ludziom w cichości, prawdziwie w myśl Pisma świętego: »Niech nie wie lewica, co daje prawica«. Nieraz jako wójt potwierdziłem przekazy pocztowe tym, którzy od niego wsparcie otrzymywali.

Zwłaszcza pamiętał zawsze o włościance tutejszej Marji Grębowcowej, która była jego piastunką w latach niemowlęcych. Zapewnił jej spokojne utrzymanie do końca życia, odwiedzał w czasie przyjazdu do Dzikowa, wspierał całą jej rodzinę. Byłem raz świadkiem, jak zegnał się z nią przed jednym z wyjazdów do Krakowa. Grębowcowa była już wtedy ociemniałą staruszką, płakała ze wzruszenia, usłyszawszy głos hr. Stanisława wchodzącego do jej izby. Wypytywał ją o zdrowie, zapowiadał zaspokojenie wszelkich potrzeb, mianował ją matką, a na pożegnanie w rękę pocałował.

Umarł w r. 1916. Życie jego było nacechowane głęboką pobożnością, wslawione pracą naukową.

Następcy tych hrabiów wstępowali w ich ślady i starali się w dalszym ciągu utrzymywać dobre stosunki z ludnością włościańską. O dobrych ich czynach wspominam w odpowiednich miejscach »Pamiętników«.

Stan oświaty w czasie pańszczyźnianym

Co do oświaty, to, jak zapamiętałem, w Dzikowie ze starszych ludzi jeden był tylko umiejący czytać i pisać. Nazywał się Franciszek Słomka, mieszkał w przysiółku Podłęże. On tylko potrafił przeczytać pismo, jeżeli je kto z urzędu lub ze świata otrzymał, co zresztą rzadko się wtedy trafiało. Do niego też nieśli ludzie wszelkie pisma i to nie tylko z Dzikowa, ale z całej okolicy; dawał rady we wszystkich sprawach z urzędami, — znaczył też wówczas więcej niż obecnie adwokat, sędzia czy inny urzędnik z wyższymi szkołami.

On też pierwszy w Dzikowie miał kalendarze, ale kupował je głównie dlatego, że były w nich przepowiednie pogody na cały rok, bo według tych przepowiedni gospodarował. Opowiadali o nim, że raz, wybierając się w dalszą drogę, namyślał się, jak się ubrać, a że kalendarz przepowiadał pogodę, więc ubrał się w nowy żółty kozuch. Tymczasem wypadła właśnie niepogoda, i powrócił do domu zupełnie splukany, za co pomścił się na kalendarzu, bo wyrzucił go z domu na deszcz.

Ale to wcale nie dziwne, że on wtedy trzymał się tych przepowiedni, bo i dzisiaj jeszcze przeważnie kupują kalendarze nie dlatego, że są w nich różne i pouczające i pożyteczne opisy, ale że są przepowiednie pogody, które nie mają żadnej wartości.

Zresztą w żadnym domu chłopskim wówczas nie znalazłby książki czy gazety, a nawet książeczki do nabożeństwa, — chowali tylko różne druki, jak wezwania z urzędu i dokumenty, jak testamenty, dekrety dziedzictwa, arkusze gruntowe, książeczki podatkowe, a ponieważ nie umieli rozróżnić kawałków ważnych od nieważnych, więc zarówno potrzebne dokumenty, jak i świstki bezwartościowe, które dziś porzuca się po pierwszym przeczytaniu, przechowywali jednakowo z największą starannością przez długie lata. Wszystko to, razem zwinięte i okręcone w jakąś szmatę, chowali w skrzyniach zamkniętych na dnie pod ubraniami lub w jakichś kryjówkach, bo bali się zawsze, że może im każą kiedy coś płacić lub robić jakąś powinność, a oni dla swojej obrony nie będą się mieli czym wykazać. Jeżeli zaś komu obcemu przyszło papier jakiś pokazać, to czynili to bardzo ostrożnie, patrzyli mu na ręce, żeby czego nie schował i uważali, żeby sami czego nie uronili.

W niektórych wsiach, zwłaszcza nadwiślańskich, gdzie chłopci więcej byli chętni do oświaty, były szkoły zimowe, w których dzieci uczyły się przez zimę zwyczajnie od św. Michała do św. Wojciecha. Uczyli w nich najczęściej chłopci, którzy posiadali sztukę czytania i pisania. Godzeni byli przez ludność wsiową, otrzymując po kilkadziesiąt reńskich za zimę i wikt z każdego domu po kolei. Niektórzy z nich chodzili za tym zarobkiem, gdy zima nastawała.

W Dzikowie — jak już wspomniałem — rozpoczęła pierwszą naukę Pawłowska z poręki hrabiny Tarnowskiej i od tej chwili dopiero ruszyła się oświata w Dzikowie.

Szkoły w Tarnobrzegu

W Tarnobrzegu w owym czasie była szkółka o jednym nauczycielu. Mieściła się przy ulicy Browarnej w domu wynajętym. W domu tym po jednej stronie znajdowała się sala szkolna, po drugiej mieszkał nauczyciel. Uczył tam za mojej pamięci Karasiński, Fabri, a wkońcu Szewczyk.

W r. 1864 stanęła w Tarnobrzegu szkoła publiczna w tem miejscu, gdzie jest obecnie, a plac pod nią i ogród podarował śp. hr. Jan Tarnowski; chodziły do niej dzieci z Dzikowa i dosyć z Miechocina. W nowym budynku pierwszy uczył Gorylewicz, a prowadził jeszcze naukę sam jeden, nie mając nikogo do pomocy. Czy brał on jaką pensję rządową, tego nie wiem; pamiętam tylko dobrze, że w Dzikowie zbierało się składkę na nauczyciela, z numeru po 2 złr. na rok, a to 50 ct. kwartalnie. Byłem wtedy wójtem, jak jeszcze Gorylewicz uczył, otóż prawie co drugi dzień zachodził do mnie zawsze z temi słowy: »Wójtce, możecie co zebrali dla mnie, bo nie mam na chleb«, — więc co było dawałem i za każdym razem rachowałem się z nim, żeby rachunki były w porządku.

W r. 1875 nastął śp. Michalik; on już był dyrektorem i nauczycieli było więcej, szkoła za niego zaczęła się prędko podnosić, klas przybywało coraz więcej.

Posyłanie uczniów na dalszą naukę do szkół średnich, do gimnazjów i seminarjów nauczycielskich, rozpoczęło się dopiero wtedy, gdy za śp. Michalika nastąpiła 4-klasowa szkoła w Tarnobrzegu i pierwsi uczniowie z niej wyszli. Z samego Dzikowa wyszło wtedy w krótkim czasie kilku uczniów i dalsze nauki kończyli w Rzeszowie lub Krakowie. A pierwszym tym uczniom nie tylko z Dzikowa, ale i z okolicy, ułatwiał bardzo kształcenie, wspierając ich materjalnie, hr. Stanisław Tarnowski, profesor uniwersytetu i prezes Akademji Umiejętności w Krakowie, który i później zawsze nie przestawał opiekować się uczącą się młodzieżą z naszych okolic.

Obecnie, t. j. w r. 1928, znajduje się w Tarnobrzegu cały szereg szkół. To też w niedziele, w czasie wspólnych nabożeństw szkolnych, kościoł OO. Dominikanów wypełniony jest przeważnie młodzieżą szkolną.

Życie polityczne, pierwszy ruch wyborczy

Co do życia politycznego, to przez długi czas po nastaniu konstytucji nie było znaku takiego życia. Wszelkie wybory: do sejmu czy parlamentu bardzo mało chłopów interesowały, mało kto o tem mówił i chciał coś wiedzieć. A gdy kto czasem o tem coś wspomniał, to drudzy zaraz odpowiadali: »Co mnie to obchodzi, kto posłem ostanie, — niech ta obiorą, kogo chcą; tam chłop niezdatny, bo nie ma nauki, a pan będzie trzymał z panami i dla chłopów nic tam nie robi, więc najlepiej nie zaprzętać sobie tem głowy, bo to nic dobrego«.

Na prawyборы w gminie przychodziło zwyczajnie kilku, a najczęściej kilkunastu uprawnionych do głosowania i ci bez żadnego ożywienia dokonywali wyboru, a kiedy znowu miał się odbyć wybór posła, to wyborcy zeszli się w starostwie może w połowie, niejeden zaś powiedział sobie: »Będę ta szedł i czas tracił, najlepiej siedzieć w domu spokojnie«; — żona mu to przychwalila i wyborca przesiedział wybory w domu. Ci zaś, co ściągnęli do miasta, oddawali głosy na tego, kto był ze starostwa w dniu wyborów wysunięty, — i poseł był wybrany; — a potem we wsi bardzo mało było nawet na tyle ciekawych, żeby się dowiedzieć, kto został posłem i gdy się kogoś przyszło zapytać: »Kto u was posłem?«, to nie wiedział i cały okres zeszedł i nie dowiadywał się.

Na wsi nie znane były zgromadzenia polityczne, jakie obecnie często odbywają się, jedynie w dniu wyborów w powiecie bywały krótkie narady, na których chłopci dowiadywali się, na kogo głosować będą. Poseł nie urządzał nigdy zgromadzeń sprawozdawczych i nikt od niego sprawozdania nie żądał.

Słowem, poza zebraniem gromadzkimi i prócz zabaw, wesel i chrzcin nie było we wsi jak i w mieście, żadnego innego życia zbiorowego, nie było żadnych towarzystw i stowarzyszeń.

Pierwsza walka wyborcza powstała w r. 1877 przy wyborach uzupełniających do Rady Państwa w Wiedniu. Ale i wówczas było jeszcze tak, że wyborcy zjeżdżając się, nie wiedzieli jeszcze, na kogo

będą głosowali, tylko na mieście tyle było słyhać, żeby wybrać chłopą; — nie było jednak zgody, którego chłopą i co kilkunastu wyborców miało swojego kandydata. W końcu najgłośniej był wymieniany Walenty Bęc, gospodarz z Ostrówka, i chłopci się wzajemnie nawoływali, żeby tylko na niego głosować i głosów nie rozrywać, bo inaczej chłop nie będzie wybrany.

Gdy przyszło do głosowania w starostwie, chłopci, jak mur, stanęli za Bęcem i on w Tarnobrzegu dostał najwięcej głosów, — ale w innych powiatach: w mieleckim i ropczyckim, stanowiących jeden okrąg wyborczy, nie otrzymał nic. Ponieważ jednak głosy były rozstrzelone na kilku kandydatów i należało się spodziewać wyboru ściślejszego, więc chłopci czekali na ogłoszenie wyniku głosowania i żaden nie ruszył się z miejsca, a gdy wieczór zapadł, posiadali i pokładli się na korytarzach tak, że całe korytarze zajęli i czekali cierpliwie. Gotowi byli noc czekać, — a wtem ukazał się starosta i zawołał: »Panowie wyborcy, proszę do głosowania! odbędzie się wybór ściślejszy między Bęcem, a Zdankiewiczem, starostą mieleckim«.

Teraz znowu chłopci ławą głosowali na Bęca, a panowie i duchowieństwo, którzy na wynik po kancelarjach czekali, na Zdankiewicza, — a następnie wszyscy rozeszli się i dopiero z gazet stało się wiadomem, że posłem został Bęc.

Jak się później dowiedziałem, zdobył większość głosów w ten sposób: Gdy po pierwszym głosowaniu poszły telegramy z Tarnobrzega, że dostał najwięcej głosów, chłopci w Ropczycach porzucili pierwszych kandydatów, a krzyczeli: »Bęc, Bęc!« — tłumacząc sobie, że musi to być mądry chłop, skoro w swoim powiecie tyle miał głosów, — i wszyscy na Bęca głosowali, więc przeszedł znaczną większością. Był posłem do końca okresu, a ponieważ był nieustępliwy, więc przy następnych wyborach była przeciw niemu ostra walka i upadł.

Znałem go bardzo dobrze, bo zasiadałem z nim w Radzie powiatowej i prócz tego często się z nim stykałem. Jako gospodarz pracowity i oszczędny; ale gdzie nie było musu, centa nie wydał, toteż, jak pogorzał, spaliła się mu nawet gotówka, a nie miał nic asekurowane. Sprawie chłopskiej oddany był bardzo i śmiało przytem wypowiadał to, co myślał.

Ale nie otrząsnął się z tego, co pokutowało w chłopach starej daty, mianowicie: przeciwny był zawsze wydatkom, choćby wypadały na korzyść ludu, n. p. na lepsze szkoły, — i choćby wszyscy powiedzieli, że coś jest potrzebne, a jemu się to nie zdawało, to nie odstąpił od swego zdania i na drugich chłopów się gniewał, że z nim razem nie idą i nie głosują. Nie dał sobie wytłumaczyć, że jeżeli się na coś podatku nie uchwali, to nic się nie da zrobić i wszystko zostanie po dawnemu — będzie dawne zacofanie i bieda.

Trzymał przytem bardzo stronę rządu austriackiego, mówiąc, że »tylko w rządzie widzi cokolwiek sprawiedliwości, a panowie nasi chcą wszędzie chłopą utrać i dlatego — jak powiadał — na nic nie chciałem się z nimi zgodzić, a chociaż mój głos między wszystkimi nic nie znaczył, to go im nie dałem, bo moje sumienie na to nie pozwalało«.

Z czasem i pod tym względem się zmieniło, bo już każdy mniej więcej przeglądał na oczy, że rząd wiedeński niczego z łaski nie dawał i trzeba było wszystko z trudnością zdobywać. Dlatego posłowie polscy w Wiedniu łączyli się razem w jedno Koło, żeby mieć wobec rządu i w państwie większą siłę i prędzej coś wskórać.

Jak się w późniejszym czasie odbywały wybory, jakie było zainteresowanie niemi i naprężenie wśród ludności, tak między młodymi, jak starymi a nawet między kobietami, to zbytecznem jest spisywać, bo każdy na to patrzył. Dla przykładu wspomnę tylko, że w Dzikowie już w pierwszych wyborach do parlamentu, odbywających się w r. 1907 na podstawie powszechnego prawa głosowania, (kiedy z tutejszego okręgu zostali posłami Krempa i Wiącek), przy pierwszym

głosowaniu brakowało tylko dwóch z uprawnionych do głosowania i obecnych w gminie, — a gdy pierwsze głosowanie nie dało wyniku i nastąpiło drugie ponowne, to i ci dwaj się stawili tak, że nikogo nie brakło.

Opowiadania z przeszłości i uświadomienie narodowe

Co do uświadomienia narodowego dawniej, jak zapamiętałem, chłopci nazywali się tylko mazurami, a mowę swoją mazurską, żyli tylko sami dla siebie, stanowiąc zupełnie odrębną masę, obojętną zupełnie na sprawy narodowe. Ja n. p. dopiero wtedy, jak zacząłem czytać książki i gazety, poczułem się Polakiem i uważam, że inni włościanie w ten mniej więcej sam sposób dochodzili do poznania swej narodowości.

Z przeszłych wydarzeń i wypadków znali tylko te, które sami przeżyli i zapamiętali albo o których słyszeli od starszych. Opowiadali najczęściej o pańszczyźnie i strasznie ją malowali, szczególnie połowych i ekonomów i wogóle oficjalistów dworskich, co rozpałało i podtrzymywało ciągle nienawiść do dworów i »panów«.

Słyszałem też, jak dziadkowie i inni starsi mówili o Polsce, o królach polskich i rządach jakie były, że Polska przez brak zgody i jedności między panami została rozerwana na trzy części i że ta część, w której mieszkamy, z rozebranej Polski pochodzi i dostała się pod panowanie austriackie. Pamiętali oni rozbiór Polski albo słyszeli o tem od swoich ojców.

Z wojen polskich starsi opowiadali najczęściej o t. zw. wojnie sandomierskiej z r. 1809, a nazywali ją sandomierską, bo walka była o Sandomierz i pod Sandomierzem. Mówili, że to była wojna o Polskę, że się biło wojsko polskie z austriackiem.

Wojsko austriackie szło wtedy pod Sandomierz różnymi drogami, także i przez Dzików, — a najczęściej wycierpieli wójci, bo wojsko żądało »forszpanów«, a gdy wójt nie mógł wszystkiego prędko znaleźć i dostawić, to go zbili i ledwie żywego puścili. Kiedy zaś było zdobywanie Sandomierza, to od huku strzałów w Dzikowie ziemia drżała, i okna w domach dzwoniły, a Sandomierz stał jakby w ogniu. Ludzie uciekali z domów i kryli się po krzakach nad Wisłą.

A już ja zapamiętałem, że znajdowała się u nas kula armatnia, o której starsi mówili, że była znaleziona po tej wojnie na polach dzikowskich. Była wielkości głowy cielęcej, z jednego końca grubsza, w drugim cieńsza, a w domu taki był z niej użytek, że ją rozpalali na ogniu i używali przy polewaniu białizny.

Zaraz po tej wojnie nastąpił rozdział Galicji od późniejszego Królestwa Polskiego, przedtem bowiem obie strony były razem połączone, a pod Dzikowem przy t. zw. »Skalnej górze« był przewóz przez Wisłę. Dziadkowie moi i inni, którzy pamiętali, jak Galicja z Królestwem stanowiła jedną całość, nieraz na ten rozdział narzekali, mówili, że im się zdaje, jakby się świat skrócił, i jakby stanął wielki mur, który jedną stronę od drugiej odgraniczył. Opowiadali, że wprzódy czy z tej, czy z tamtej strony Wisły każdy był jednakowo wolny, złapał byle koryto i mógł przepłynąć się przez Wisłę.

Jeździli też dawniej z jednej strony na drugą swobodnie na odpusty, jarmarki i za innymi sprawami, łączyli się w związki małżeńskie i wzajemnie się pobierali, jakby jedna wielka familja, — a później to wszystko ustało i doszło do tego, że rozerwane były wszelkie związki rodzinne jednej strony z drugą, i nawet bliżsi krewni nie znali się, choć ich dzieliła tylko Wisła. Bo granicy tej bez przepustki czyli »paszportu« nogą nie wolno było przestąpić, i przepuszczali za Wisłę tylko przez dalekie komory z różnymi trudnościami. Więc też narzekali na wszystko, szczególnie we wsiach nadgranicznych nadwiślańskich i byli za tem, żeby jedną stronę z drugą napowrót połączyć.

Uświadomienie narodowe szło jednak powoli i do ostatnich czasów dość jeszcze znalazło się takich, co gdy im wspomnieć było o Polsce, to się złościли i klęli, mówiąc, że tylko panowie mogą chcieć Polski, żeby na nich ludzie robili, jak za pańszczyzny, i takim trudno było wytłómaczyć, że czasy pańszczyzny już minęły i powrócić nie mogą. Nie chcieli słyszeć o Polsce, bojąc się, że panowie znowu obejmą rządy i przywrócą pańszczyznę.

Ale liczba tych malała, a natomiast rósł zastęp ludzi świątłych, którzy twardo stali przy swojej narodowości i gotowi byli do wszelkiej jej obrony i rozumieli to, że byłoby lepiej, gdyby wszystkie zabory były połączone i naród sam się gospodarował i miał przestronniej.

Olaf Swolkién

Patriotyzm pejzażu pozostaje aktualny

Piętnaście lat temu opublikowałeś na łamach „Zielonych Brygad” artykuł, w którym Józef Mackiewicz przedstawiony jest jako prekursor rodzimej ekologii. To chyba dość śmiało postawienie sprawy. Wtedy byłeś raczej odosobniony w tej opinii.

Jestem odosobniony w tym sensie, że wielu ekologów nic nie wie o Józefie Mackiewiczzu. Ale kiedy nie tak dawno czytałem jakiś tekst o bioregionalizmie, to znowu miałem wrażenie, że mackiewiczowski „patriotyzm pejzażu” oznacza dokładnie to samo, tyle że ładniej opisuje problem. Dziś bowiem ekolodzy używają pewnego żargonu, podlanego czasem sosem naukowym. Tym niemniej z uwagi na polityczną poprawność wielu ekologów podejrzliwie odnosi się do takich postaci jak Mackiewicz, który jako konserwatysta-reakcjonista z krwi i kości może być dla nich postacią podejrzaną.

Czym jest „patriotyzm pejzażu”?

To przywiązanie, dbałość o to, co znajduje się najbliżej nas, co jest namacalne i tak naprawdę decyduje o jakości naszego życia, a jednocześnie objęcie tym przywiązaniem całego otoczenia. Jako tak zwany ekolog (bardzo nie lubię tego słowa) zajmuję się bardzo zwykłymi rzeczami: żeby kamienica była dobrze utrzymana, żeby chodnik był równy, żeby przy ulicy były drzewa, a niekoniecznie parkingi. Żeby znać swoich sąsiadów i starać się z nimi zaprzyjaźnić, aby jako wspólnota sąsiedzka coś razem robić. W gruncie rzeczy taki patriotyzm ma znacznie istotniejszy wpływ na nasze życie niż jakieś wielkie identyfikacje narodowe czy polityczne, które są często sztuczne i pozbawione zakorzenienia. Według Mackiewicza, ważne kto jakim jest człowiekiem, a nie jakie ma przekonania. Nieważne kto rządzi, ważne żeby dał żyć. Przy czym trzeba podkreślić, iż u Mackiewicza występowała autentyczna, głęboka miłość do przyrody. Dla niego najpiękniejszym elementem pejzażu były stare drzewa. Tymczasem odnoszę wrażenie, że dziś w Polsce mamy do czynienia z jakąś dendrofobią – drzewa są groźne, bo zagrażają samochodom. Jest tendencja, żeby wszystko wyrównać, zaasfaltować, posadzić najwyżej jakieś krzaczki – najlepiej iglaki. Tak więc w przypadku „patriotyzmu pejzażu” chodzi nie tylko o lokalność, ale i o to, jaki ma ona mieć kształt, z jakimi ma być powiązana wartościami. W książce „Bunt rojstów” jest przedmowa Ludwika Chomińskiego, która pokazuje zderzenie przyrody z wkraczającą na Wileńszczyznę nowoczesną cywilizacją, z tym wszystkim co nazywamy dziś rozwojem. Postawa ta nigdy nie doczekała się wśród konserwatystów bardziej spójnej teoretycznej syntezy. A przecież w okresie międzywojennym czy nawet wcześniejszym można znaleźć bardzo dużo krytycznych głosów

wobec tak zwanego rozwoju czy postępu – wymieńmy tu chociażby Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Takich intuicji w tamtym czasie, kiedy krzyżowało się stare z nowym, zwłaszcza na Kresach, było sporo. I to jest wspólne z tym, co odczuwa dziś wielu ekologów.

Na ile owe „zielone” poglądy Mackiewicza, które jednak kształtowały się na gruncie historyczno-geograficznym II Rzeczypospolitej, pozostają teraz aktualne?

Można by wiele rzeczy, które pisał on o Wielkim Księstwie Litewskim – gdzie różne społeczności żyły obok siebie – dopasować do dzisiejszego świata. Ale chodzi tu o pokazanie pewnej sytuacji, a nie o podanie rozwiązań. Dzisiaj bowiem mamy trend ujednociania, a wtedy Mackiewicz zachwycał się tym, że każda ze społeczności kulturowych, etnicznych, religijnych żyła osobno i zachowywała swoją tożsamość. Oczywiście wybuchały między nimi konflikty, ale nie było takiego jak obecnie dążenia do ujednociania takich społeczności, do biurokratycznego zarządzania nimi. Mackiewicz widział, że takie niebezpieczeństwo istnieje i przed nim ostrzegał. W „Buncie rojstów” stawał po stronie prostych ludzi bez wyższego wykształcenia żyjących w małych miastach przeciwko biurokratom.

Ale taka postawa uchodzi za antyrozwojową i antymodernizacyjną, czyli skazaną na klęskę.

Ekolodzy nie są przeciw rozwojowi, ale są za jego określonym kształtem. Natomiast Mackiewicz był sceptykiem. A sceptycyzm wobec rozwoju, postępu, Zachodu, jest po prostu objawem rozsądku. Chodzi o to, żeby nie rzucać się na modernizację, tylko dlatego że jest modernizacją, i nie odrzucać starego, tylko dlatego że jest stare. W dzisiejszej Polsce naśladujemy rozmaite rozwiązania modernizacyjne, które na Zachodzie stosowano w latach 60. i 70 ubiegłego wieku. Tak jest na przykład z autostradami. Upychane są do nas dawne technologie, od których słusznie się tam odchodzi, a my je z kolei przyjmujemy zupełnie bezrefleksyjnie.

Rozmawiał: Filip Memches

Wywiad ukazał się na portalu Kresy.pl

Ziemowit Szczerek

Histeria obojga narodów, czyli czemu Litwini nie lubią Polaków i odwrotnie. I co z tym można zrobić, jeśli to, co robiono do tej pory jakoś nie chce działać

Na ulicy Ausros Vartu (dla Polaków: Ostrobramskiej) dzwony głośno biją. A jakiś czas po dzwonach polska msza się rozlega. Tak, żeby było słychać: głośniki na full, demonstracyjnie, jakby to nie była msza, a uliczny hip-hop. Polskie mszalne zaśpiewy niosą się po ulicach litewskiej stolicy, jak głośna muzyka po rurach w bloku.

Litewscy wilnianie ze stęzałymi minami słuchają polszczyzny buńczuczającej się im po starówce. I zimno patrzą na rozmodlony tłum polskich turystów blokujących Ostrą Bramę.

– No, to już wiesz, czemu Litwini nie przepadają za Polakami – kiwa głową Tomasz, gdy mu opowiadam o polskiej mszy niosącej się po Wilnie jak ryk samca alfa. Wystarczy wyobrazić sobie Rosjan zachowujących się z podobną ostentacją w polskim mieście. Przy czym wyobraźmy sobie, że miastem tym byłaby polska stolica. I że Rosjanie stanowiliby w niej prawie dwadzieścia procent mieszkańców.

Po polsku Tomasz ma na imię Tomasz i tak na niego mówią w domu, ale w litewskim dowodzie wpisane ma „Tomas”. Polacy muszą bowiem na Litwie zapisywać swoje imiona i nazwiska na litewski sposób. Wymaga tego nie tylko państwo litewskie, ale i litewska ortografia. Tutaj nawet Lenin to Leninas, a George Walker Bush to Dżordžas Volkeris Bušas i nie ma przebaczenia. Harry Potter to Haris Poteris, James Bond to Džeimsas Bondas, a Arnold Schwarzenegger: Arnoldas Švarcenegeris.

Polacy uważają jednak, że na swojej ziemi – bo są tu przecież od pokoleń – mają prawo wpisywać sobie w dowody swoje polskie nazwiska, i kategorycznie się tego domagają: Jan Kowalski chce być Janem Kowalskim, a nie Jonasem Kovalskisem.

Z Polską nie tak łatwo

Im bardziej kategorycznie się natomiast Polacy domagają, z tym większą niechęcią i podejrzliwością Litwini do tego podchodzą. Pomiędzy środowiskami litewskich Polaków a Litwinami od dawna trwa zimna wojna, która ostatnimi czasy przełożyła się na najgorsze w Unii Europejskiej stosunki międzypaństwowe. Badania opinii publicznej przeprowadzone na zlecenie Delfi.lt wskazują, że Polacy są najmniej lubianymi sąsiadami Litwy. Udało nam się przebić nawet Rosję, która pod względem sympatii tradycyjnie miała w regionie najniższe notowania.

Tomasz ma dobrze ponad dwadzieścia lat i serdecznie dosyć polsko-litewskich animozji.

– Tu mi dobrze. Wyjeżdżać stąd nie zamierzam, a żreć się z Litwinami nie chcę – mówi. Siedzimy na tarasie knajpy „Užupio Kavine” na Zarzeczcu (lit. Užupis), dzielnicy Wilna uważanej za artystyczną, która w prima aprilis 1997 roku „ogłosiła niepodległość” i teraz w każdą rocznicę powstania „republiki artystów” artyści-celnicy stoją na moście nad „graniczną” Wilejką i sprawdzają „imigrantom” paszporty.

Tomasz woli mówić o „niepodległości” Zarzeczca, niż o autonomii Wileńszczyzny. Po pierwsze, bardziej to interesujące, a po drugie przynajmniej coś z tego jest: dzielnica stała się kultowa, odżyła, dużo się dzieje na Zarzeczcu: eventy, happeningi, koncerty, luźny, przyjemny klimat. A nie jak w środowisku natchnionych Polaków: nudne i toksyczne patriotyczne trucie i nakręcanie polsko-litewskiej niechęci.

– Owszem, jestem Polakiem, ale i Litwinem – uważa. – Przez setki lat to się nie wykluczało, to i teraz się nie musi wykluczać. Oni się po prostu boją Polaków, tak samo, jak Polacy baliby się w podobnej sytuacji – na przykład – Niemców. Trzeba ich zrozumieć i tyle.

Swoje, moje, nasze

Tomasz z Wilna jest dumny. Uważa, że lepsze do życia, niż Warszawa. Mniejsze, ale ładniejsze, chce się tu żyć. I w ogóle, jak twierdzi, Litwa teraz od Polski ładniejsza: wszystko wysprzątane, zadbane, władzom zależy, żeby było estetycznie. Jest obywatelem Republiki Litwy i dobrze mu z tym.

– Gram w jednej drużynie z Litwinami, a nie przeciwko nim – deklaruje. A co najważniejsze, jest w Wilnie u siebie, bo jego rodzina pochodzi z Wileńszczyzny od wieków.

– W litewskim Wilnie czujesz się u siebie? – Upewniam się.

– A co jest nie tak z litewskim Wilnem? – Zaperza się. – W czym gorsze od polskiego? Że „nie nasze”? Ja uważam je za swoje, moje, nasze. W Wilnie żyją Litwini, więc rozmawiam z nimi po litewsku. To tylko język, człowieku. Jeśli się nim posługujesz, a ja go przecież znam od dziecka, to gdzie jest problem? Że flagi biało-czerwone nie powiewają?

– Może to, że pamięć historyczna inna.

Tomasz się śmieje.

– Pamięć historyczna? A nie masz innych problemów?

Czego Tomasz najbardziej nie lubi? Gdy jakaś uduchowiona polska wycieczka się napatoczy, kiedy siedzi z polskojęzycznymi znajomymi przy piwie.

– Jak tacy pielgrzymi usłyszą, że mówimy po polsku – dalej, płakać nad naszym uciemieniem! Jakbym był jakimś nieszczęśnikiem w kajdanach i łachmanach. Teraz – mówi – jak tylko słyszymy Polaków, od razu przechodzimy na litewski.

Nieczysta mowa ojczysta

Większość młodych litewskich Polaków równie dobrze, jak na litewski mogłaby przejść na rosyjski. Współczesny wileński dialekt, którym się posługują jest bowiem naszpikowany rusycyzmami, jak keks bakaliami.

Ale ten dialekt żyje. I jest nośnikiem tożsamości wielu młodych polskich wilnian.

W ich środowisku funkcjonuje swoista lokalna odpowiedź na Dorotę Masłowską: na kolejne odcinki internetowej powieści „Robczik” autorstwa Bartosza Połońskiego (po litewsku – Bartasa Polonskisa), która rozgrywa się w świecie wileńskich Polaków – siedemnastolatków czekała chyba cała młoda Polonia.

Jaki to język?

„Radakow nie ma, cielik pokazui, mag gra, internet wali – zdajsie wsio jest, a czegoś to brakui. Dobrze, że ja cyz nie palę, to by wapszie kompcilby jak cziort. Żurnały wsie przepatrział. Dobrze, że na kółko psycholoczine w szkole był zapisawszy się, to wiem co to „użimtum problema” i nie mam takiej parki, każda swoja chwila jakim to zajęciem zapełniam. Tak za to i na normalnego pacana smachiwaju w szkole, bo niebezdzielnicziu”.

- Wyobraź sobie, że wychowujesz się w mieście, w którym od urodzenia słyszysz trzy języki – mówi Ewelina Mokrzecka (po litewsku – Evelina Moksecka), autorka bloga „Pulaki z Wilni” prowadzonego w wileńskiej gwarze. – Mamy tutaj mieszane towarzystwa. Zawsze w polskiej paczce był jakiś Litwin i odwrotnie. A skąd rosyjski? Bo wiesz... – śmieje się. – To taki gangsterski język. Jest w filmach, które oglądają Polacy, w muzyce, której słuchają.

Problemy jest, ale czeba ich ruzwionzywać, a ni spuskacia z jimi

Ewelina zdecydowała się wyjechać do Warszawy, ale ze środowiskiem wileńskim utrzymuje kontakty. A do Wilna zamierza kiedyś wrócić. Choćby na emeryturę.

- Naszą ojczyzną jest Wileńszczyzna – mówi. – Litwa funkcjonuje w świadomości tamtejszych Polaków jako trochę inny kraj. Mówi się na przykład, że ktoś jedzie „na Litwę” – śmieje się. – Ale z drugiej strony utożsamiamy się z Litwą. Gdyby grali ze sobą koszykarze litewscy i polscy,

kibicowałoby się raczej litewskim...

Ewelinę nerwy biorą, gdy polscy narodowcy w jej imieniu wypowiadają się na temat problemów litewskich Polaków. Uważa, że na Litwie nie ma kto z kim prowadzić dialogu. Polaków z AWPL-u i ZPL uważa za twardogłową prawicę. Ale Litwinów z obecnego Sejmu ma za taką samą, więc, jak mówi, „summa summarum jest remis”.

Również Tomasz zdaje sobie, oczywiście, sprawę, że konflikt pomiędzy Polakami a Litwinami ma realne, a nie wydumane podłoże.

– Ale co, Polacy chcą awanturnictwem wymusić na Litwinach zrozumienie dla swoich problemów?

– Dziwi się.

Sitzkrieg w internecie

W internecie pomiędzy bardziej narodowo nastawionymi Polakami i Litwinami od dawna toczy się wojna pozycyjna: zastała, na ciągle te same argumenty, bez szans na przekonanie kogokolwiek do czegokolwiek.

Kinga Geben, polonistka po Uniwersytecie Warszawskim, obecnie wykładająca na Uniwersytecie Wileńskim, ogłosiła w 2008 roku artykuł naukowy na temat specyfiki języka litewskich polskojęzycznych internautów.

„Zabawa językiem” – czytamy w skróconej wersji artykułu dr Geben zamieszczonej na stronach Wilnoteka.lt – „odbywa się w specyficzny sposób, na przykład poprzez dopisanie końcówek litewskich „as” do polskich słów typu: byłas rezydentas (były rezydent) [...]”.

Na forum „Kurierwilenski.lt” zdecydowanie najczęściej spotykaną zabawą słowem poprzez użycie litewskiej formy jest często używane słowo „Lietuvis”. Po litewsku Lietuvis oznacza po prostu Litwina. Tutaj stosowane jest po to, by odróżnić Bałtów od Polaków.

„Lietuvisy to zupełnie nowy naród, a Litwinami jesteśmy my, a w zasadzie Polacy z północno – wschodnich terenów utraconych” – pisze „Robert” pod artykułem zamieszczonym na stronach „Kuriera Wileńskiego”.

Tak, tak – wielu polskojęzycznych internautów odmawia Litwinom miana Litwinów. Za „prawdziwych Litwinów”, spadkobierców Wielkiego Księstwa Litewskiego, uważają się bowiem oni sami – litewscy Polacy. Ci, których za Litwinów uważa świat, to na forach właśnie „Lietuvisy”, względnie „Żmudzini”.

„Gdyby to byli Litwini historyczni, to by już dawno tworzyli z nami państwo!” – wścieka się „Leszek0506” na forum Youtube, pod prześmiewczym teledyskiem kabaretu „Dviracio Zinios”. Teledysk ma tytuł „Wilno nasze”, kabareciarze poprzebierani za naszych rodaków, koniecznie z doklejonymi wąsami, jeżdżą po litewskiej stolicy turystycznym autobusem, śpiewają melancholijną pieśń na nutę naszych „Kolorowych jarmarków” i marzą o odzyskaniu Wilna dla Rzeczypospolitej. Internetowy bój polsko–litewski toczy się często po angielsku – jedynym języku, w którym adwersarze mogą się wzajemnie skłąć tak, by się zrozumieć. Jeszcze niecałe sto lat temu byłoby to mniej więcej tak dla Polaków do pomyślenia, jak teraz to, że po angielsku będą musieli rozmawiać z Kaszubami bądź Ślązakami.

„Lithuanians build it [Vilnius], it was our capital for like 500 years so why we should split it? Because there were many Poles and polonized Lithuanians?” – szydzi Itaxer z propozycji jakiegoś polskiego „ugodowca” wielkodusznie proponującego wspólną polsko–litewską władzę nad Wilnem. „Nobody in Poland knows meaning of words polonized Lithuanian. According to your way of thinking, who Landsbergis is? Lithuanised German?” – odpowiada mu złośliwie ktoś, kto podpisuje się jako „Kulik”.

Kilka rodzajów litewkości

W XIX wieku, w dobie przebudzeń narodowych, zaczęto opierać tożsamość narodową na języku litewskim i litewskiej kulturze. Michał Roemer, później przedstawiający się jako Mykolas

Roemeris, pisał do Piłsudskiego tak: „była tu w Wilnie Litwa przed nami, zanim myśmy [Polacy] tu przyszli, i będzie tu Litwa, cokolwiek byśmy usiłowali zrobić [...]”.

W czasie jednak, gdy Bałtowie przeżywali swoje odrodzenie, istniała także inna litewska tożsamość, i to ona dominowała na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego: była to tożsamość słowiańska: najpierw ruska, później coraz mocniej się polonizująca.

Bałtyjska Litwa była w podobnej sytuacji, co Słowacja: bez warstwy szlacheckiej, bez mieszczaństwa.

Polacy, którzy po I wojnie światowej zabierali się do budowy własnego państwa, wydawali się być zaskoczeni faktem powstania po sąsiedzku narodowego organizmu litewskiego. I to takiego, który nie był entuzjastycznie nastawiony do Polski i jej koncepcji federacyjnych. Litwini najzwyczajniej w świecie bali się po raz kolejny utracić swoją dopiero co i z takim trudem wskrzeszoną bałtyjską tożsamość i ustawiali się w opozycji do polskości – w alfabecie celowo zamienili używane wcześniej „cz”, „sz” i „ż” na wzięte z czeskiego „č”, „š” i „ž”. Polonizmy zostały z języka pousuwane i zastąpione słowami litewskimi.

Gdy po I wojnie światowej okazało się, że ci Litwini, którzy wybrali tożsamość bałtyjską, nie mają ochoty na bycie Polakami, Polska oberwała temu państwu choć Wilno. I nikomu nawet nie przychodziło do głowy ukrywać litewskości tych ziem: parapaństwo, które Żeligowski z Piłsudskim utworzyli wokół Wilna nazwano Litwą Środkową; w jej godle oprócz polskiego Orła Białego zmieściła się także litewska Pogoń. Chodziło tu po prostu o zupełnie inną interpretację litewskości.

Utarło się sądzić, że w międzywojennym Wilnie, poza garstką Bałtów i zwolenników ruchu narodowego, nie było Litwinów. Ale Litwini tam byli – tyle, że polskojęzyczni, o kulturze polskiej. I zdecydowanie poparli przyłączenie Wilna do „polskiej Litwy”.

Często dylematy „jaką opcję litewskości wybrać” nie były proste. Rodzony brat pierwszego prezydenta RP, Gabriela Narutowicza, Stanisław, był pośród sygnatariuszy niepodległości Litwy.

Pewna wstydliva historia

Ale to nie był ostatni raz, gdy lokalni Polacy próbowali tworzyć na tych ziemiach dziwnego rodzaju twory parapaństwowe. W czasie, gdy Litwa odzyskiwała niepodległość od ZSRR wydarzyła się pewna wstydliva historia, o której mało kto chce teraz pamiętać.

W czasie, gdy padał ZSRR, duża część litewskich Polaków, m.in. Związek Polaków na Litwie, poparła ideę utworzenie niepodległego państwa litewskiego. Nie wszyscy jednak: Jan Ciechanowicz i Anicet Brodawski, deputowani do Rady Najwyższej ZSRR, mieli inny pomysł: chcieli wykorzystać sytuację do utworzenia na terytorium dawnych Kresów tworzącego o nazwie Republika Wschodniej Polski.

– Pakt Ribbentrop–Mołotow został anulowany – mówi Ciechanowicz. – Dlatego te ziemie powinny wrócić do Rzeczypospolitej.

Pomysł był, oczywiście, absurdalny i nierealny, a co gorsza – inicjatywa polska została przez Moskwę oceniona jako wygodny do rozgrywania element nacisku na nowo powstające kraje, szczególnie Litwę.

– Przez rok nad Sołecznikami powiewała polska flaga – broni Ciechanowicz swojego projektu, ale ta polska flaga powiewała nad Sołecznikami jako symbol utworzonego jednostronnie przez część Polaków Polskiego Kraju Narodowo–Terytorialnego, który niechętnie się odnosił do litewskiej niepodległości, szukając wsparcia raczej w Moskwie. A kiedy część polskich działaczy PKN–T poparła pucz Janajewa w ZSRR, miarka się przebrała: Związek Polaków na Litwie stanowczo odciął się od zwolenników współpracy z Moskwą. Litwini również zareagowali szybko: wprowadzili w regionie zarząd komisaryczny, a Warszawa, której zależało na istnieniu niepodległej Litwy, a nie na wspieraniu ZSRR, poparła te działania.

Ruch Polaków – sympatyków ZSRR przypominał jako żywo inne tego typu ruchy w czasie, gdy

republiki dawnego Związku zamieniały się w nowe państwa narodowe: identycznie zachowały się choćby Gagauzja i Naddniestrze, odrywając się od wybijającej się na wolność, nacjonalizującej się Mołdawii i żądając pozostania przy ZSRR. Tego samego domagali się Abchazi w Gruzji.

Z tych jednak – między innymi – powodów Litwini nie przejawiają specjalnej ufności w lojalność litewskich Polaków.

Partyzancka Polska

Jeśli wyjechać z Wilna, to zaraz za miastem zaczyna się kraina, która jest jedną z niewielu żywych pozostałości dawnych Kresów. Lasy i pola, łagodne pagórki. Domki jak to na litewskiej prowincji: często drewniane, tradycyjne, ale coraz bardziej zadbane. Litwa odsadza się od postsowieckości jak daleko, jak może. W końcu już miłoszowski Czarny Józef mówił Wackonisowi w „Dolinie Issy”: „w Szwecji pracowałem, tak jak oni nam żyć”. Do Szwecji Litwie jeszcze trochę, ale kierunek ten.

Coraz to osiedle nowych, ciekawie zaprojektowanych domów – w ogromnej części zamieszkanym już przez litewskich Wilnian: to stołeczna wyższa klasa średnia wyprowadza się pod miasto. Ten odruch nowoczesnego państwa traktowany jest przez wielu litewskich Polaków jako zamach na polskość tej ziemi.

Po wsiach – litewskie nazwy ulic, szyldy, tablice na urzędach, wszystko w języku urzędowym, jak trzeba. Ale gdzieś tam, pod tymi litewskimi napisami – te same nazwy, te same szyldy, tablice – tyle, że już po polsku.

Ustawa o języku państwowym, głosi, że wszystkie publiczne napisy mają być w języku państwowym, ale litewscy Polacy twierdzą, że nie ma sprawy.

– Ależ napisy są po litewsku, jak ustawa nakazuje – odpowiadają. – A to, co pod tym – to już nasza rzecz.

Litwini wlepiają kary. Niemałe: za wykroczenie – równowartość około 500 złotych. W media poszła historia właścicielki sklepu, która się nie poddaje i pomimo kar polskiego napisu „Sklep spożywczy” nie ściąga i ściągać nie zamierza. Poszła historia właściciela firmy autobusowej, który swoją flotę zaopatrzył w tabliczki z litewskimi i polskimi nazwami miejscowości. Przewoźnik zapowiada, że jak trzeba, to pójdzie i do trybunału w Strasburgu.

W miejscowości Lozoriskes postawiono nawet dziki drogowskaz, stylizowany na oficjalny, na którym pod litewską, oficjalną nazwą miejscowości widnieje polska: „Łazaryszki”. Takich historii jest całe mnóstwo.

Romeris do Piłsudskiego pisał tak:

„Ten szczep, z którego wyrastają ludzie, jak Kościuszko, jak Mickiewicz, jak nawet Ty, Panie, tak różny charakterem i wolą od etnograficznego szczepu polskiego, nie może zginąć”.

Litwini się boją

Premier Litwy Andrus Kubilius skrytykował dwujęzyczne napisy. Większość Litwinów uważa, że polskie tablice trzeba jak najszybciej zdjąć.

Polacy się obrażają. A po tym, jak Justinas Karosas z Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej powiedział, że ci, którzy nie chcą się integrować z litewskim życiem kulturalnym i politycznym mogą swobodnie wyjechać do Polski, na polskiej wileńszczyźnie zawrzało, mimo, że Karosas w końcu przeprosił.

Polacy przypominają, że Litwa nie ratyfikowała co prawda Europejskiej Karty Języków Regionalnych i Mniejszościowych, ale podpisała i ratyfikowała Europejską Kartę Samorządową i Konwencję Ramową Rady Europy o Ochronie Mniejszości Narodowych zezwalającą na używanie podwójnych napisów w skupiskach zamieszkanym przez mniejszość narodową. Podpisała i jej nie przestrzega, bo – jak twierdzą Litwini – jest sprzeczna z litewskim prawem.

Szerokim echem w polskiej społeczności odbiło się „kolaboranckie” wypracowanie pochodzącej z polskiej rodziny uczennicy Katarzyny Andruszkiewicz wygłoszone na szkolnej ceremonii w państwowym litewskim gimnazjum w Sołecznikach, mieście zdominowanym przez Polaków. Jak twierdzą Polacy, wypracowanie idealnie odzwierciedla stosunek Litwinów do polskiej mniejszości. „W Litwie Wschodniej dominuje polski język i kultura [...]” – można było przeczytać. – „Nawet dziś dużo ludzi nie mówi w języku państwowym, nazwiska są spolszczone, ale co mnie najbardziej zdziwiło i nawet wstrząsnęło to, że w niektórych miasteczkach nazwy ulic są pisane po polsku i po litewsku”.

„Kurier Wileński” ogłosił to wypracowanie obrzydliwym, godnym Pawlika Morozowa i porównał do działalności Hitlerjugend.

Puńsk

Czasem Litwini próbują odbić piłeczkę przywołując sprawę leżącego w Polsce Puńska, w którym większość mieszkańców stanowią ich rodacy. Ale nie ma co kryć: Litwini w Puńsku mają takie prawa, jakich sami u siebie odmawiają Polakom: dwujęzyczne tablice, litewski w urzędzie gminy jako język pomocniczy.

Na ulicy, w sklepie, w restauracji słychać głównie litewski. Faceci w ogródku knajpy z litewskim szyldem śpiewają przy piwie litewskie piosenki. W urzędzie gminy – Litwini.

Nie ma co owijać w bawełnę, i Litwini nie owijają. Mówią wprost: boimy się was i tyle. Jesteśmy małym narodem, mamy prawo bronić tożsamości. Petras Maksimavicius, wiceprzewodniczący Wspólnoty Litwinów w Polsce mówił na łamach „Vilniaus Diena” tak:

– Jeżeli w Polsce nazwisko zmieni tysiąc Litwinów, to w 40–milionowej wspólnocie nie będzie to miało żadnego znaczenia. Na Litwie, ze względu na liczebność mniejszości sytuacja jest odmienna. Uważam, że Litwa ma prawo pilnować swych interesów i chronić swojej większości.

Klinch

I w ten sposób Polacy i Litwini tkwią w klinchu już od 20 lat. Litwini się Polaków boją, a Polacy ze swojej strony robią wszystko, by tylko przypadkiem tych lęków nie rozwiązać. A jeśli upór faktycznie jest litewską cechą, to odziedziczyli ją jedni i drudzy.

Trudno odmówić Polakom prawa do walki o swoje. Ale jeśli metody, za pomocą których walczą nie przyniosły przez 20 lat innych rezultatów, niż coraz głębsze okopy i rosnąca niechęć – może lepiej zacząć zastanawiać się, co tu nie działa?

Redaktor naczelny „Kuriera”, Robert Mickiewicz, nie widzi w polskiej bojowej retoryce wielkiego problemu, uważa, że to nie stanowisko Litwinów jest złe. A poza tym – bez przesady. Retoryka retoryką, a życie – życiem.

– Nie możemy iść na kompromisy – odpowiada stanowczo, pytany, czy może warto by pomajstrować przy strategii.

Jeśli nie udaje się nauka na błędach, może uczyć się na sukcesach innych?

A może spróbować tego, co spróbował na Słowacji Most–Híd?

Tamtejsi Węgrzy, których sytuacja przypomina nieco sytuację Polaków na Litwie, przenieśli swoje głosy z tradycyjnie reprezentującej ich interesy Partii Węgierskiej Koalicji (SMK) na koncyliacyjny Most–Híd. Most–Híd to partia, której jednym z głównych celów jest porozumienie między Słowakami i Węgrami, a także rozwój społeczeństwa obywatelskiego, poszanowanie praw człowieka (z dużym naciskiem na prawa mniejszości – nie tylko narodowych) i utrwalanie demokracji.

Most–Híd, w przeciwieństwie do SMK, nie nastaje na autonomię terytorialną, na którą nie chcieli zgodzić się Słowacy. Może na Litwie też by się przydało takie odświeżenie wizerunku polskiej mniejszości? Może warto zacząć udowadniać Litwinom, że Polacy rozumieją litewskie lęki przed

wynarodowieniem?

– Na Litwie też była Polska Partia Ludowa, nikt już o niej nie słyszy – ma wątpliwości Mickiewicz.
– Tutaj też jest dialog prowadzony. Kiedy ten dialog był łagodny, do niczego to nie doprowadziło, a teraz, na szczęście, można zaobserwować zaostrenie dialogu międzypaństwowego.
Ten ostry kurs RP wobec Litwy popiera również Artur Ludkowski, dyrektor Domu Polskiego w Wilnie i były wicemer litewskiej stolicy. Uważa, że zbyt długo Polska była wobec Litwy łagodna i pełna dobrej woli – i nic to nie dało.

Czy jednak nawet jeśli Polska cokolwiek na Litwie wymusi – czy wpłynie to dobrze na sąsiedzkie relacje? Jak Polacy odebraliby podobną politykę Niemców wobec Polaków? Jak odbierali taką politykę Rosji? Czy Litwini zaczną Polakom ufać? Czy można wymusić brak strachu?

Ludkowski uważa, że wiele czasu już zmarnowano. Gdyby tak nacisnąć ze 20 lat temu, to obecnie stosunki by się właśnie normalizowały. A tak...

– Dzięki ostrzejszej polskiej polityce na Litwie rusza debata publiczna. Pojawiają się artykuły, w których Litwini pytają sami siebie, czy aby do tej pory wszystko robiono właściwie? – mówi.

Rozmowa z panami Mickiewiczem i Ludkowskim przeprowadzona była przed podpisaniem przez Litwinów ustawy o oświacie. Wojowanie nic nie dało.